

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E
3 (23) 1999



Błoński Dupin Jaccottet Kornhauser Miłosz

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

Zespół:

JAN BŁOŃSKI, TOMASZ BUREK,
STEFAN CHWIN, ALEKSANDER FIUT,
MICHAŁ GŁOWIŃSKI, JULIAN KORNHAUSER,
JANUSZ KRYSZAK, LESZEK SZARUGA

Redakcja:

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI (redaktor naczelny)
GRZEGORZ MUSIAŁ (z-ca redaktora naczelnego)
GRZEGORZ KALINOWSKI (sekretarz redakcji)

Wydawca:

Wojewódzki Ośrodek Kultury w Bydgoszczy

Adres redakcji:

ul. Ikara 12, 85-314 Bydgoszcz
tel./fax (0-52) 373 27 18, tel. (0-52) 378 66 66
Internet: „Kwartalnik Artystyczny” www.wok.bydgoszcz.pl
e-mail: wok@cps.pl

wiechk@box43.gnet.pl

Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser

Korekta: Grażyna Rochna

Przedstawiciele za granicą:

Barbara F. Lefcowitz
4989 Battery Lane, Bethesda, MD 20814 USA
e-mail blefcowitz@aol.com

Joanna Wiórkiewicz
Saarburgerstr. 11D, 12247 Berlin, Niemcy
fax: 0-049-30-7740217

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje
Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-
Pomorskiego w Toruniu, Urzędowi Miasta w Bydgoszczy
i Fundacji Pro Helvetia za pomoc finansową w wydaniu nu-
meru 3/1999 oraz Fundacji im. Stefana Batorego za zakup
sprzętu komputerowego.

Spis rzeczy

CZESŁAW MIŁOŚZ Osoby / 3

JACQUES DUPIN *** (...zacierając na piasku) / 7
*** (Dopóki mówię niejasno) / 7 *** (Żadna kora) / 8
*** (Jarzębiny letniej nocy) / 8 *** (Fala wapienia) / 9
*** (On, skryba skulony) / 9 *** (Ono mieszka pod skałą) / 10
Dział wód / 10 Pejzaż / 11

ALEKSANDRA OŁĘDZKA-FRYBESOWA Poezja z ognia i skały / 12

PHILIPPE JACCOTTET *** (Góry pod światło letniego poranka:) / 17
Strzępki na wietrze / 17 Czereśnia / 21 Słowo radość / 26
Uważnie patrzcie / 29 Całe zboże / 29 *** (Pomiędzy nami) / 30
Kto by ją nazwał / 30 Dwa szkice / 31 Odsuń tę światłość / 31
Ale porównywać ją / 31 *** (Chciałbym już tylko jednego) / 32
*** (w jakimś pokoju) / 32

ALEKSANDRA OŁĘDZKA-FRYBESOWA Poezja bardzo inna / 33

JAN BŁOŃSKI Wtajemniczenie – tematy Witkacego / 41

Trzy wiersze

LESZEK SZARUGA *** / 47

Rozmowa

Krytyka i kryteria –

z JULIANEM KORNHAUSEREM rozmawia Mirosław Dzień / 51

JULIAN KORNHAUSER Jaś i wieczność / 58 Na innych planetach / 59
Syn, sen / 60

PIOTR SZEWC Zmierzchy i poranki / 61

MARZENA BRODA Spór / 71 Kwitnące oko / 72 Lotny świat / 73

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI Skupienie / 74 *** (jakby gdzieś) / 74
W podzięce / 75 Czulość / 76

WIESŁAW TRZECIAKOWSKI Sprawa pani Konstancji / 77

JOLANTA STEFKO Pamiątka / 91 Trybunał / 92

*** (Nagły powrót zimy) / 92 Inskrypcja / 93 Królestwo śniegu / 93
MAREK KAZIMIERZ SIWIEC Scruff / 95 Akty / 96 Cios / 97

Po co piszę?

MACIEJ CISŁO *** / 98

MIROŚLAW DZIĘŃ *** / 99

PIOTR SZEWC Zeby zrozumieć / 100

MACIEJ CISŁO Wiem że o mnie myślisz / 101 Kocham i nienawidzę / 101
Od stóp do słów / 102

MIROŚLAW DZIĘŃ Dokładność / 103 Drozd / 103 Więcej niż inne / 104

Plastyka

PREZENTACJE - BOGUSŁAW KURAŚ / 105

Varia

- MICHAŁ GŁOWIŃSKI O pani, która nie chciała się narażać / 109
ALEKSANDER JUREWICZ Zapiski ze stróżówki (4) / 112
JANUSZ KRYSZAK Poeta i wyspa / 120
LESZEK SZARUGA Wodna pieczęć (2) / 123
ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ Ujrzane, w czasie zatrzymane (3) / 131

Recenzje

- JAN WOLSKI Między końcem a początkiem tysiąclecia / 137
ZBIGNIEW CHOJNOWSKI Realizm wizyjny / 140
KS. JAN SOCHOŃ Zespolic kapłaństwo ze sztuką / 142
WOJCIECH TOMASIK Zaminowany język / 146
JERZY GIZELLA Paryż - Sołowki / 148
EWA PIECHOCKA Odcienie czasu / 152
JOANNA BIELSKA-KRAWCZYK Malowane - bliskie sercu / 154

Noty / 156



Fot. Elżbieta Lempp

Czesław Miłosz

Osoby

Był jedynym poetą swego małego narodu.
Przed nim nikt tam nie umiał stawiać znaczków na papierze.

Spisywał zaklęcia szamanów i opowieść o początku:
O pierwszych ludziach, którzy rodzili się z kwiatów
I mieli skrzydła, dające im światło.
Żadnych światła na niebie wtedy nie było.

Potem zjedli pewien korzeń, poznali grzech
I stracili swoje skrzydła, zrobiło się ciemno.
Na ich prośbę słońce i księżyc zostały stworzone.

Rozmyślał, co na swój język przetłumaczy:
Homera? Biblię? Markiza de Sade? Rilkego?

Albo tylko ułoży hymn narodowy
I wymyśli sztandar z wizerunkiem niedźwiedzia.

Ja jednak medytuję nad słabością języka.
Jestem bardzo stary i razem ze mną znikną słowa
niewymówione.
W których mogłyby mieć dom osoby dawno umarłe.
A ja nie umiem sprawić, żeby ukazały się
Z ich tylko owalem twarzy, kształtem brwi, kolorem oczu,
I wędrują gdzieś doliną przemijania,
Ledwie że osobne w nieogarnionym tłumie
Wieków, języków, pokoleń.

I ty z nimi, Klaudyno, która do mnie pisałaś: „Jesteś dla mnie wciąż
kimś jakby dziecinny (może poeci zostają tacy do końca), kimś,
komu wybacza się wszelkie wybryki i kocha pomimo wad”).

Ten, którym byłem widzi las brzozowy i nas dwoje w nim, i
ławy przy stole na kolacji u sąsiadów.

Niemal na naszej uczcie weselnej, ale na nic układać późno
historię życia.

Ciebie też wzywam, Roksano, choć tak samo nie chciałbym
biografów naprowadzać na ślad.

Najpierw bicie serca na dźwięk imienia, potem tylko że byli
raz mężczyzna i kobieta, jak inni, wcieleni przed wiekami.

W jakimś mieście portowym moglibyśmy, ty i ja, po
latach, siedzieć w barze i wspominać oczarowanie.

Opowiedziałbym tobie wszystko, co zrozumiałem, choć tego
niewiele.

O nieograniczonej zdolności wmawiania w siebie
szlachetnych uczuć.

O dwóch miłościach własnych, przybranych w maski
kochanków.

O tym jak wbrew swojej woli opuszczamy ukochaną i
skazujemy żywą istotę na umieranie z chłodu.

A zawsze ty, Bereniko. Drzę kiedy wymawiam twoje
prawdziwe imię.

Byliśmy jak dwa okręty nawołujące się we mgle, nie
widziałś mnie, ani ja ciebie.

Tragedia rozpoznania pomyłki i winy już zapada między
zdarzenia anonimowe.

Zaiste, kiedy byliśmy młodzi, nie wierzyliśmy, że tak
trywialne nieszczęścia mogą się zdarzyć nam, wyższym
umysłom.

Zaraz będę tam z wami, na równinach podziemnego
królestwa, i ty, milcząca, wyjdiesz na spotkanie.

Jakaż to rozmowa, dwojga przeminionych, kiedy nie mam nic
na swoją obronę prócz zapisanych stronic mego dzieła.

Ale słyszę chór, potężnicze, grzmi, przyłączam się i śpiewam
z innymi.

Chór nas, grzeszników, mężczyzn i kobiet, przewracających
stronice partytury w słońcu, jak tam na ziemi.

Czuję ulgę myśląc, że nie byłem lepszy ani gorszy niż wielu i
że razem z nimi czekam na przebaczenie.

Ze wszystkich stron napierają plemiona bez głosu, niewinna
trawa oplata płyty nagrobne.

Czesław Miłosz



*Ewa Bathelier ****

Jacques Dupin

... zacierając na piasku
wszelkie imię poza swoim własnym
wszelkie miejsce poza miejscem tym właśnie

ogień co zapłonie daleko
temu co spalone da ochłodę

i każdej poezji koniec
i bez końca poezji odnowę



Fot. John Foley

Dopóki mówię niejasno on oddycha

zanurza ręce w lodowatą wodę
pomiędzy alg i ku nowym ofiarom
ziębnącym jak lampy w świetle dnia

Tak mało realny a przecież żyje
czy gwałt zadaje czy też zuchwale
na wodzie sieje albo na kamieniu

rozpięte niebo skandujące młoty
a są tacy wśród nas co chcą pośredniczyć
ażeby nowe się rodziły chmury

Zadna kora nie utwali tego drzenia
Blasku
Jego nagość nas rani, ostrzy głód, nieuchronna

I wciąż inna, posłuszna linii
Prawie prostej wyoranej bruzdy
Mokry połysk otwartej ziemi...

Cisnąc w szponach niepokój wlotu
Stary jastrząb zaprzaniec
Jest wyzwaniem przejrzystości powietrza
Krąży i
Strzaskany pada u twych stóp

A dym smukły z ogniska rybaków
Przelamuje ostateczny horyzont
Na pół

Jarzębiny letniej nocy
dziecinne gwiazdy
bezgłośnie sylaby miłości która przyjdzie

kiedy płomień wędruje po belkach u powały
pod naszymi dachami

za ciasna
definicja nieba

Fala wapienia biel wiatru
w poprzek piersi śpiącego

w tej powodzi nerwy brzmia ciszej
podtrzymując na stokach ogrody
rozchylają ciernie wtórują
akordom nocnej muzyki
aż światło będzie pojęte
– i roztrzaskane

jego namiętność bije na kowadło w dwa nurty
a on oddycha
jakby szła burza
pomiędzy jałowcami na zboczu
gdzie ani jadu ani jadła
aż powiew z wąwozu
dziwna melodia
złagodzi gwałtowne więzy

On, skryba skulony ponieważ
porażony
przez więzy ostrej trawy
spłcione niecierpliwie szuka sobie drogi

Ona jej niewyraźne ciało
jak migdał gnieciony
pomiędzy kamieniami gdy kamieni już nie ma

Ono mieszka pod skałą, ukryte,
to źródło nakazujące,
by je przyjąć, zanim wytryśnie

żaden pług porzucony ani miłość skuta kamieniem
nie lśni tak twardo i tak z daleka,
nim chmura odmieni kształt
i spłynie krwią
pod zamęttem obrazów

i nadbiegały kwiaty choć sponiewierane
zimne kwiaty, które otwiera noc,
ich łodygi przebijają nasze dawniejsze życie
warstwa po warstwie; nareszcie tak ujrzone,

że kropla wody stanie się krągłejsza
zazdrosnym snem
góry granitowej góry nocnej

Dział wód

Jedna twoja łąza wznosi kolumnę śpiewu
I jedna łąza ją obala... aż całe światło bezdomne.

Ten sznur, który splatam, ta róża przebłągalna,
Niech nie lękają się bijącego wprost światła.

Odrobina ciemności, którą wspinając się trwonię,
Powietrze, którego braknie kiedy szczyty już blisko.

Stromym stokiem, drogą hajwyższej swobody,
Choć w gardle mdłości i sterem tylko piorun.

Pejzaż

Z samej poświaty, bo nie ma gwiazd, pada siwy blask. Znieruchomiła wielość zapada w ulotne piaski. To kołysanie się, ten szept, wprawiają w ruch kołowrotki czarowników i szczurów. Jest wiosna; pąki drzew dają jej struny a wodzie – skromne łoża. Trawa szaleństwa już nas nie chroni.

Ale w sercu tej wielkiej makowej nocy, pod przegniłą korą, czyj to jęk ustał? Zapadła w odór śmierci i w jej fałdy, z kolanem odchylonym pamięcią o nawałnicy, ona po raz ostatni próbuje zeskrobać ze swojego herbu lepki brud i włosie. W ranie już ani śladu po ostrzu ani źdźbła trawy na szlaku. Tylko pokusa nagiego nieba.

Jakie zamącenie perspektywy każe mi jeszcze wpatrywać się uważnie w uparty oset na pagórku przede mną?

Jacques Dupin
przełożyła Aleksandra Olędzka-Frybesowa

Poezja z ognia i skały

Poezja trudna, gwałtowna i dramatyczna. Trudna nie przez sposoby ekspresji, choć są odważne i zaskakujące, bo do tego od dawna nas przyzwyczajano. Wieloznaczność zatem? Ta – pewno jeszcze starsza, ponieważ w wypadku poezji ambitnej nawet za pozorną prostotą otwierają się korytarze prowadzące kto wie dokąd...

Trudna, ponieważ trudny jest świat, który zakreśla i o którym Jacques Dupin mówi, ale go nie tłumaczy. Czy można zresztą mówić o tłumaczeniu tam, gdzie nie ma miejsca na dyskurs? Zamiast niego – porywczco urywane strzępy zdań, wyszarpywane słowa i obrazy.

Trudny przede wszystkim jest odbiór świata, niewygodne do ostatecznych granic miejsce, w którym poeta się sytuuje, i bezwzględne wymagania, jakie sobie stawia. Trudna więc przez swoją szczególną aurę psychiczną, namiętą, posuwającą się do skrajności, jednakże wolną od rozpacz. Rozpacz rodzi się z refleksji i osądów, a skoro – jak powiedzieliśmy – nie ma tu miejsca na dyskurs, nie ma też – i na refleksję. Nawet to, co Dupin mówi o pracy w słowie, aktywności wyobraźni, twórczości poetyckiej, to raczej wyznania o charakterze impresyjnym, często onirycznym; najbardziej osobiste również wtedy, kiedy wydają się uogólnieniem. Celem tej poezji nie jest zresztą próbowanie własnych sił twórczych, ukazywanie własnych możliwości. Jej zamierzenia sięgają głębszej płaszczyzny: dobierają się do problematyki ontologicznej.

Poezja ma tu za zadanie przebić tkankę codziennej rzeczywistości i oczywistości. Krusząc, łamiąc, rozbijając po drodze przesłaniające warstwy zewnętrzne, dotrzeć do jakiegoś sedna. Po to było to kruszenie, te niszczycielskie zabiegi. Odślonięta rzeczywistość, przed którą poszukujący chce stanąć twarzą w twarz, objawia się stopniowo, w ciągłym wysiłku. Nie jako doskonałość, czy pełnia, przeciwnie – przez ich zaprzeczenie: w utracie, braku, zachwianiu równowagi, nawet w rozpadzie. Gdyby nie nieobecność sacrum nasuwałyby się skojarzenia z teologią negatywną.

Nie tylko z wysiłkiem i powoli odsłania się prawda, ale pozostaje niedookreślona, wieloznaczna, zanurzona w ciemności. A jednak tak właśnie potwierdza się, odnajdywany z trudem, sens świata ludzkiego i sens twórczości.

Co szczególne jednak w tej postawie i wyrażającej ją poezji: nie jest naznaczona negacją. Paradoxy gdzieś prowadzą, nie są ślepa ścieżką. Z zatrąty wylania się perspektywa narodzin, znaczenie, żywiąc się tym, co niejasne, niedostępnością znaczeń, osiąga wymiar, w którym znaczenie zostaje odzyskane.

Wiersz, wedle pięknej definicji poety, to „dom otwarty, niedostępny, który ogień buduje i każe mu trwać”. Przychodzi na myśl sformułowanie Valéry’ego: „mieszkać w płomieniu...”.

Charakterystyczny jest tytuł nadany tomowi poezji (który zawiera także utwory z poprzednich zbiorów): *L’Embrasure*. Odsyła on na zasadzie fonetycznej modulacji do dwu obrazów podstawowych dla całej twórczości Dupina: przełamania (*brisure*), radykalnego otwierania nowych wymiarów, i żaru, paleniska (*brasier*).

Obie te ścieżki możliwych skojarzeń prowadzą w świat wyobraźni atakującej rzeczywistość z taką siłą, że można ją nazwać wyobraźnią agresywną. Łamanie, kruszenie, spalanie to czynności niszczycielskie. Ale nie jest to niszczenie dla niszczenia. Kruszy się po to, żeby odkryć to, co w głębi. A ogień? Okazuje się siłą twórczą (skoro buduje dom poezji), a nawet podtrzymującą istnienie (bo każe mu trwać).

Niemożliwość przeniesienia tej fonetycznej migotliwości skojarzeń nasuwa więc tylko wahanie: którą drogą pójść w jego ewentualnym tłumaczeniu. Czy – nawiązując do skojarzeń drugich – tam szukać odpowiednika, a uwzględniając gwałtowność tonacji, myśleć np. o tytule *Požoga*? Czy też – pozostając przy skojarzeniach pierwszych – rozbijania, druzgotania po to, żeby otworzyć jakąś szczelinę (to zresztą motyw powracający) i dotrzeć w głąb, próbować oddać dynamikę tego aktu np. idiomatycznym *Na przestrzał*?

Wieloznaczność w tym wypadku przybrała w oryginale francuskim kształt neologizmu, zarazem jednak potwierdza przypuszczenie, że odczytywać poezję Dupina warto poprzez przyjrzenie się nawiedzającym ją obrazom.

Nie inną drogę obrał wnikliwy krytyk Jean-Pierre Richard, który analizując twórczość jedenastu współczesnych (w szerszym rozumieniu) poetów poświęca ostatni rozdział najmłodszemu z nich – Dupinowi. Zestawiając go zaś z trójką najwybitniejszych rówieśników i przedstawicieli w jakimś sensie tej samej „literackiej rodziny” (Yves Bonnefoy, Philippe Jaccottet, André du Bouchet), umieszcza w „czołówce siedemdziesięciolatków”. Zarazem, szukając podsumowującej jego twórczość formuły, przywołuje metaforę zaczerpniętą ze świata przyrody; mówi mianowicie o osypywaniu się ziarna, które jest rozpraszaniem i utratą, ale paradoksalnie – gwarancją, pozytywną zapowiedzią, siewem.

W tym się bodaj zawiera osobność, oryginalność tej poezji, na tle współczesnego, dość mrocznego, kulturowego pejzażu. Głos jakby zdławiony w gardle, głuchy ale namiętny; z obrazów gruzowisk, ciemności i ruin, z rozdarcia i upadku, a zatem z krzyku „nie”, wyprowadza trudne, może heroiczne, przyzwolenie, zasadę rodzącego się, możliwego, innego życia. „W tym kraju – pisze Dupin – od piorunów kielkują krzemienie”.

Bunt, tak wszechobecny dziś w sztuce, uzyskuje w ten sposób odmienny charakter. Burzenie i odrzucanie nie prowadzi do stagnacji, zakrzepnięcia w odmowie, ale – przeciwnie – mobilizuje, wzywa do walki i ukazuje jej sens. Szczególnie też są motywy tego buntu; nie kwestionowane „usterki” bytu, ale właśnie... do-

skonałość. Oto niewzruszone i nienaruszalne niebo, metafora absolutu zamkniętego w swojej samowystarczalności i samopotwierdzeniu. I naprzeciwko drugi absolut: buntu; w tajemniczy sposób, przeciwstawiający doskonałości zbyt oczywistej – inną, ledwie wspomnianą (ale opatrzoną dużą literą) – Doskonałość. Czyżby to odpowiedź owej wymagającej potrzebie, czy tęsknocie, ujętej lapidarnie przez Bonnefoy'a w formule: „...bo jeszcze wyżej jest niedoskonałość”?

Stąd też powracający, jak wspomnieliśmy, obraz szczeliny, pęknięcia w skale, daje się odczytać jako przejście w jakąś przeczuwaną „inność”. Krytycy mówią tu o „niecierpliwości metafizycznej”...

Osobność, odrębność Dupina dochodzi do głosu w warstwie mówiącej o twórcy najwymowniej: w obrazowaniu. Urwiste stoki, na których wchodzącemu brak oddechu; skaliste zbocza; rumowiska i ruiny; ziemia jałowa, pełna kamieni, spalona słońcem; jeśli wiatr, to natarcie zagrażającej wichury; jeśli las, to porażający mrokiem, labiryntowy, a w nim piękno drwiące, „wybuchające śmiechem”, piękno, które „uchodzi jak dzik” znikający w chaszczach.

Dupin – poeta ziemi i natury, przełamuje wciąż stereotypy mówiące o przyrodzie darzącej harmonią i ukojeniem. Zupełna nieobecność miejskich scenarii, zakorzenienie w dzikim i nieprzystępnym pejzażu, łączy go z bliskim mu wielorako i pokrewnym aurą twórczości André du Bouchetem. To samo u obu surowe „wyszarpianie” słów; ten sam trud – tak bliski dzisiejszej wrażliwości – budowania całości z ułamków, z fragmentów. Czy można inaczej? Rozbity świat, rozbity język, to wyzwanie dla twórcy, który sam siebie nazywa „poetą resztek”.

A przecież są to okruchy wielkości świata: te elementy mają w sobie dostojność i składają się na poezję dostojną, elementarną.

Czytelnikowi narzuca się jedność tonacji. Nie każdemu, tak jak Miłoszowi, dany jest dar polifonii, przemawiania cudzymi głosami, a nawet w sobie samym w własnych słowach odnajdywania głosów innych. U Dupina ani śladu takiej polifonii. Mówi wciąż on, a mówiąc potwierdza się w swojej tożsamości. Co sprawia jednak, że nie przeradza się to w monotonię? Otóż jest to tożsamość dynamiczna, mnożąca się i rozgałęziająca jakby organicznie, a zatem naturalna. W tej konsekwentnie utrzymywanej scenarii dzieją się rzeczy nieoczekiwane. Na szczycie płomienia pojawia się zaskakująco – cień. Łodygi kwiatów przebijają życie. Ogień przynosi ochłodę. Piękno jest zwielokrotnione: za lasem, a może w nim jest jeszcze *Drugi las*, w ciemności jest druga noc. Poczucie bogactwa chroni i przed monotonią, i przed rozpaczą, a jest wezwaniem do aktywności i... zdumienia. Bo nawet cisza nie jest czymś statycznym, skoro mowa jest o „przyroście ciszy”.

* * *

Czy jest, i jakie jest, w tym świecie obfitującym w zdumienia, miejsce na drugiego, poza podmiotem mówiącym, człowieka? Ten drugi człowiek to przede wszystkim, zgodnie z najbardziej elementarnym podziałem na „męskie” i „żeńskie” – kobieta. W poezji Dupina zajmuje centralne miejsce. Jej bytowanie tu jest odkonkretnione, surowe i pierwotne; jest niemal obecnością telluryczną. I więc

z nią, tak jak z ziemią, są nacechowane podobnie szacunkiem zmieszonym z gwałtownością, odczuciem odrębności zmieszonym z niemal brutalną siłą.

I jej zagraża gwałtowność, nicomal przemoc. Przy dosłownym, nie symbolicznym odczytywaniu takich fraz jak: „ramię ci już nie drży, moje obelgi stają się niezauważalne”, mogłaby się nasuwać myśl o pewnej formie okrucieństwa. Tak, okrucieństwo włączenia drugiego we wspólny okrutny los. Celem jest porwanie go w przeżywaną zawieruchę, burzącą i tworzącą. „Tak drzałem o to, że ty już nie drzysz”. Czy to Kierkegaardowskie drżenie przeniesione w wymiar dotykalnie jednostkowy, w konkret kobiety – towarzyszkii? Wiersz, który mówi o tej „wspólnocie w drżeniu” nosi tytuł *Wieczność*. Udział w groźnej przygodzie zostaje zapowiedziany paradoksalnym wezwaniem: „Zbiory spłonęły, ty jednak je sprzątnij”. Pozornie agresywna dominacja nie ma przy tym w sobie nic z zawłaszczenia, ponieważ – o czym mówi się dobitnie – „W tym ciele odrębnym jest jeszcze jakieś nieznanne/Jakaś droga wewnątrz mojej drogi”.

I choć pada ostrzeżenie: „Zamiast serca/natrafisz, ukochana, tylko na połysk lemieszka”, to przecież chodzi o rzeczy nadrzędne, nawet wobec uczuć, o przekazanie „siły, żebyś wstąpiła w swoje miasto, i dumy, żebyś nie chciała w nim pannaować”.

Nic tu z idylli dwojga, rzuconych w scenerię nienaruszonej, dziewiczej przyrody. Ona – przyroda – jest dzika, wzywa do przemocy i agresji. Więcej, jest sama metaforą gwałtu, burzenia, anarchii. Ona – kobieta – dziwna i niedostępna, a będąc partnerką zagrożenia, sama staje się poddana zagrożeniom. Jest w niej energia telluryczna, ale nic z miękkiej, czulej kobiecości – innej figury Ziemi – Matki pojednania. W rzadkich przeblaskach gęstej metaforyki ukazuje się natomiast czasem perspektywa jakiegoś spokoju, jakichś nowych, co prawda trudnych narodzin.

Bardzo niecodzienny w dzisiejszej literaturze jest ten związek miłosny, tak głęboki jak w medytacyjnej i metafizycznej poezji Pierre Emmanuela (np. w cyklu *Una*), ale przesycony niemal rozpaczliwym, drapieżnym dramatyзмом. Związek osadzony w materialności, ziemski, a wykraczający poza przyjęte, ludzkie, materialne miary. Niełatwo znaleźć odpowiednik takiej heroicznej, wymagającej wspólnej drogi, gdzie tkliwość jest przemilczana, choć obecna.

Ciemniej nam zakochane ramiona,
Węzłą się nam ramiona pracowite.

Tak więc, co tak ważne i co najbliższe, jest zarazem najbardziej zagrożone, narażone na niszczyielsko-twórczą aktywność.

Analogicznie więc do walki o kształt podstawowego związku międzyludzkiego – walka o kształt słowa. Język. Język tradycyjny, nieprzydatny w huraganie i ogniu, jest martwy jak „biblioteka kamiaków” rzucona w rozpadlinę. Trzeba go rozbić, przeorać, zburzyć buntem na zastane struktury; tak żeby – najprostszy, ogołocony, język „czarnego chleba i czystej wody”, budził istnienia zamknięte w słowach i rzeczach.

Dynamika wewnętrznego napięcia, obecna na różnych poziomach tej twórczości, rodzi się nie tylko poprzez wyrastanie mówiącego podmiotu z groźnego świata, ale i przez utożsamienie się z nim. Jaka tu rola nieobecnej na pozór Historii? Jesteśmy pozostawieni domysłom. Natomiast występujący w tej poezji opis świata zewnętrznego a bliskiego – pejzaż, konkretny i metaforyczny zarazem, nie jest czymś oddzielnym, ale tworzy jedno ze światoodczuciem pisarza. Nie tylko więc „ogień mówi tym co my językiem”, ale twarz mówiącego staje się twarzą suchego pyłu na wietrze, a w ludzkich oczach „rozplatają się wszystkie żyły, które biegną przez granit”.

Granice zostały więc zatarte i poeta mówi w imieniu własnym i świata – bogatego w swojej skalnej jałowości.

W takim świecie, w surowym, dzikim (jeszcze do dzisiaj) krajobrazie regionu Ardèche, urodził się w 1927 roku Jacques Dupin.

Trzeba ten fakt przypomnieć, ponieważ od niego biegną przypuszczalnie powiązania z twórczością poety, może głębsze i trwalsze od innych faktów składających się na „literacką biografię”.

Zaraz po wojnie, w 1945 roku, Jacques Dupin zamieszkał w Paryżu; w pięć lat później wydał pierwszy zbiór wierszy (*Cendrier du voyage*, G.L.M. 1950), zauważony przez krytykę i przychylnie przyjęty przez René Chara. Współpracował z takimi pismami jak „Botteghe Oscure”, „N.R.F.”, „Mercure de France”. Wspólnie z pokrewnymi sobie psychicznie rówieśnikami: Yves'em Bonnefoy i André du Bouchetem oraz Paulem Celanem i Louisem-René des Forêts założył czasopismo „Ephémère”, które w latach 60. i 70. było w domenie poetyckiej jednym z najbardziej znaczących zjawisk. Pozostawał w bliskich związkach z wybitnymi malarzami współczesnymi André Massonem i Juanem Miró, któremu poświęcił dwie książki. Był dyrektorem galerii Maeght i tam wydał pracę o szczególnie sobie bliskim twórcy, pt. *Alberto Giacometti* (1964). Związki ze światem artystycznym kontynuuje prowadząc galerię Lelong, wydając teksty Giacomettiego i pisząc eseje o twórcach współczesnych (m.in. Baconie, Tapièsie).

Poza zbiorem, z którego pochodzą prezentowane tutaj przekłady (*L'Embrasure, prèdèdè de Gravir et suivie de La ligne de rupture et de L'onglée*, Gallimard, 1971), należy spośród kilkunastu późniejszych wymienić *Contumace* (POL, 1986), *Échancré* (POL, 1991), *Rien encore, tout déjà* (Fata Morgana, 1991) i *Le Grésil* (POL, 1996).

Aleksandra Olędzka-Frybesowa

Philippe Jaccottet



Góry pod światło letniego poranka: to przecież czysta woda.

Niech tylko poezji uda się nagiąć, zgiąć chwilę, to żelazo losu. Resztę zostawmy gadułom.

Szerszenie i ogień. Napisać „szerszenie ognia”, byłoby poetycką łatwizną. Niewątpliwie jednak istnieje więź między jednym a drugim; jak wtedy, gdy rozżarzone węgle skaczą nam do oczu.

Przez całą noc, i po całym okręgu horyzontu – rzecz bardzo rzadka! – przecaczały się pioruny; przeciągła, uparta perkusja w orkiestrze Dalekiego Wschodu. Albo – jak chrobot poruszonych kości.

(Aneks do prozy poetyckiej Jaccotteta *Po stopniach coraz wyżej*)

Strzępki na wietrze

Tak! Tak! – to jest to!
Właśnie to! –
krzyczała.

Na jej twarzy – jakby nagle światło
czegoś, co spojrzało jej w twarz.

*

Zapamiętajcie:

jeśliby piorun mógł być powolny
i śmiertelnie czuły,
taki, co ciało umie rozpromienić –
nie licz, że poznasz go, w umieraniu.

*

Nawet zęby tej innej burzy
są samą słodyczą.

*

Nowy Rok.
Czy to mój ojciec przy furtce w ogrodzie,
pociąga za dzwonek oprószonego śniegiem?

Wielki dom błyszczący
od prezentów i sukien.

*

Przez okno,
tam, gdzie zazwyczaj prześwituje dzień
sędzony przez liście,

któż to nawiedza cię zimową nocą?

*

Taka siła piorunu,
że firmament się dzisiaj porysował.

W dawnym świecie,
prawie każdej burzy
odpowiadała rozebrana nimfa
i spokojny pasterz.

Ona mówiła,
wśród krzyku
i wybuchów łez:
„Znalazłam kryjówkę wśród liści
i miłego, który tam zasnął”.

A na to on:
„Dobra wiadomość przed końcem świata;
to przecież mleko gwiazd
wzbiera w twojej piersi”.

*

Pień pobrużdżony, w płamach,
zdławiony na siłę bluszczem Czasu;
jeśli muśnie go róża, znów się zazieleni.

*

Nagrobek poety

Nie miejcie złudzeń:
to nie ja napisałem te wszystkie wiersze,
lecz pewien dzień, pewna czapla, jakiś deszcz,
lub cokolwiek innego, choćby i osika,
byle by tylko ukochany cień ogarnął je światłem.

Najgorsze, że tu nie ma nikogo,
ani blisko, ani daleko.

★

Polecenie dla nieobecnych pasterzy:

Powstrzymać łanie, gdy pędzą na oślep,
bo posłuchały złej rady obłoków,
starannie rozczesać strumienie,
uchronić rzadkie rośliny w kotlince,
rozdzwonić kamienie, te z kości słoniowej
w górach, gdzie każde drzewo ma kręty kształt liry.

★

Tej nocy,
właśnie w tej chwili i tej nocy,
myślę, że nawet gdyby bogowie podpalili
świat,
zawsze z tego pożaru zostałby choć jeden
rozżarzony węgiel
który by odkwitł różą
gdzieś, w Nieznanym.

To nie ja pomyślałem ani powiedziałem,
tylko noc zimowa,
tylko chwila, już zbiegła, tej zimowej nocy.

Philippe Jaccottet
Przetoczyła Krystyna Rodowska

Czereśnia

Przychodzi mi czasem na myśl, że jeżeli wciąż jeszcze piszę, to chyba przede wszystkim po to, aby pozbierać cząstki mniej lub bardziej rozświetlone i przekonujące, tej jakiejś radości, która – chciałoby się w to wierzyć – wybuchła w nas kiedyś, dawno temu, niczym gwiazda wewnętrzna, i rozproszyła się w nas, jak pył. Kiedy odrobina tego pyłu zajaśnieje w czymś spojrzeniu, czujemy się co najwyżej zmieszani, oczarowani lub tylko zdezorientowani. Jest to jednak – kiedy się dobrze zastanowić – zjawisko o wiele mniej dziwne, niż fakt uchwycenia takiego blasku czy też częściowego odbłasku w naturze. Przynajmniej dla mnie, ten rodzaj poświaty bywał źródłem wielu rozmarzeń, nie zawsze jałowych.

Tym razem chodzi o czereśnię. Nie o czereśnię w kwiatach, która przemawia do nas w swym przezroczystym języku, lecz o czereśnię uginającą się pod ciężarem owoców, dostrzeżoną któregoś czerwcowego wieczoru po drugiej stronie ogromnego pola z rosnącym zbożem. Któryś już raz z rzędu miałem wrażenie, że ktoś mi się tam ukazuje i mówi coś do mnie, chociaż bez słów, nie dając mi żadnego znaku; ktoś, albo raczej coś, coś pięknego, na pewno. Gdyby miała to być jednak jakaś postać ludzka, dajmy na to, przechadzającej się tam kobiety, moja radość zabarwiłaby się zamętem uczuć i nieodpartą potrzebą, aby natychmiast pobiec za nią, dogonić ją, choć nie byłbym w stanie wykrztusić potem słowa, i to nie tylko z powodu zadyszania – a potem słuchać jej, odpowiadać, złowić ją w siatkę moich słów, lub samemu dać się schwytać w jej sieci; tak rozpoczęłaby się, przy odrobinie szczęścia, całkiem inna historia, w pomieszanu, mniej lub bardziej permanentnym, świetła i cienia. Ale tutaj zaczynała się jakaś inna historia miłosna, jak nowy strumień wpływający z nowego źródła. Na widok tej czereśni, nie czułem w sobie żadnego pragnienia, aby ją dogonić, zdobyć, posiąść; to raczej ja byłem doścignięty, zawłaszczony, i nie mogłem oczekiwać niczego więcej, o nic więcej prosić. To całkiem inna historia, spotkanie, inna mowa. O ileż trudniejsza do uchwycenia.

Jestem pewien, że ta sama czereśnia wyabstrahowana, oderwana od swego podłoża, niewiele by mi mogła przekazać, w każdym razie to nie byłoby to samo. Nic by z tego także nie wyszło, gdybym ją zaskoczył o innej porze dnia. Pozostałaby może na zawsze niema, gdybym jej szukał, czy zadawał jej pytania. (Są tacy, co uważają, że niebo odwraca się od tych, którzy zamęczają je swym wyczekiwaniem i modłami. Gdyby to potraktować dosłownie – cóż za skrzywienie zawiasów docierałoby do naszych uszu!...).

Próbuję przypomnieć sobie ten obraz, najdokładniej jak tylko potrafię. Po pierwsze, był to wieczór, nawet dość późny, w jakiś czas po zachodzie słońca, o godzinie, kiedy światło utrzymuje się jeszcze w przestrzeni nadspodziewanie długo, zanim mrok ostatecznie go nie pochłonie, i samo to już jest łaską; wyrok zostaje odroczone, rozłąka opóźniona, jątrzące rozdarcie – złagodzone, przypomina się ktoś, kto dawno już temu zjawiał się z lampą u twego wezgłowia, aby przegnać nocne koszmary. To była także pora dnia, kiedy światło, mimo iż źródło jego stało się niewidzialne, wciąż jeszcze żyje, zdając się emanować z wnętrza rzeczy i dobywać z ziemi; tego wieczoru ową ziemią była polna dróżka, którą szliśmy, wśród pól porośniętych zbożem, już wysokim lecz jeszcze zielonym, o barwie prawie metalicznej, tak że przez chwilę zobaczyłem ostrze jakby kosy, które je wkrótce zetnie.

Dokonywał się tutaj jakiś rodzaj metamorfozy: ziemia stawała się światłem, a zboże przeblyskiwało stalą. Równocześnie, krańcowości jakby się do siebie przybliżały, stapiały się ze sobą w owej chwili, tej właśnie, kiedy to dzień przechodzi w noc, w której luna nadchodzi jak westalka, by złuzować atletyczne słońce. I poczuliśmy się doprowadzeni bardzo daleko, bynajmniej nie pod presją czyjejs władczej miny czy smagnięcia pioruna, lecz pod naciskiem, prawie niezauważalnym i czułym jak pieszczota, pociągnięci w zagłębienie czasu i nas samych, ku czasom legendarnym, w których to, co najbliższe, i to, co najdalsze, było jeszcze ze sobą powiązane, tak że cały świat ukazywał się pod krzepiącą postacią domu, a nawet niekiedy świątyni, zaś życie rozbrzmiewało w nim jak muzyka. Myślę, że to doznanie było bardzo słabym odbłaskiem tego, co jeszcze czasem do mnie dociera, tak jak dociera do nas z przestrzeni to prastare światło, które astronomowie nazywają światłem czarnej dziury. Przemieszczaliśmy się po wielkim domu z otwartymi drzwiami, oświetlonym skąpo niewidzialną lampą; niebo było jak szklana ściana, wibrująca leciutko pod muśnięciem rzeńskiego powiewu. Polne dróżki tworzyły dom, trawa i kosa stapiały się w jedno, nawet szczekanie psa i ostatnie, cichnące świergoty praków nie tyle gwałciły ciszę, co czyniły ją doprawdy niezmierną. Skrzydło jakiegoś ptaka, powleczone warstewką srebra, skierowało ku nam swe migotanie. I wtedy właśnie ukazała się, w dość dużej odległości od nas, rosnąca na skraju pola. Spośród innych drzew, ciemniejących z minuty na minutę, które za chwilę miały stać się czarniejsze niż sama noc, czuwająca nad uspieniem ptaków i liści, wynurzyła się roślina czereśnia, objuczona owocami. Jej owoce tworzyły nieprzerwane grono czerwieni, strugę czerwieni, zanurzoną w ciemnej zieloności; owoce w kołysce lub koszyku liści, czerwień w zieleni. O tej godzinie następowało wślizgiwanie się jednych rzeczy w drugie, o godzinie, w której bardzo powoli i w zupełnej ciszy dokonywała się na naszych oczach metamorfoza, o godzinie zjawienia się w jakiejś mierze całkiem innego świata. Była to jedna z tych chwil, kiedy coś się nagle obraca, niczym drzwi na zawiasach.

Co było w tej czerwieni, żeby aż tak mnie to mogło zadziwić, do tego stopnia przepelnić radością? W każdym razie ten kolor nie miał nic wspólnego z krwią. Gdyby drzewo po tamtej stronie pola było zranione, gdyby ciało jego broczyło krwią, odczuliśmy na ten widok tylko przerażenie. Ale nie jestem

z tych, którzy myślą, że drzewa krwawią, i rozczulają się, patrząc na uciętą gałąź, tak samo jakby to był zabity człowiek. Tu było raczej coś z ognia. A przecież nic nie płonęło. Zawsze lubiłem widok ognia rozpalanego na polach i w ogrodach, to światło i ciepło sycące się sobą, lubiłem ogień także dlatego, że to coś skacze, uwija się i gryzie, ma w sobie coś z dzikiego zwierzęcia. Było w tym jeszcze coś głębszego, niewyjaśnionego: coś z otworu, wymuszonego na ziemi, coś z wyłomu w barierach przestrzeni, coś, za czym trudno nadążyć i dotrzeć tam, dokąd to zjawisko chciałoby nas przywieść, jakby płomień nie był za bardzo z tego świata; pierzchliwy, narowisty, i właśnie dlatego wzbudzający w nas radość. Te ognie wciąż płoną w mojej pamięci i nawet w tej chwili zdaje mi się, że przechodzę tuż obok nich, zupełnie jakby ktoś je posiał przypadkiem na polu, i teraz wszystkie, z nadejściem zimy, będą kwitły równocześnie. Nie mogę od nich oderwać oczu. Czyżbym wiedział, bezwiednie, że one się żywią, wydając z siebie to swoje skwierczenie, martwymi liśćmi? Niewysokie drzewka, targane wiatrem. Albo lisy, dzicy kompani.

Tyle, że tamta czerwień nie płonęła wśród trzasków. To nawet nie były rozżarzone główne, z których zostaje często pod koniec dnia usypisko żaru, gdzieś w oddali. Zamiast wspinać się jak płomień, to coś płynęło, zwieszało się – ogromna kiść, wisiorzy czerwieni czy purpury, pod osłoną bardzo ciemnych zieleni. A może jednak trzeba by powiedzieć – bo to przecież świeciło, ogrzewało, i przychodziło z daleka – że było w tym zjawisku coś z ognia, zawieszzonego w powietrzu, ognia, który niczego nie rozdziera ani nie gryzie, zmieszanego z wodą, zawartego we wnętrzu wilgotnych kulek, ognia w wydaniu łagodnym, oswojonym? Płomień w nocnej lampce? Grona ognia, ożenionego z wodą wieczoru, z przyborem nocy, która jest w środku, choć jeszcze nie przysła?

Drżenie bezgranicznej słodyczy przebiegało to wszystko, niczym podmuch, coraz chłodniejszy z nadejściem nocy. Myślę, że nasza kora, z roku na rok coraz bardziej szorstka, w ciągu tych paru chwil wygładziła się jak roztajała ziemia, z której wnętrza wytrysnęły na powierzchnię nowe wody.

Wyczuwało się jakąś niezrozumiałą więź liści z nocą i dość odległą rzeką, tak jak z kolei więź owoców z ogniem i ze światłem. To, co sprawiło, że się zatrzymaliśmy, to, co zdawało się mówić coś do nas z tamtej strony pola zjeżonego wiatrem niczym pobladła rzeka, przypominało trochę – nie przestając ani na chwilę być czereśniowym drzewem, uginającym się pod ciężarem owoców, których różnaitość zaczynałem dostrzegać w miarę przybliżania się, podobnie jak wszystko wokół nas nie przestawało być drogą, polem i niebem – niewielki pomnik natury, rozświetlony nagle od środka światłem oliwy ofiarnej, coś w rodzaju kolumny, ale takiej, która potrafi drzeć, nawet jeśli w tej chwili wydawała się absolutnie nieruchoma, ozdobiona, dla upamiętnienia, gronami owoców z oswojonego ognia. Na jego widok, choć wydawałoby się, że wydeptujemy jedynie nazbyt znane nam ścieżki, wszystko się odmieniło, wszystko nabierało innego sensu,

albo po prostu sensu. To tak, jak wtedy, kiedy na sali rozlegnie się nagle czyjś śpiew, ktoś wymówi zwyczajne słowo, zarazem jednak nie byle jakie, i to jest wciąż to samo pomieszczenie, ten sam pokój, nie wyszliśmy stąd ani na chwilę, tak jak nie przestaliśmy ani na chwilę być żerem drobiazgowej roboty czasu – niszczy-cieła, a jednak coś istotnego jakby się zmieniło. Tego wieczoru, być może nie-świadomie, odczułem, że czas, te wszystkie godziny, które w sumie przeżyłem zarówno w dzień jak i w nocy, wniknęły z wolna w te owoce, nadając im krągłość i barwę purpury, poczułem, że właśnie w ich wnętrzu wszystko to trwało w za-wieszaniu, w nich – zawieszonych pod osłoną liści, jakby wysiadanych przez te zielone skrzydła, za chwilę już szerniały, czarniejsze niż niebo, na skraju któ-rego drżały w uśpieniu, leciutko...

Lepiej bym zrobił – pomyślicie – zrywając owoce, bez tylu ceregieli. Ależ ja potrafię je zrywać, kocham ich blask w pełni południa, tę ich pyzatość zdrowych policzków, ich niekiedy cierpkawy, innym razem wodnisty smak, ich szkarłatną barwę. Ale to już całkiem inna historia: w upale dnia, w słońcu, to pośpieszne pragnienie wgryzania się w miąższ innych owoców – szczeble drabiny, po któ-rych to bynajmniej nie aniołowie wspinają się ku olśniewającemu niebu, lecz coś wspanialszego niż aniołowie...

Jedna barwa przechodzi w drugą, w godzinie przejścia, w której dokonuje się zmiana warty; słoneczny atleta ustępuje miejsca westalce, jakby bardziej nie-śpiesznej od niego – jak serce, Najświętsze Serce Chrystusa na świętych ikonach?

Płonący krzew.

Płomień, pod pieczę liści, choć one same są raczej w kolorze snu. Spokojne, darzące pokojem. Upierzenie macierzyńskiego ptaka.

Purpurowe jajeczka pod osłoną tych cienistych piór.

Świętowanie odległe, pod sklepieniem liści. Na dystans, coraz bardziej na dy-stans. Pelikan? Tak, gdyby te owoce miały w sobie coś z karmiących piersi. Ale one w niczym z tym obrazem się nie kojarzą.

Rady, które przychodzą z zewnątrz: pewne miejsca, pewne chwile „skłaniają nas”, jakby pod naciskiem niewidzialnej dłoni, która poddaje nam sugestię zmia-ny kierunku (kroków, spojrzenia, myśli); ta dłoń to być może podmuch, co na-chyla liście w tę, a nie inną stronę, nadaje kierunek obłokom, żaglowcom. Zaledwie napomknięcie, cichuteńkie, niczym czyjś szept: spójrz, lub posłuchaj, albo zwy-czajnie – poczekaj. Czy mamy jeszcze czas i cierpliwość czekać? I wreszcie – czy o to chodzi, żeby czekać?

Czy coś się wydarzyło?

Płomyk w stulonych dłoniach – oświetla, ociepla. Latarenka tajemna. Czy jest piękniejszy szyld, czy trafi się lepsza gospoda? Taka, do której nie trzeba nawet wejść, żeby się poczuć bezpiecznie, w której nie trzeba pić, by zaspokoić pragnienie.

„Pod owocującą czereśnią”. Piękny szyld, chociaż dość dziwaczny. Lecz cóż to za śmieszny podróżny, którego prowadzą i karmią miraże! Czy nie wygląda trochę nieprzytomnie, czy nie wydaje ci się, że zmizerniał? Niech no tylko wiatr się nasili i rozpęta, ten sam wiatr, co u progu letniej nocy przypomina mu dawne pieszczoty, a lękam się, że on już mu się długo nie oprze. Przed upływem czasu nie zaslonisz się wspomnieniami i marzeniami. A może nawet i modlitwami. Lecz czy ktoś nam cokolwiek obiecywał? Coś więcej, niż te piękne uludy, które nas wrywają z uspienia? Zbyt piękne jednak – czepiam się, jak maniak tej myśli – by mogły być tylko kuszącą uludą.

(Z tomu *Cahier de verdure*)

Philippe Jaccottet
przełożyła Krystyna Rodowska

Słowo radość

(*fragmenty*)

Przypominam sobie, że któregoś lata, gdy kolejny raz wędrowałem przez pola, słowo radość, jak czasem przesywa niebo ptak, którego się nie spodziewaliśmy i którego nie od razu umiemy nazwać, przeszło mi przez myśl i zadziwiło mnie. Najpierw, o ile pamiętam, zawtórowało mu słowo jedwab; nie było to zupełnie nedorzeczne, albowiem letnie niebo w owej chwili, skrzące, lekkie, drogocenne, pozwalało myśleć, że to wielkie proporce z jedwabiu o srebrzystych refleksach powiewają nad drzewami i wzgórzami, a żaby, jak zawsze ukryte, wysyłały z głębokiego rowu porośniętego trzcina głośnie jakby posrebrzane, księżycowe, chociaż silne. Moment był szczęśliwy, mimo to radość nie znajdowała uzasadnienia.

Samo słowo, które mnie zaskoczyło i którego sensu zdawałem się już nie rozumieć, było okrągłe w ustach, całkiem jak owoc; kiedy zaczynałem o nim roić, mieszałem trochę srebra (kolor pejzażu, który mnie otaczał, gdy o nim pomyślałem) ze złotem, godzinę wieczorną z południem. Przed oczyma przesuwał mi się obraz łąk w pełnym słońcu; to nie było dosyć; należało pozwolić działać zaczynowi metamorfozy i nie bać się. Każde źdźbło zamieniało się w instrument dęty, a pole w orkiestrę ze słomy i złocistego pyłu; buchał z nich dźwięk, który chciałem zrazu nazwać pożarem – ale nie: to nie mogło być szalone, żarłoczne ani nawet dzikie. (Nie nawiadzały mnie jednak obrazy, w których byłyby rozkosz, zmysłowość.) Próbowałem jeszcze lepiej usłyszeć to słowo (można by nieledwie powiedzieć, że przychodziło do mnie z jakiegoś obcego czy martwego języka: krągłość owocu, złoto zbóż, triumf orkiestry dętej, to wszystko było prawdziwe; brakowało jednak najważniejszego: pełni i nie tylko pełni (ma ona w sobie coś nieruchomego, zamkniętego, wiecznego), ale wspomnienia lub marzenia o przestrzeni, którą jakkolwiek pełna, całkowita, nieustannie by się rozszerzała, otwierała spokojnie i godnie na wzór świątyni, której kolumny (będące już tylko wsparciem dla powietrza, jak ruiny) odsuwają się jedne od drugich w nieskończoność, nie zrywając przy tym niewidzialnych więzów między sobą; albo na podobieństwo wozu Eliasza, którego koła rozrastają się do rozmiarów galaktyk, lecz ich oś pozostaje nienaruszona.

Owo prawie zapomniane słowo musiało do mnie wrócić z tych wysokości jak słabiutkie echo wielkiej, szczęśliwej burzy. Kiedy zimą rodził się nowy rok, między styczniem a marcem, wziąłem je więc i zacząłem nie tyle rozważać, co słuchać i zbierać znaki, dryfować wraz z obrazami; rozumiałem, bądź leniwie upewniałem sam siebie, że nie mogę zrobić nic lepszego, choćby miały z tego zostać tylko niedoskonałe i niespójne fragmenty, takie jakie przyniósł mi, bez kilku skreśleń, ten koniec zimy – daleko od pełnego słońca, które się wtedy ukazało.

Jestem jak ktoś kto drąży we mgle
szukając tego co się mgle wymyka,
kto usłyszał odgłos kroków blisko
i słowa które przechodnie wymieniali...

(Kto już nie może się w tym rozeznąć, niech zawierzy dziecku,
które jest jak krzak głogu.
On robi krok w słońcu pod sam koniec zimy
uspokaja oddech, znów krok ryzykuje...

Nigdy naprawdę nie był zaprzęzony do naszych dni
ani dość wolny żeby się tarzać po powietrznych łąkach,
on ma raczej naturę mgły,
szukającej ciepła które ją rozprasza.)

Wszelka radość jest bardzo daleko. Za daleko chyba,
mówi sobie że zawsze był taki, nawet jako dziecko,
bo lepiej pamięta zapach wilgotnej piwonii
potrąconej kolanem
niż młodą twarz matki
w ogrodzie w którym jarzębina plamiła alejkę czerwienią.

Nie zapuszcza się już nawet w głąb swego ogrodu.

Wyczerpany biegacz
przekazuje sztafecie białą pałkę z drewna
a jego ręka – czy ma coś do podania
jakąś gałąź żeby zakwitła albo się spaliła?

Czyżbym wszystko wymyślił, pędzel zmierzchu
na chropawym płótnie ziemi,
złocisty olej na łąkach i lasach?

Przecież to było jak lampa i chleb na stole.
Pomyśl o tym kiedy grunt usuwa się spod nóg,
zanurz w tej mgle osłabione ręce,
zbiierz trochę słomy na posłanie dla bólu,
tu, w zagłębieniu twojej ręki pokrytej plamami,

to może błyszczeć w dłoni
niczym woda czasu.

Philippe Jaccottet
przełożyła Agata Kozak

Od tłumacza

Philippe Jaccottet (ur. 1925) – poeta, eseista i tłumacz, oceniany wysoko przez krytykę francuską i czytelników, jest postacią niezwykle na tle współczesnej literatury francuskiej. Szwajcar francuskojęzyczny, po okresie młodzieńczej aktywności literackiej w Lozannie i latach spędzonych w Paryżu, w roku 1953, czyli w wieku 28 lat wycofał się z życia w stolicy i z przypisanym jej „targowisk próżności”, by osiąść na stałe, wraz z żoną malarką, w departamencie Drôme, w malowniczym i spokojnym miasteczku prowansalskim, Grignan. Niezwykłość jego osobowości, intrygująca rozlicznych dziennikarzy, którym rzadko i niechętnie udziela wywiadów, polega jednak przede wszystkim na jego stosunku do literatury, i na ascetycznej (z ducha protestantyzmu, który go ukształtował) skromności, z jaką traktuje własną pracę i osobę. Pytany o „wizję” świata, woli mówić o „prześwitywaniu niewidzialnego”, o zawsze cząstkowym, niepewnym, drążącym po omacku sensy rzeczy wysiłku poznawczym kogoś, kto stawia jedynie pytania, i oczekuje, być może daremnie, odpowiedzi. Dar prostoty i zdolność kontemplacji, to rzadkie cechy współczesnej literatury, nie tylko francuskiej.

Jaccottet jest przy tym pisarzem o doprawdy imponującym dorobku, zwłaszcza (jeśli chodzi o ilość) poetyckim i przekładowym, bowiem te dwie dziedziny twórczości od najwcześniejszych lat traktował równorzędnie, uprawiając je równocześnie lub naprzemiennie. Nie sposób wymienić zbiorów wierszy, jakie złożyły się już na pierwszy wybór jego poezji, *Poésie 1946-1967*, wydany u Gallimarda. Sam poeta zdaje się wyróżniać tom swoich miniatur poetyckich *Aires* (wiersze z lat 1961-69), ze względu na niezwykle stopień kondensacji znaczeń i przejrzystości obrazów, podarowanych mu przez „wewnętrzne oko”.

W dziedzinie przekładu, Jaccottet jest niekwestionowaną potęgą. Przetłumaczył *Odyseję* Homera, poezję Hölderlina, Ungarettę i Giacomettiego. To jemu zawdzięcza literatura francuska doskonały przekład *Człowieka bez właściwości* Musila i hermetycznej poezji Gongory. Przez całe właściwie życie – jak twierdzi – tłumaczy i doskonali swoje przekłady Rilkego. Jako czytelnik i krytyk, wielbi twórczość Dostojewskiego, bardzo wysoko ceni Osipa Mandelsztama i... Zbigniewa Herberta, o którego miejsce pośród zapoznanych, najwybitniejszych poetów XX wieku publicznie się upomina. I podobnie jak Herbert, należy do rasy artystów poczuwających się do głębokiej więzi ze sztuką i literaturą tradycji śródziemnomorskiej; toteż, jeśli gdziekolwiek się rusza ze swojego prowansalskiego azylu, to najczęściej do pobliskich Włoch. Jaccottet nie czuje i nigdy nie czuł awangardowej potrzeby burzenia, prowokacji i nowości; wprost przeciwnie, aspiruje do stworzenia czegoś, co byłoby „możliwie najbardziej starodawne, odwieczne” – jak powiedział w długiej rozmowie ze mną w Grignan. Najdalszy od szukania literackich efektów i ozdobników, zmierza ku maksymalnemu oczyszczeniu tekstu z metafor, porównań i innych figur stylistycznych, na rzecz jego „istotności”. Rzecz by można, że ten skupiony poeta-myśliciel, w trakcie swoich „przechadzek” po okolicach Grignan tropi rzadkie chwile epifanii, pielęgnując czystość umysłu i pokorę ducha, gotowego podjąć mozół odczytywania urzekających, lecz niejasnych fragmentów widzialnego świata – znaków jakiegoś innego, niedostępnego poznaniu wymiaru rzeczywistości. Najpełniej realizuje ów zamysł w swoich licznych prozach narracyjno-poetyckich, takich choćby, jak tłumaczony przeze mnie odrębny utwór *Na mgwienie sadu**, i prezentowana obecnie *Czereśnia*. W pierwszym z tych utworów obraz kwitnącego migdałowca, w tym drugim – owocującej czereśni, prowadzą czytelnika ścieżkami, na których zwyczajna „przechadzka” uzyskuje już nie tylko wymiar podróży inicjacyjnej – w głąb samego siebie – lecz także organicznej symbiozy świata natury i kultury. W gruncie rzeczy są to poetyckie traktaty, w których fascynacje czysto estetyczne (zawsze trochę podejrzane dla Jaccotteta, w świetle doświadczenia śmierci i cierpienia), godzą się, nie bez trudu, z wymiarem etycznym. Zarówno w swojej poezji, jak i w poezjo-prozie Jaccottet nie używa nigdy słowa Bóg; wystarcza mu wyczulenie na oddech Tajemnicy. Tak naprawdę jest magiem, w przebraniu ni to wędrowca ni spacerowicza, poddającym alchemicznemu przetworzeniu wybrane czasoprzestrzenie okolicznych pejzaży.

Krytyka Rodowska

* „Twórczość”, nr 8/1989.

Philippe Jaccottet

Uważnie patrzcie



Uważnie patrzcie w rozsłoneczone niebo,
kiedy żar je najmocniej rozjarzy:
właśnie tędy trzeba nam przejść.

Po tym jeziorze blasku suną łodzie.

Wytęźcie jeszcze lepiej wzrok:
ujrzycie, jak bezgłośnie prują tę prześwieconą mgłę,
aby – po drugiej stronie – już w wodach nocy zakotwiczone
wiecznie na głębinach zarzucać sieci.

Całe zboże

Całe zboże na polach płonie
i nagły skowronek
jest tego ognia idącą w górę cząstką.
Ziemia jest zbyt gorąca
i on dlatego wstępuje na kolejne piętra powietrza.

Jest takie piękno dotykalne dla oczu i rąk,
które sercu każe wejść na pierwszy stopień pieśni.
Ale drugi jest już niewidoczny i trzeba wznieść się wyżej,
aż kiedy nie będziemy widzieć już nic,
piękny łup i łowca uparty
stąpią się w jedno w radosnym triumfie światła.

Pomiędzy nami a najdalszą gwiazdą
odległość, choć niewyobrażalna, wciąż jednak jest
jak gdyby linią, więzią albo drogą.
I chyba tam, gdzie żadnej z nich już nie ma,
istnieje miejsce, gdzie odległości nie ma już w ogóle:
miejsce nie dalsze od najdalszej gwiazdy, ani bliższe,
ale już niemal w jakiejś innej przestrzeni,
gdzieś na zewnątrz, wydobyte poza wszelką miarę.
Nasza miarka, pomiędzy nim a nami przykładana,
na nic się zda – tylko ją jak szablę złamać na kolanie.

Kto by ją nazwał

Kto by ją nazwał kometą, nie byłby w błędzie,
tę światłość rzadko widzialną w ludzkim życiu,
a w twoim, obawiam się, ostatni raz.

Która przybyła z nieznanych przestrzeni
niosąc wszystkie wonie zrodzone oddaleniem,
bez końca wędrująca przez czarne pustynie,
w aureoli jej włosów będziesz chciała zagubić swój sen.

Dwa szkice

Więc tak żyliśmy, okryci płaszczem liści;
potem widać w nim dziury, opadają po trochu łachmany.

Przychodzi deszcz i pada na nie, niewyczerpany,
na błocie rozrzuca drobne resztki słońca.

To nic;
niedługo potrzebne nam będzie już tylko światło.

Odsuń tę światłość

Odsuń tę światłość – ona nigdy nie ma oczu -
tak jak niepotrzebną firankę, i wejdź,
zbliz się, ty, która patrzysz, która mówisz,
bardziej przejmująca niż jesiennie powietrze
łagodniejsza niż wełna jesieni i jesieni mleko.

Ale porównywać ją

Ale porównywać ją do zimnych konstelacji
– po co?

Ty, ciało, pojmujesz ją lepiej, mów w jej imieniu:
powiedz szeptem, że to nie tak, że to tak jakby
nieuchwytny łabędź pojawił się wreszcie w twoim pokoju
i musnął cię spojrzeniem albo bielą piór ...

Chciałbym już tylko jednego: odsunąć
to, co nas oddziela od jasności,
tylko miejsce zostawić wolne
dla lekceważonej dobroci.

Slucham ludzi starych
i u kolan tych, co zawarli pakt z czasem,
uczę się cierpliwości:

ale uczeń ze mnie bardzo kiepski.

w jakimś pokoju (gdzie już teraz
nas nie ma)
było łóżko zostawione w nieładzie,
tak jakby pałaca chmura
tę pościel rozrzuciła
albo jak się koszulę rozdziera.

Potem przyjdą łzy
takie co raz na zawsze, ciasno,
zaszyją szorstkie płótno.

Philippe Jaccottet
przełożyła Aleksandra Olędzka-Frybesowa

Aleksandra Olędzka-Frybesowa

Poezja bardzo inna

Philippe Jaccottet jest w jakimś sensie zagadką. Dla kogo? Dla krytyków, którzy chcieliby go – z natury swoich powinności – najpierw właściwie odczytać, a potem zanalizować i opisać. W tym celu zobaczyć w określonym kontekście, w zestawieniach. Publikuje nie tak wiele (co oznacza, że jest wymagający od siebie), ale publikuje właściwie nieprzerwanie. W jednym np. roku 1994 ukazały się u jego wiernego wydawcy Gallimarda, cztery pozycje: zbiór poezji i prozy poetyckiej pod znamionym tytułem *Après beaucoup d'années (Po wielu latach)*, zebrane artykuły i kroniki z prasy szwajcarskiej oraz dwa wznowienia tomów z lat 70-tych i 80-tych. Żeby mieć pełniejsze pojęcie o jego twórczości, trzeba uwzględnić także obfity i ambitny dorobek przekładowy, bo w wypadku tak wybitnego tłumacza nie jest on przypadkowy a przeciwnie – wiele mówiący.

Ponadto, żeby „odczytanie” twórczości wesprzeć i pogłębić osobistym kontaktem, rozmową i oglądem miejsc, w których pisarz żyje (w myśl zawsze aktualnego wskazania: *Wer den Dichter will verstehen muss in Dichters Lande gehen**), należy się wybrać do skalistej strefy ciszy w prowansalskim Grignan.

Przyczyną owej trudności właściwego odczytania, a nawet zagadkowości, nie są jednak okoliczności zewnętrzne. Rzecz w tym, że Jaccottet jest poetą bardzo różnym od innych. W sztuce naszych czasów, rozdieranej i rozdierającej, kwestionującej i odrzucającej, pojawia się oto nieoczekiwany ton. W świecie – widzianym przecież bez złudzeń – ton zgody i co więcej: wciąż zdumionej pochwały. Uznania jego paradoksalnych sprzeczności: przejrzystości i oczywistości, za którymi kryje się tajemnica. Więzi ze światem, który odsłania się oczom i osłania to, co w nim niewypowiadalne, a co jednak trzeba wypowiadać.

Takie trudności napotka także zbyt pochopny w sądach, zbyt pośpieszny czytelnik. Dar prostoty i naturalności, zwykłość składni, niewyszukanie słów, w sumie oszczędność, świadome ale nieodparte, wypływające z wewnętrznej potrzeby unikanie efektu... Wszystko to może łatwo przesłonić głębokie warstwy tej poezji. Podobnie jak krystaliczna przejrzystość, pozór pogody (może tej właściwej Jaccottetowi a nieprzetłumaczalnej zdaniem Iwaszkiewicza *sérénité*) może przesłonić intensywny choć dyskretny, wyciszony dramatyzm.

Trzeba zatem ze strony czytelnika wysiłku, może nawet uporu, w odrzucaniu schematów. Dopiero przestawiwszy odbiorczy aparat wrażliwości, otrząsnąwszy się z nawyków myślowych i stereotypów, jakimi bombarduje nas dziś sztuka ostenta-

* (niem.) „Kto poetę chce zrozumieć, musi udać się do jego kraju.” – z Goethego (motto z *Dywanu Zachodu i Wschodu*)

cyjnie kwestionująca i negująca, znajdziemy dostęp do tego, co jest obecne pod przejrystością, prostotą i uładzeniem tej momentami niemal „piosenkowej” poezji.

Uderza w niej obecność światła.

Zobaczmy najpierw, jakie to światło. Nie oślepia, nie jest zniewalające; nie dominuje jednoznacznie. To światłość „przybywająca z nieznanych przestrzeni”, czasem „rozslonecznione niebo”, które jest „jeziorem blasku”. Niekiedy nabiera mocy, gdy w palącym letnim żarze nad polami zboże zdaje się płonąć, a skowronek wzbija się w górę jak cząstka tego ognia. Najważniejsza jednak nie jest jego potęga, ale energia dynamizująca, ingerująca w wymiar ludzki.

Bo przez te rozlewiska blasku „trzeba nam przejść”. Trzeba „odsunąć to, co nas oddziela od jasności”. Co więcej: okazuje się, że człowiek jest tej jasności pełnoprawnym partnerem.

Chociaż odległe gwiazdy wysyłające ku nam blask są oddalone o „zupełnie niewymierne dla nas odległości”, tylko ciało, tylko istota, która „patrzy i mówi” jest zdolna pojąć w jakimś stopniu jego tajemnice. A zatem – tajemnicze wezwanie w jakimś „poza”. Symbolika światła: pojemna, bardzo dawna, właściwie archetypiczna. To przejmujące, choć dyskretne, jakby ściszone wezwanie brzmi w twórczości poety, kiedy zachęca, aby wznosić się na wyższe piętra, „tam, gdzie nie będziemy widzieć już nic”, w miejsce, „gdzie odległości nie ma już w ogóle”. To miejsce leży „w jakiejś innej przestrzeni”; chyba więc chodzi o wymiar mistyczny?

Obecność, nawet wszechobecność, nie oznacza jednak wyłączności. Współistnieją ze sobą światło i mrok. Gdzieś „po drugiej stronie”, na głębinach są „wody nocy”. Blask komety rozświetla „czarne pustynie”. W okrywającym nas płaszczu liści widać z czasem dziury. Nawet przejmujący skrótowością i niedopowiedzeniem obraz gwałtownej ludzkiej miłości biegnie ku jakiemuś „potem”, w którym są lzy i szorstkie płótno; śmiertelnego całunu?

Ta druga, mroczna obecność nie jest wprowadzona na zasadzie skontrastowania, dwubiegunowości, manichejskiego zestawienia bieli i czerni. Tutaj współistnienie jest mniej dramatyczne, ale i bardziej wieloznaczne.

Światło nie pojawia się gwałtownie i nieodwołalnie. Nie jest oślepiającym olśnieniem i nie jest witane ekstatycznie. Przychodzi wielokrotnie i pod różnymi postaciami. Więc nie epifania, ale epifanie – liczba mnoga! – a ich mnogość pracuje na to, że ono, światło, przesyca świat w jego całości.

Dramatyzmowi konfrontacji przeciwnych elementów: światła i mroku, towarzyszy zarazem jakby przyciszona tonacja: starcie jest niemal bezgłośnie. Czy przez to mniej przejmujące?

Nie, zwłaszcza że ten głębiej istniejący wymiar dramatyzmu czasem wybucha. To znów światło, ale osiągnące już inne nasilenie: ogień. Łagodny liryzm Jaccotteta zapala się niekiedy płomieniem, tak jak gotycka rozeta, o spokojnych nasyconych barwach, kiedy uderzy w nią rano nagły błysk podnoszącego się słońca. Tropiąc przelotne związki wieczności i chwili, poeta notuje takie momenty, kiedy nawet chłód wody – „źródło jakby się zapala” a świat jawi się jako „linia wzgórz ponad niewidzialnym pożarem”. Czy i jak pożar świata da się wypowiedzieć? Za sprawą – odpowiada poeta –

„rozżarzonego węgla w ustach”. Więc aż za taką cenę, jaką płacił nie wspomniany tu wprost, ale bezbłędnie przywołany skojarzeniem, prorok Starego Testamentu?

Dziwny byłby to prorok... Nie wołający wielkim głosem, straszny i prowokujący, którego wrzuca się do pustej studni albo przynajmniej wypędza poza granice miasta. Mówiący cicho, nie narzucający swoich słów. Mówiący chyba jak Elias o czymś, co nie przychodzi w gromach burzy ani w porywach huraganu, ale w lekkim podmuchu, prawie niewyczuwalnym. Jednak jakoś inny, mówiący z oddalenia swojej dyskretnej inności.

* * *

Przewaga jednej ze stron: światła i mroku nie jest ostentacyjna. Za to – niepodważalna. Trzeba tylko „odsunąć to, co nas oddziela od jasności”, ponieważ „niedługo potrzebne nam będzie już tylko światło”.

Kto to mówi? Takie oświadczenie w ustach poety znużonego doświadczeniami Europy u końca XX wieku? I gdzie się tego nauczył? Skąd odwaga, tak, odwaga do kolejnego wezwania, prowokacyjnie prostego w niemal dziecinnej naiwności: „miejsce zostawić wolne/dla lekceważonej dobroci”...

Na pewno nie nauczył się tego od poezji kraju, nie rodzinnego wprawdzie (Jaccottet jest francuskojęzycznym Szwajcarem urodzonym w roku 1925 w Moudon), ale – ojczyzny z wyboru. Po latach aktywności literackiej w Lozannie i kolejnych siedmiu spędzonych w Paryżu, osiedlił się w 1953 roku definitywnie na południu Francji. Na szczycie skalnego wzgórza leży niewielkie malownicze miasteczko Grignan, którego historyczno-zabytkowy charakter wyznacza i teraz renesansowy zamek, gdzie spędziła ostatnie lata swojego życia pani de Sévigné. W domu, który stanowi część dawnych obronnych murów, Jaccottet znalazł schronienie. Przed czym? Być może przed zamętem prądów estetycznych i filozoficznych, ale i pewną miłośnością dyskusji, koterii i literackich kapliczek, atmosferą artystycznej metropolii.

Warto może przypomnieć, że poezja francuska nie odpowiadała też Herbertowi, kiedy stykał się z nią w Paryżu w 50-tych i 60-tych latach. Raził go jej „łaciński gorset nie pasujący do współczesnej wrażliwości”. Tak przypuszczalnie odbierał Herbert mocne dziedzictwo retoryki splecione z młodszym dziedzictwem eksperymentujących dwudziestowiecznych -izmów. Pierwsze i drugie sumowało się w pochłonięciu doniosłością: własnego, poetyckiego „ja”, przeżywającego większe i mniejsze przygody, ale i doniosłością... słowa.

Mimo usunięcia się na ubocze, krytyka dostrzegła jednak i uznała pozycję Jaccotteta.

Jean-Pierre Richard w zbiorze esejów poświęconych „nowym klasykom” poezji francuskiej (*Onze études sur la poésie moderne*, 1964), omówiwszy twórczość Reverdy'ego, Saint-John Perse'a, Chara i Eluarda, wśród pięciu najwybitniejszych żyjących poetów wymienia Jaccotteta.

W dziesięć lat później szwajcarski krytyk o światowej sławie Jean Starobinski podejmuje i rozwija przenikliwie analizy poprzednika, uwzględniając już także książki, które w dziesięcioleciu powstały.

O randze tej poezji, obcej uroczystemu wielosłowiowi, stanowi – powiada – jakość stosunku, wyznaczanego szukaniem sensu, który buduje się z pytań. Wyznawana przez poetę niewiedza jest zarazem siłą i bogactwem (otwarcia? gotowości dialogu?); wycofanie swojego „ja” prowadzi paradoksalnie do dyskretnej ale niepodważalnej obecności tego „ja”.

Upłynęło następne dwadzieścia lat, zanim pojawiła się książka pod redakcją Jean-Pierre Vidala – rodzaj monografii zbiorowego autorstwa. Tymczasem bowiem o powszechnym i rosnącym uznaniu dla poety żyjącego na uboczu i nie zabiegającego o uznanie, świadczyły coraz nowe fakty. Żadna z pozycji jego dorobku nie pozostaje nie zauważona przez krytykę. Obok recenzji, omówień, artykułów, audycji radiowych, są to – może najważniejsze – wznowienia.

A także obecność pisarza w prasie literackiej. Dwumiesięcznik „Sud” poświęcił mu dwukrotnie numer specjalny (32/33 i 80/81), podobnie – genewskie czasopismo „Belles Lettres”; a w 1992 lozański miesięcznik „Écriture” przyniósł materiały z poświęconej poecie sesji. Wspomniana monografia zbiorowego autorstwa (*Philippe Jaccottet*, 1990, Ed. Payot) poza rodzajem rozpisanego na głosy portretu pisarza i serią wywiadów, gdzie przemawia on własnym głosem, zawiera – jak na monografię przystało – solidną bibliografię. Jej statystyczna ekspresja może zadziwić czytelników pisarza. Dni żyjącego od kilkudziesięciu lat na głębokiej prowincji to nie tylko (o czym zdają się mówić tytuły zbiorów poetyckich i poszczególnych wierszy) przechadzki po łąkach i sadach, kontemplowanie kwiatów w ogrodzie i zarysów gór na horyzoncie... 35 opublikowanych książek własnych, 58 tomów przekładów literackich (przede wszystkim Rilke, Hölderlin, Mann, Musil), 652 artykuły poświęcone krytyce literackiej i sztukom plastycznym.

Przedziwny w tym świetle musi się wydać dotychczasowy, niemal zupełny brak w Polsce przekładów tej poezji, tłumaczonej już na wiele języków poza tzw. „wielkimi językami europejskimi” – angielskim, niemieckim i włoskim.

* * *

Jaccottet spędza kolejne dziesięciolecia w Grignan. Cisza i izolacja, codzienne obcowanie z otaczającą go krainą o pięknie nicostentacyjnym, harmonijnym i jakby skromnym – o czym niejednokrotnie sam pisał, analizując swoje pogłębiające się oczarowanie. Następowало ponadto stopniowe wchodzenie w niewielką prowincjonalną społeczność. Tak dojrzewała twórczość „mieszkańca Grignan”, jak Jaccottet sam siebie nazywa. I to otoczenie naznaczyło także rysunki i płótna żony-malarki, nieodłącznej towarzyszką życia, Anne-Marie.

Narastające poczucie radosnej bliskości z tym świadomie wybranym małym kąmkiem świata rodziło równocześnie olśnienie i spokój. Odmienność małego, wybranego świadomie skrawka rzeczywistości od świata nurtowanego wstrząsami przemian, poddawanego rytmom przyśpieszenia, pozwala także lepiej dojrzeć „oddzielność” poezji Jaccotteta i jej odwagę.

Kształtujące działanie miejsca nie było przecież wyłączne. Grignan było także sceną, na której wyrastał w tych długich latach dorobek poety.

Dom Jaccotteta, z widokiem na sady i ogrody, dom, w którym się pisze, ma-
luje i muzykuje, i gdzie przybywających wita gościnność, zabarwiona szczegól-
nym tonem dyskretnej, jakby nieśmiałej życzliwości, jest na pewno miejscem
sprzyjającym lekturom.

Wśród nich znaczącym punktem biografii literackiej okazało się zetknięcie z po-
ezją Wschodu. „Skończyłem właśnie pisać *Ciemność*, która do pewnego stopnia
jest opowieścią o kryzysie zaufania do słowa. Natrafiłem wtedy na angielską an-
tologię haiku. Zacząłem te haiku czytać powoli, jeden wiersz na dzień. Miałem
wrażenie, że piję szklankę źródlanej wody, że wychodzę z jakiegoś trudnego dla
mnie okresu”.

Wyznanie poety mówi o dokonującym się przełomie. Istotnie odmienia się z cza-
sem nie tylko tonacja, ale i sam kształt wiersza. Regularna prozodia i pewna roz-
lewność w opisie sytuacji lirycznej ustępują miejsca kondensacji: jakby kontury
stawały się wyraźniejsze, nie tracąc nic z tajemnicy, przeciwnie, mnożąc ładunek
zawarty między wierszami albo w zawieszeniach głosu. Nawet w tytułach kolej-
nych zbiorów pojawia się więcej pogodnego światła: *Airs (Melodie)* 1967, *A la
lumière d'hiver (W zimowym świetle)* 1977, *Pensées sous les nuages (Myśli pod
chmurami)*, 1983.

Życie w ciszy prowansalskiej samotni jest nasycone kontemplacją. Dąży zatem
do jedności. Kontemplacja wymaga takiej postawy i zarazem rodzi ją. Potrzebą
staje się także jedność wypowiedzi. Zacierają się granice gatunków literackich. Po-
ezja mówi z prostotą prozy, proza staje się prozą poetycką.

Tak powstają zapisy z tego, co przynoszą kolejne dni. Przechadzki po ogro-
dach, obserwacje kwitnącej czereśni i zmiennych pór roku, albo szerokie hory-
zonty górskich wypraw. Także podróże zagraniczne; inność płaskiej Holandii,
obfitość wody i chmur, odmienna jakość światła, medytacje nad arcydziełami ma-
larstwa oglądanymi w muzeach. Myśli pod drzewami i nad książkami. Jakby wy-
pisy z lektur stowarzyszone z osobistą refleksją i analizą. To takie zbiory jak:
*L'Entretien des Muses, Paysages avec figures absentes, La Semaison, A travers un
verger, La Promenade sous les arbres.*

Bliskie naszej wrażliwości, odpowiadają formule „zawsze fragment”. Mają bez-
pośredniość częstych obecnie literackich notatek, spisywanych jakby na margine-
sach codzienności. Kreują wyrazistą sylwetkę pisarza. Postawę odmienną np. od
beztroski lirycznego paryskiego włóczęgi, którą prezentuje Jacques Réda; tym bar-
dziej od łakomstwa naszego pożeracza wielokształtności świata – Miłosza.

Przede wszystkim narasta po owym przełomie potrzeba prostoty, uznania wa-
gi małych drobin świata: poszczególnych chwil, jednostkowych skromnych ist-
nień, niezauważanych przedmiotów. Oglądanych teraz inaczej, bo dostrzeżonych
w ich „takości” – zgodnie z określeniem mistrzów haiku.

Poeta mówi wyraźnie o swojej inicjacji w to, co się często nazywa (ale jak wie-
loznaczna jest ta nazwa) – „mądrością Wschodu”. Tak, było to wyjście z pewne-
go wewnętrznego kryzysu. Nie chodziło przy tym o kontakt z nieznaną dotąd
poetyką, ale z postawą czy raczej filozofią życiową odsyłającą do czegoś „inne-

go”, poza słowami i obrazami. Pisząc o tym zjawisku we *Wprowadzeniu* do swojej małej antologii haiku, Miłosz przytacza definicję angielskiego ich znawcy i komentatora: haiku nie jest literaturą, ale „wyrazem krótkotrwałego olśnienia, kiedy wglądamy w życie rzeczy”. W poczuciu jedności ze światem poeta z Grignan otwiera wtedy dostęp do swoich wierszy nie tylko pejzażom, sylwetkom gór czy strumieniom. Pojawiają się np. – jaskrawe w jesiennym słońcu – dynie, ramy okien malowane na niebiesko „przeciwko muchom, przeciwko upiorom”. Więc nawet uśmiech u tego zatopionego w swoich medytacjach poety?

Owszem, inspiracje buddyjskie (nigdy u Jaccotteta nie werbalizowane, ale obecne w głębokich warstwach psychiki) znajdują siłę promieniowania.

Dlatego nie szukamy u niego widocznych wprost śladów tej fascynacji. Ona okazała się tak płodna, ponieważ napotkała i włączyła się organicznie w istniejące w nim predyspozycje. Pomoże natomiast odczytać jego inność, odrębne miejsce (a także ryzyko niezrozumienia, obojętnego przejścia obok przez współczesnych); zwłaszcza na tle kultury, dla której wyzbycie się siebie, kontemplacyjne przeniesienie się w opisywany przedmiot, to jakości trudne, z gruntu obce. Co wspólnego między wymaganiami ascetycznej dyscypliny, rodem z jakby klasztornych reguł Zen, a superaktywnością naszej epoki, oscylującej pomiędzy radosną, choćby najszerzej pojętą konsumpcją a podejrzliwym sceptycyzmem przeradzającym się w otwarty bunt albo zapiekłą negację...

Te same inspiracje podważają w pewnym sensie nasze europejskie zakorzenienie podziały: duch i materia, pesymizm i optymizm, albo w wypadku Jaccotteta szczególnie ważne – życie i śmierć.

Pierwszy etap jego twórczości zdaje się pozostawać niepodzielnie pod znakiem niepokoju, lęku i śmierci. Zbiory poetyckie noszą wymowne tytuły: *Requiem* (1947), *L'Éffraie (Złowróbny ptak)*, 1953), czy *L'Ignorant (Ten, który nie wie)*, 1958), tom, który zwrócił na pisarza powszechną uwagę, nie wolna od autobiograficznych elementów powieść została zatytułowana *L'Obscurité (Ciemność)*, 1961).

I później, żyjący w czasach rozpaczy i nieoczywistości sensów, Jaccottet nie omija pytania wiecznego, ale w naszej perspektywie szczególnie dojmującego. Śmierć i nieodstępny od niej lęk towarzyszą mu od najwcześniejszego okresu twórczości po ostatnie publikacje. Ten motyw przewija się przez medytacje, powraca w obrazach poetyckich i skojarzeniach, czasem tak nieoczekiwanie jak wtedy, kiedy pejzaż łagodnej księżycowej nocy zostaje utożsamiony z „królestwem zmarłych”.

Również cykl *Nauki (Leçons)* ze zbioru *W zimowym świetle* jest właściwie notatnikiem ostatnich chwil starego człowieka, który odchodzi na zawsze, i momentów po jego odejściu przeżywanych przez tych, którzy zostają. Przejmujący to w swojej prostocie notatnik. Te chwile, mówi poeta, to „lekcje dawane batem”.

Pozostaje jednak wciąż pytanie: czym jest owa „inność” poety? Obecność, prawie wszechobecność śmierci – wbrew temu, co nazaczyło współczesną literaturę – nie burzy najgłębszej harmonii, akceptacji a nawet – afirmacji świata i jego, niewątpliwie dramatycznego, porządku. „Jest przecież coś, czego ten nóż nie tyka”. W tej tajemnicy ma swój udział nie tylko wiara w obecność światła, ale tak-

że intensywność tego światła, tworzącego przeciwwagę mroków. Równie uparcie pojawiają się bowiem przez cały czas wspomniane już motywy przejrzystości, świetlistej lekkości, pędu ku górze. Jeden z cytatów poetyckich jest poświęcony „Słowu radość”.

Czy poeta mający coś ważnego do powiedzenia swoim czasom to tylko ten, który je wyraża: ich pytania, wątpliwości czy niewiedzę? chyba także ten, kto odkrywa i wypełnia ich potrzeby, przynosi to, czego im najbardziej brakuje. Właśnie afirmację, ucieszenie, zdziwiony zachwyt wobec świata i radość. To wszystko stowarzyszone z prostotą, naturalnością i takim nieekspozowaniem swojego „ja”, że nasuwa się na myśl niemodne słowo „skromność” (przywoływane zresztą często przez krytyków omawiających poezję Jaccotteta).

Może zatem ta poezja niesie określone przesłanie? I czy jest to przesłanie etyczne? Tak, ale wolne od wszelkich akcentów moralizatorskich i tak dyskretne, że można by się wahać, czy w ogóle je przesłaniem nazywać. Zwłaszcza że do siebie samego są kierowane wszystkie te wezwania i „rady” (nawet „księżyc daje rady”), wszystkie pouczenia (nawet z opisu cichej nocy płyną „nauki”, a światło „prowadzi rękę piszącego”).

To on, piszący, pobierał „lekcje dawane batem” patrząc na śmierć bliskiego człowieka; to on uczy się „cierpliwości u kolan ludzi starych”. A choć przyznaje, że „uczeń ze mnie bardzo kiepski”, to właśnie u tych kolan znajduje to, co czytelnik znajdzie w jego poezji: „pakt z czasem”.

Pakt z czasem? Z tym wrogiem człowieka, bestią pożerającą byt, albo otwarcie, żarłocznie, albo podstępnie i powoli nadgryzającą istnienie jak kornik drzewo, jak czerw... Z tym – skrywającym się pod różnymi maskami – prawdziwym bohaterem bodaj większości znaczących dziś utworów literackich.

Jak go oblaskawić; zanegować, czy wyminąć? Albo czas utracić, a potem odzyskać. Nie każdemu to dane. Ale można przynajmniej wiedzieć, o co w tej nierównej walce idzie.

Na szczęście nawet okruchy światła, ocalane, mają w sobie obecność światła.

Aleksandra Olędzka-Frybesowa



Jan Błoński

Wtajemniczenie – tematy Witkacego*



Fot. Czesław Czaplinski

Jak uporządkować tematy Witkacego? Calkiem proste to nie jest, bo Witkacy zmieniał się i bawił, igrając czasem swoimi teoretycznymi tezami, przy których lubił majstrować – nie zawsze konsekwentnie. Ale od czego jego upór i skłonność do powtórzenia? Uważnie czytając, nie sposób nie spostrzec, jak często wraca mu pod pióro motyw wtajemniczenia. Nie ma chyba sztuki, w której ktoś nie przekazywałby komuś wiedzy zastrzeżonej lub trudno zrozumiałej... zarazem jednak ważnej, ciekawej, w jakimś osobliwym znaczeniu – twórczej: „Przejdź tam – mówi Korbo-wa – gdzie cierpienie jest równowartościowe rozkoszy, tam gdzie chodzi tylko o rodzaj metafizycznej beztroski (...) jest w tym możliwość wściekłego żaru i mroku międzygwiazdznego (...) i to wahanie, ta nicłość, która się spełnia!” (D I 98)¹.

Ale nie musimy już dociekać, czy było to jeszcze jedno „doznanie Witkacego”: objaśnialiśmy je już wielokrotnie i na rozmaite sposoby... Tym łatwiej można wskazać, jak często pojawia się w sztukach i powieściach – pod postacią potrzeby czy pokusy. W życiu Plasfodora – zapewnia Mumia – „było już wszystko; za dawnych lat byłby mędrce i wojownikiem” (D I 136). „Czuję nienasycenie tak potworne, że mózg w kaszę gorącą zamienia – oświadcza Tumor Mózgowicz – Teraz przewycięzę mdłą demokrację definitywnie. Będę naprzód władcą okrutnym i groźnym, a potem zaprowadzę socjalizm zupełny. Niech się zgotują te bydlęta w ich własnym sosie” (D I 178). W *Metafizyce dwugłowego cielęcia* kolonialni awanturnicy tak zabierają się do wychowania szesnastoletniego Karmazyniella:

MATKA: Profesorze, co ja mam robić z tym chłopcem? Pojęcia nie mam, co z niego będzie

.....

MIKULINI: (...) zrobimy z niego coś piekielnego (...) poświęcę na to resztę życia, ale muszą go przetransformować.

Wtajemniczenie w świat dorosłych może także przyjąć postać trywialną lub cyniczną: tak w małżeńskich targach w nieukończonym *Straszliwym wychowawcy* (D II 559 i n.).

* Fragment przygotowywanej książki o Witkacym.

¹ Wszystkie cytaty pochodzą z: Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Dramaty* t. I, t. II, PIW, Warszawa 1962.

Mała Świńtusia nauczyła się nie mało od dziadka Wahazara i prorokuje:

SWIŃTUSIA: Niech się stanie cisza. Ja wiem coś świętego. Powiem wam wszystkim i wszyscy będziecie tacy sami jak ja. Spotkamy się jeszcze raz w nieskończoności (D I 564).

Cechy wtajemniczenia ma również świetna scena w *Kurce Wodnej*, gdzie Edgar strzela do Kurki w momencie, kiedy Tadzio „wypelza zza kopca” i postanawia zostać rozbójnikiem... albo artystą:

TADZIO: Nic okropnego naprawdę nie ma – czasem tylko bać się niedobrze. A okropną rzeczy, takie naprawdę okropne, to ja maluję tylko wodnymi farbami – wiesz? A boję się bardzo, ale we śnie (D II 17).

Nadobnisie i koczkodany zaczynają się jawnie od inicjacji, wtajemniczenia za barwionego homoseksualnie:

„Chcę cię uchronić od wszystkich tych potworności, które przeżywałem”, mówi do Tarkwiniusza Pandeusz: sam kochałem się i w niewinnych panienkach i w demonach (...) Byłem ofiarą, drobniańką muszką w łapach straszliwych pajaków, byłem sam demonem i rozgniatałem serca, jak truskawki (...) Musimy wrócić do czasów greckich (...) Będę prowadzić cię drogą ciężką ku absolutnej jedności dusz męskich... (D II 172).

Zbyt te wzniosłe frazesy interesowne, aby Tarkwiniusz („bardzo piękny młodzieniec”) nie wahał się przed poddaniem Pandeuszowi: w końcu jednak ginie z ręki swego „mistagoga” Klawistańskiego! Inicjacja okazuje się w tym wypadku i w takim towarzystwie – śmiertelna (D II 201). W *Janulce córce Fizdejki* Mistrz zapowiada: „Ja zostanę tu z Janulką i wszczępię w jej psychiczny kościotrup jad tajemnic najgorszych. Pewna doza zła, zwykłego lotrowskiego zła, nie da się uniknąć nawet w naszych wymiarach” (D II 310). Tak więc wtajemniczenie, niepozabawione początkowo rysów ludycznych i ekstatycznych... okazuje się w miarę upływu czasu i postępu twórczości Witkacego – wtajemniczeniem ku zagładzie.

Wtajemniczenie zmienia człowieka i czyni go innym, co nie znaczy – w potocznym rozumieniu – lepszym. Wprowadza go po prostu w świat Witkacego, pozwala lepiej zrozumieć jego doktrynę i życiową strategię jego postaci. Może też zostać odrzucone, częściej jeszcze – zniekształcone... zawsze jednak bogaci lub przynajmniej urozmaica Witkacowe *universum* lub przynajmniej przydaje mu rozmaitych i niespodziewanych rysów. Dlatego pojawia się w tak rozmaitych okolicznościach, wersjach i znaczeniach; często bywa rozumiane źle... może też pozostać nierozpoznane. Jednak w dwu przynajmniej sztukach – w *Mister Price* i *Nowym wyzwoleniu* – zostało tak rozwinięte i rozpracowane, że stanowi centralny czy właściwy temat utworu; co ciekawsze, oba te rozwinięcia różnią się bardzo od siebie pod względem czysto literackim. Zaslugują też chyba na dokładniejsze omówienie.

W towarzystwie szalonych biznesmenów, w gorączce spekulacji i rozpętanych namiętności, gdzie, o dziwo! znalazł się także polski spekulant z Rangoonu, Brzechajło czyli Briczelo... zwraca uwagę mężczyzn piekielnie ponętna Ellinor Golders. Fascynuje najpierw Nieznajomego czyli Sydney'ą: popada on w szaleństwo tropików, tym szybciej, że demoniczna Ellinor rzuca na niego „czar rzeczy wiecznych”. Ma ona – jak mówi – serce, w którym drzemie jakaś tajemnica i nie wie „czym ona jest, zbrodnią czy wielkim poświęceniem? W każdym razie nie jest miłością” (D I 215).

Ellinor to kobieta fatalna: wciela wszystkie cechy istoty, która pojawiła się w romantyzmie, zenit zaś osiągnęła na przełomie wieków. Ta pożeraczka serc czeka – nienasycona – na miłosny łup niczym pająk na muchę: Witkacy nie waha się odwoływać do najbardziej wytartego słownika brukowych romansów i tandetnych melodramatów. Tutaj jednak godna Przybyszewskiego frazeologia miesza się z brutalnym słownictwem ludzi pieniądza... Ellinor to trujący kwiat na bagnie spekulacyjnego interesu. „Och! Jakże się nudzę” – wyznaje (D I 215). W takich replikach widać doskonale, że Witkacy od początku gra na dwu instrumentach, tak aby połowa widowni wzruszała się, druga zaś dławiała ze śmiechu. Współcześnie – jak przypuszczam – zwyciężyłaby jednoznacznie kpina.

Tymczasem Golders stara się poskromić żonę, która uważa się za „białą niewolnicę”. Chciałaby poznać bliżej Price'a, w którym jest znowu „dwo jakichś ludzi, którzy straszliwie walczą (w nim samym) o kogoś trzeciego”, jak z udanym współczuciem twierdzi Ellinor. „Och, jakże się nudzę” – wyznaje wreszcie, chyba już szczerze (D I 213)...

A Price? Price woła w rozpacz do Goldersa:

PRICE: Ryszardzie. Ja nie mogę dłużej. Ja oszaleję. Pracowałem dziś cały dzień jak wół. Chciałem się pokonać i nie mogę. Kocham twoją żonę jakąś zupełnie nową, szatańską miłością. À propos: zapomniałem ci powiedzieć: cały gumowy Cejlon należy do naszego trustu. Kawa się waha, ale posłałem dwie depesze do Colombo. Jeden stary Picton jest z nami (D I 237).

Skąd u Witkacego te egzotyczne fantasmagorie? Płynąc do Oceanii poznał tropiki i przekonał się nie tylko do piękności egzotycznych krajobrazów. Straszliwy upał, nieznośna nęcza i szczególna pozycja białego człowieka wyostrzyły jakby gwałtowność Witkacowych postaci i działań scenicznych. To co pomyślane, wymarzone, zakazane w Europie tu okazywało się możliwe, dopuszczalne, wykonalne! Biały człowiek mógł sobie pozwolić na wszystko... mógł też w okamgnieniu wszystko stracić, łącznie z życiem. Łatwo więc zrozumieć, że dla Witkacowych postaci zanurzenie w tropiki jest przepustką do „prawdziwego życia”, życia nie spętanego umową społeczną lub ogólnie uznanymi regułami moralnymi. Wyrażają to *expressis verbis* dzieci polskiego (ależ tak!) spekulanta, który ocalał z rzezi skłóconych kapitalistów:

LILY: Mam wrażenie, że to myśmy dostali teraz bzika. Widzisz, Tom: to są prawdziwe grube ryby, papa i Golders. Takim nie będziesz nigdy, żebyś pękl nawet.

JACK: Ale ja będę jeszcze grubszą rybą. Nauczyłem się dziś tak wiele! Nie zaczynam od początku i przyjmuję pomoc papy. Ale do czego dojdę, sam diabeł nawet nie wie, nawet w ataku tropikalnego bzika tego wyobrazić się nie da (D I 344-345).

Inicjacja okazała się więc nadzwyczaj udana!

Nowe wyzwolenie należy do bardziej zagadkowych sztuk Witkacego. Powiada no czasem – zważywszy na tytuł i postać Ryszarda III – że stanowi ono parodię Wyspiańskiego lub Szekspira (czy też obu naraz). Ale intencję przedrzeźniania widać zwłaszcza w prologu. Co – oprócz tytułu i króla – zaczerpnął Witkacy z arcydziel przeszłości? Fabuła, postacie, problemy sztuki nie mają wiele wspólnego z *Wyzwoleniem* czy *Ryszardem III*.

Kiedy podnosi się kurtyna, w salonie „oparty plecami o filar, stoi król Ryszard III i od czasu do czasu robi ruchy takie, jakby chciał się oderwać od filaru i odejść. Bronią mu tego zamaskowani Mordercy (...) Na kanapie w lewym rogu (...) siedzi Tatiana i robi robótkę. Na prawo (...) siedzi Zabawnisia” (D I 351). Taką zaś obie prowadzą rozmowę:

TATIANA: (*robiąc robótkę, do Zabawnisi*). Pokażę ci dziś nowego człowieka. Na imię ma: Florestan. Powinien być tu zaraz. Nic ci o nim nie powiem, bo chcę, żebyś sama odgadła, jakim jest i jakie jest jego przeznaczenie. (*Do Morderców, nie patrząc na nich, lekko odwracając głowę*) Szanowni Mordercy, uważajcie na waszą robotę jak zwykli nałajcy pracownicy i nie rozpraszaście waszej uwagi słuchaniem naszych rozmów.

ZABAWNISIA: Taka jestem strasznie ciekawa. Już mi się zdawało, że nikt nigdy się nie ukaże, że wszystko jest skończone w tym ohydny klasztorze.

TATIANA: Głupia jesteś, moja Zabawnisiu (D I 351).

Zaczyna się więc po prostu lekcja życia, której Tatiana („siwawa blondynka. Lat około 40. Oczy potwornie podkrążone”) (D I 348), udziela córce czy pupilce, siedemnastoletniej Zabawnisi, świeżo wypuszczonej z pensji. Chce pokazać dziewczynie współczesnego „prawdziwego mężczyznę”, Florestana Wężymorda, potentata sztuki i przemysłu zarazem. Aby go zaś poniżyć i unaocznic Zabawnisi, jak poskramia się mężczyzn, inscenizuje spór między Florestanem a Ryszardem III. „To jest Ryszard II – mówi wyraźnie. – Dostał nieograniczony urlop i właśnie odbywa pokutę. Jest to komedia zainscenizowana przeze mnie” (D I 353-354). Czyżby rolę monarchy grał przyjaciel Tatiany? Czy mordercy byli naprawdę „płatni”? I czy wszystko, co nastąpi, było z góry wyreżyserowane przez Tatianę?

Zabawnisia – równie ciekawa co przewrotna – robi szybkie postępy w sztuce dręczenia mężczyzn. Florestan z trudem stawia czoło szyderstwu Ryszarda, tytana zaiste szekspirowskich namiętności. Ale niespodziewana wizyta matki Wężymorda sprawia, że intryga zdaje się wymykać z rąk Tatiany. W melodramatycznej scenie wychodzi na jaw, że Tatiana ściga swą miłością Florestana, stręcząc mu coraz nowe dziewczynki; że Wężymord czuje się nader niepewnie między matką a Tatianą; że matka „silnego człowieka” była kiedyś kochanką monarchy i że szekspirowski bohater podejrzewał, że spłodził Florestana... Czy publiczność winna w cały ten galimatias uwierzyć? Niekoniecznie. „Czyż wy nie widzicie – mówi Król – że to wszystko nie jest to? To tylko udawanie (D I 366). Ale na scenę wpada już tajemniczy Ktoś z sześcioma Drabami, wypędza Ryszarda i każe najokrutniej torturować Florestana. Witkacy zaopatrzył nawet katów w maszynkę do lutowania.

Przyjrzyjmy się teraz Tatianie: śmieją się jej „potwornie podkrążone” oczy! Mówi, że „od dłuższego już czasu żyje po raz pierwszy naprawdę (D I 366). A kiedy przestraszona Zabawnisia pyta o sens całego widowiska, Tatiana odpowiada: „Cicho – cicho. Tak właśnie trzeba – tak jest dobrze – tak będzie zawsze...” (D I 369).

Oczywiście, że to „życie naprawdę” nie jest niczym innym, jak „sztucznym światem” bohaterów Witkacego. Obojętne, czy Tatiana panuje jeszcze nad wydarzeniami. Grunt, że tak się one splątały, że pokonały nudę i pustkę, w jakiej żył zblazowany demon kobiecości. Dostarczyły Tatianie (choćby na chwilę) wrażenia intensywności i dziwaczności istnienia. A nam, widzom? Nam ujawniły, czym jest Czysta Forma, czym sztuka, która niczego nie naśladowuje, ale swoim splątaniem i osobliwością budzi poczucie jedności w wielości! Cóż z tego, że wydarzenia, jakie miały miejsce w *Mątwie* nie odpowiadają żadnej rzeczywistości, dzieją się poza jakimkolwiek czasem i możliwe są tylko na teatralnej scenie? Czy nie wystarczy, aby obudziły naszą ciekawość, zdumiały osobliwością, unaocznily rozmaitość związków, jakie powstają w dramatycznej interakcji? Ale nie muszą one wcale – uzasadnia Witkacy – odpowiadać życiowym praktykom, do jakich przyzwyczajeni są widzowie... Przeciwnie, interakcje, które powstają w teatrze Witkacego, będą ciekawsze, bogatsze w znaczenia, jeśli pisarz nie będzie przestrzegać życiowego prawdopodobieństwa. A poza tym: czy nie tak postępowali Wyspiański, Mickiewicz, Szekspir... tyle, że we wznościejszym rejestrze.

Spór Ryszarda z Florestanem rzuca dodatkowe światło na całość sztuki. Ryszard cierpi za zbrodnie, które popełnił jako bohater Szekspira. Popelniał je wszakże dlatego, że głęboko wierzył w wartości, jakim służył, w zadania, jakie sobie postawił. Dawniej – zdaniem Witkacego – metafizyczną dziwność można było osiągnąć bez zaklamania i deformacji życia.

„My w imię Boga różnił się jak rzeźnicy – mówi król – Ale ten Bóg był dla nas czymś. Dla was, pragmatyków, bo pragmatystą pan jesteś, panie Wąskomord – Bóg jest głupstwem, w które można wierzyć, kiedy przynosi odpowiedni procent” (D I 361-62). Procent oczywiście psychiczny, liczony w jednostkach wewnętrznego zadowolenia. Pragmatyści, nie wierząc w wartości, gotowi są jednak – powiada Witkacy – udawać wiarę, byle tylko uzyskać dreszcz dziwności czy in-

tensywności istnienia. Czy może być większa zbrodnia dla wiernego czciciela absolutnej prawdy, Tajemnicy Istnienia? Przypomnijmy, jak w *Nowych formach w malarstwie* Witkacy określał swój stosunek do filozofii pragmatystów:

„Dążenie do osiągnięcia jasnego określenia granic naszego poznania miało wartość samą w sobie, a nie cel osiągnięty, osiągnięcie go bowiem (...) doprowadziło nas do (...) uznania czysto praktycznej filozofii życia, w której, jak to czynią pragmatyści, pozwalamy na każdą wiarę, byleby ona była pożyteczną. A ponieważ nie może chodzić tu o pożyteczność jedynie osobistą (...) kryterium dla oceny prawdy staje się pożyteczność społeczna, która jest względna zależnie od tego, z punktu widzenia jakiej klasy będziemy ją rozpatrywać”.

Tytuł sztuki można rozumieć trojako. Wyzwoleniu ulega najpierw Zabawnisia. Jak mistrzowie „wyzwalają” czeladnika, tak dojrzała kobieta „wyzwoliła” niaby to naiwną dziewczicę, przygotowując Zabawnisię do okrucieństw samodzielności. Ale można także powiedzieć, że Witkacy wyzwala się od zmory znienawidzonego pragmatyzmu, załatwiając Florestana słowną dyskusją – i maszynką do lutowania. Także Draby „wyzwalają” świat: likwidują przecie pozorne problemy salonowych komedianów, przygotowując groźną, nieuchronną przyszłość, której nadejście tylekroć zapowiadał Witkacy.

Nowe wyzwolenie jest zarazem intelektualną przypowieścią i fascynującą baśnią. Fantastyczne postacie toczą rzetelny filozoficzny dyskurs – zaś wtajemniczenie w „prawdziwe życie” nabiera barw przewrotnych i jednocześnie niesmacznych. Ale ani na chwilę nie wierzymy w prawdziwość czynów i nie szukamy prawdopodobieństwa zdarzeń. Kim jest naprawdę Ryszard? I co może Tatiana? Obojętne: oscylacja między prawdą a pozorem, dosłownością a komedią jest właśnie urokiem *Nowego Wyzwolenia*. Problemy intelektualne i uczuciowe fantazmaty przybierają jakby kształt snu lub raczej – marzenia na jawie, gdzie w każdej chwili można poskromić wyobraźnię rozsądkiem albo przeciwnie. Dlatego sztuka sprawia wrażenie parodii: jej zaskakująca niezwykłość wygląda zarazem niepoważnie, groteskowo. Oczywiście, że Ryszard III (król angielski i bohater Szekspira) i maszynka do lutowania w salonie podstarzałej tygrysicy muszą zdumieć czy oburzyć publiczność. Czym jednak różnią się od chmury, która w *Kordianie* Słowackiego gada ludzkim głosem?

Jan Błoiński

TRZY WIERSZE

Trzy najważniejsze wiersze polskiej poezji XX wieku. Po Czesławie Miłoszu („Kwartalnik Artystyczny” nr 3/15/1997), Stanisławie Lemie (nr 4/16/1997), Janie Józefie Szczepańskim (nr 1/17/1998) Ryszardzie Krynickim (nr 2/18/1998), Janie Twardowskim (nr 3/19/1998), Jarosławie Marku Rymkiewiczzu (nr 4/20/1998), Kazimierzu Hoffimanie (nr 1/21/1999), Julianie Kornhauzerze (nr 2/22/1999) prezentujemy wybór Leszka Szarugi.

Leszek Szaruga

Zamknąłem się w dwudziestym stuleciu – gdyby nie to, wskazałbym na jeden z *Trenów* Kochanowskiego, fragment chóru z *Odprawy posłów greckich* (*O biało-skrzydła...*), wreszcie na jeden z sonetów Sępa. Od tamtych pór nie powstały w polszczyźnie wiersze piękniejsze, choć przecież powstawały wiersze piękne, nawet olśniewające. Wśród nich wybór jest zawsze wyborem chwili i gdy redakcja „Kwartalnika” zaproponowała mi sięgnięcie do poetyckiej pamięci, właśnie te trzy – sonet Tetmajera, post-tren Leśmiana i apokryf Różewicza wydały mi się najbardziej „iskrzące”. Dlaczego? Tetmajer – prawie już dziś zapomniany, prawda? – podej-

muje grę poetycką na bardzo wysokiej nucie: sonet okazuje się tu „małym kościołem”, ale też i niebezpieczną poetycką ścieżką wysokogórską: ta gra zdaje mi się dziś coraz bardziej istotna, owo doskonalenie formy (jakże tu, zwłaszcza w pierwszej strofie, niedoskonałe: ale lubię takie „potknięcia”) jest jakby zbieraniem sił przed nowym wygłosem poetyckiej polszczyzny (co widać w ostatnim tomie Barańczaka szczególnie). To zapewne się nie uda, gdyż od stu lat niemal się z tym poezja boryka, a jedynie Różewicz zdaje się gdzieś znajdować wąski przesmyk (stąd jego *Nieznany list*). I wreszcie: „wy tłumaczony” po drodze z Różewicza chcę jeszcze słowo dla Leśmiana, tego Olbrzyma polskiej poezji, poezji europejskiej i poezji światowej też. Tu znów „pęknięcie” – w otocze pełnych rymów owo „niebie-ciebie”!, jakże znaczące, gdy się w to wsłuchać – ale w nawiązaniu do tego, co w tradycji najbardziej porywające: odpowiedź na *Treny* – cóż za odwaga wdrzeć się w zaświaty i posłuchać tego, co mówi Orszula!

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

O sonecie

Lubię sonetu trudną, misterną budowę;
zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
w którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
w rozmiarach wiecznie jednych kształty coraz nowe.

Lubię te dźwięki pełne, szerokie, brązowe,
brzmiące wiecznie tą samą melodyjną nutą,
a w nieskończoną różność motywów rozsnutą,
jak mgły na jednym niebie w przeróżną posnowę.

Lubię ten mały kościół, w którym jednak może
olbrzymi Bóg się zmieścić jak w potężnym tumie;
lubię to górne, wąskie naskalne wydroże,

skąd runie, kto stóp pewnie położyć nie umie;
lubię tę gwiazdę małą, co świeci jak zorze,
dźwięk dzwonu, co nie głuchnie w huraganów szumie.

Urszula Kochanowska

Gdy po śmierci w niebiosów przybyłam pustkowie,
Bóg długo patrzył na mnie i głaskał po głowie.

„Zbliź się do mnie, Urszulo! Poglądasz, jak żywa...
Zrobię dla cię, co zechcesz, byś była szczęśliwa.”

„Zrób tak, Boże – szepnęłam – by w nieb Twoich krasie
Wszystko było tak samo, jak tam, w Czarnolasi!” –

I umilkłam złęknioma i oczy unoszę,
By zbadać, czy się gniewa, że Go o to proszę?

Uśmiechnął się i skinął – i wnet z Bożej łaski
Powstał dom kubek w kubek, jak nasz – Czarnolaski.

I sprzęty i donice rozkwitłego ziela
Tak podobne, aż oczom straszno od wesela!

I rzekł: „Oto są – sprzęty, a oto – donice.
Tylko patrzeć, jak przyjdą stęsknieni rodzice!”

I ja, gdy gwiazdy do snu poukładałam w niebie,
Nieraz do drzwi zapukam, by odwiedzić ciebie!”

I odszedł, a ja zaraz krzątam się, jak mogę –
Więc nakrywam do stołu, omiatam podłogę –

I w suknię najróżowszą ciało przyoblekam
I sen wieczny odpędzam – i czuwam – i czekam...

Już świt pierwszą rozniętą złoci się po ścianie,
Gdy właśnie słysząc kroki i do drzwi pukanie...

Więc zrywam się i biegnę! Wiatr po niebie dzwoni!
Serce w piersi zamiera... Nie! To – Bóg, nie oni!...

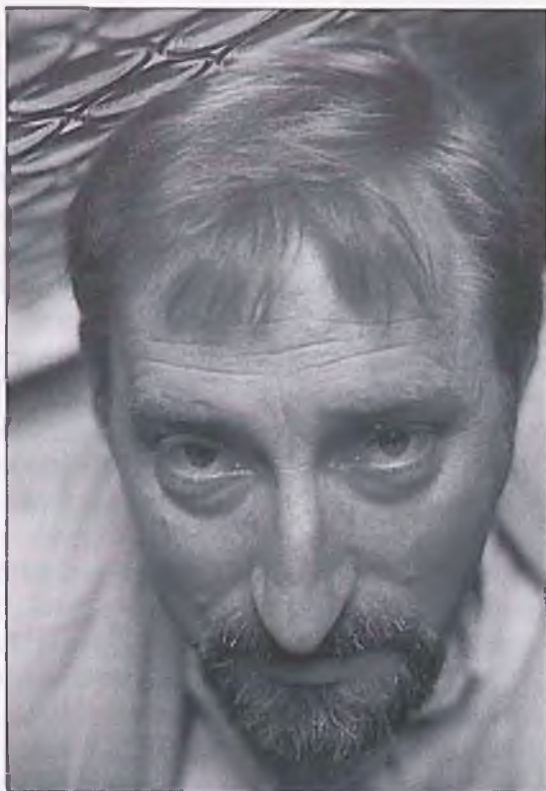
Nieznany list

Ale Jezus schylił się
i pisał palcem na ziemi
potem znowu schylił się
i pisał na piasku

Matko są tak ciemni
i prości że muszą pokazywać
cuda robię takie śmieszne
i niepotrzebne rzeczy
ale ty rozumiesz
i wybaczysz synowi
zamieniam wodę w wino
wskrzeszam umarłych
chodzę po morzu

oni są jak dzieci
trzeba im ciągle
pokazywać coś nowego

Kiedy zbliżyli się do niego
zasłonił i wymazał
litery
na wieki



Fot. Bogdan Krzyżel

Krytyka i kryteria

Z Julianem Kornhauserem rozmawia Mirosław Dzień

Mirosław Dzień: Jak Pan ocenia z perspektywy czasu twórcze dokonania Nowej Fali?

Julian Kornhauser: Trudno mi odpowiedzieć na tak skonstruowane pytanie. Jeśli powiem, że wysoko, uzna mnie Pan za chwalipiętę. Jeśli zaś zdobędę się na uwagi krytyczne, posądzi mnie Pan o to, że za wszelką cenę staram się być oryginalny. Czyżby Pan liczył na mój obiektywizm? Ale czy on jest możliwy w tym wypadku? Kiedy Pan mówi „Nowa Fala”, ma Pan zapewne na myśli kilku twórców, którzy debiutowali na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Przecież to sprawa oczywista. Weszli oni na stałe do kanonu literatury współczesnej. Są czytani, omawiani, cenieni. Odnieśli sukces międzynarodowy. Bez ich głosu trudno sobie wyobrazić współczesną lirykę, współczesny esej. Młodsze pokolenia nieustannie się do ich twórczości odwołują. Pozytywnie lub negatywnie. To zresztą nieważne jak. Ważne, że bez Nowej Fali niemożliwa jest budowa nowe-

go programu literackiego. Wystarczy spojrzeć na książkę Karola Maliszewskiego, niesłychanie zaczepną, ostrą w sądach. Sam termin „Nowa Fala”, choć wzbudza i dzisiaj mój sprzeciw swoją abstrakcyjnością, stał się już symbolem, czymś łatwo rozpoznawalnym, silnie zakorzenionym w świadomości interesujących się literaturą. Także ten fakt świadczy o roli mojej generacji w ostatnich trzydziestu latach. Z drugiej strony, jeśli spojrzeć na całą sprawę szerszej, z nieco ogólniejszej perspektywy, ta rola na pewno nie wyda się tak jednoznaczna. Sam czytam wiersze z lat siedemdziesiątych jako dokument epoki i trudno mi się niejednokrotnie dopatrzeć w nich artystycznej bezkompromisowości. Przy najmniej w wielu wypadkach. Czas robi swoje. Opadają emocje, zmienia się hierarchia znaczeń. To, co kiedyś wydawało się ważne, śmiałe, błyskotliwe, teraz traci wiele z dawnego blasku, szarzeje, wydaje się miałkie, powierzchowne. Ważne stają się obrzeża Nowej Fali: twórcy mniej popularni, pomijani, utwory które nie weszły do antologii...

M.D.: Może parę nazwisk?

J.K.: Nie chcę wymieniać nazwisk, bo musiałbym od razu wdać się w dyskusję, co rozumiem pod pojęciem Nowa Fala, a o tym już tyle razy pisałem. Wiadomo, że utożsamiam je z całym pokoleniem, gdy tymczasem przyjęło się rozumieć Nową Falę jako jedną, najglówniejszą jego orientację artystyczną. W każdym razie, jak sądzę, wiele tu jeszcze jest do zrobienia, to znaczy odczytania, innego przesunięcia akcentów, odgrzebania mało znanych szerszemu ogółowi poetów, jak Szymanowicz, Mrozowski, Krzeszowski, lepszego poznania i docenienia takich autorów, jak Kronhold, Gizella, czy włączenia do głównego nurtu Górzeńskiego i Stycznia. Przecież wszyscy tu wymienieni przyczynili się pod koniec lat sześćdziesiątych do zmiany obowiązującej estetyki „formulistycznej”. Podobne znaczenie posiada twórczość większości „Tyliczan”.

M.D.: Niejednokrotnie krytycznie wypowiadał się Pan na temat poezji z kręgu „bruLionu”. Jakie jest dziś, po upływie paru lat i ostygnięciu temperatury sporu, Pana zdanie na ten temat?

J.K.: Wiele nazwisk, jeszcze nie tak dawno obracanych w kółko, zniknęło z pola widzenia. Po krótkim, bardzo krótkim okresie działalności można raptem mówić o kilku poetach, którzy się sprawdzili. Również o prozaikach i krytykach z tego kręgu. Niektóre książki w dalszym ciągu są trudno dostępne, niektórych w ogóle nie widziałem w księgarniach, choć czytałem o nich recenzje. Nie będę oryginalny, jeśli powiem, że ciągle najciekawszym poetą jest Marcin Świetlicki. Ciągłe w nim jest coś mocnego, przyciągającego. To chyba jakaś niewidoczna prawda, „tkliwa, liryczna dynamika”. Zresztą, co to znaczy krąg „bruLionu”? Poeci związani z pismem? Autorzy almanachu „przyszli barbarzyńcy”? Twórcy urodzeni w początku lat sześćdziesiątych? Debiutanci ostatniej dekady? Każde takie zawężenie wywołuje u mnie inne skojarzenia.

M.D.: Żywo, przyznam, i bardzo szczerze komentuje Pan życie literackie w kraju. Proszę powiedzieć, jaką cenę trzeba dziś zapłacić za postawę niezależną?

J.K.: Rzeczywiście, mówię rzeczy mało popularne, może nawet irytujące.

Nie cierpię stadnego myślenia, klepania po kimś gotowych formułek. W końcu krytyka literacka to obrona własnego zdania, uważne obserwowanie bieżących wydarzeń, nieuleganie środowiskowym naciskom. Z tym zresztą najtrudniej. Bo przyjaciele, znajomi, zmowa milczenia. Jak z tym walczyć? I czy wypada? Takie pytania, wątpliwości pojawiają się nieustannie. Czy zawsze wolno przekraczać granicę, jakby to określić, granicę grupowej ciszy? Pewnie nie zawsze. Na szczęście, umiem dostrzec tę granicę. Jednak pisanie wbrew utartym sądom, pisanie na przekór etykietkom, drwiące zdania o literaturze, nieoczekiwane oceny – to wszystko spotyka się najczęściej z niezrozumieniem intencji, niekiedy z drwiącym uśmieszkiem, często z personalną napaścią. Ale przecież nie tylko komentuję, jak się Pan wyraził. Komentarz jest tylko dodatkiem do moich tekstów o. Ostatnio na przykład o Herbercie czy Różewiczu. Moje zainteresowanie życiem literackim bierze swój początek w późnych latach sześćdziesiątych, od czasu współpracy z krakowskim „Studentem”, działalności grupy poetyckiej „Teraz” i pisania *Świata nie przedstawionego*. Zawsze mi zależało na mówieniu prawdy, co polegało na ucieczce od stereotypu, na wadzeniu się, nawet z przyjaciółmi, o pryncypia. Przypominam sobie polemiki z Barańczakiem, Balbussem, innymi. Ale żebyśmy się dobrze rozumieli: nie roszczę sobie pretensji do głoszenia jedynie obowiązującej prawdy. Moje pisanie polega wyłącznie na dzieleniu się wątpliwościami, na zadawaniu drażliwych pytań. Przecież często przyznaję, po jakimś czasie, rację swoim interlokutorom.

M.D.: Wydaje się, że współczesna literatura cierpi na niedowład krytyki literackiej. Jakie są Pana zdaniem tego przyczyny i czy możemy w niedalekiej przyszłości spodziewać się jakiejś zmiany na lepsze?

J.K.: Rzeczywiście, krytyka literacka zmieniła swoje oblicze w ostatnich latach. Najwięcej jest krytyków towarzyszących. Młodych ambitnych polonistów, sekundujących debutantom. Same pochwały, superlatywne oceny, środowiskowo-grupowe gesty. Na łamach własnych czasopism, w których tworzy się prędkie, regionalne hierarchie. Starsi krytycy natomiast zniknęli. Z rzadka tylko któryś z nich coś powie, ale to ginie w szumie innych głosów. Nie ma więc spięcia między młodymi a starymi. Wszystko toczy się jednym torem. Brakuje głosu rozważnego, karcącego, ustalającego porządek. Tak jak kiedyś bywało. Lata dziewięćdziesiąte pod tym względem charakteryzują się totalnym atakiem piszącej młodzieży, która nie napotkawszy sprzeciwu, runęła przed siebie, wznosząc tumany kurzu. Dlaczego starsi krytycy wycofali się z dawnych obowiązków? Trzeba wymienić kilka przyczyn tego stanu. Bo po przełomie roku 1989 nie rozpoznali w nowej literaturze niczego dobrego. Bo nie chcieli zbyt gwałtownie zachłysnąć się zimnym, świeżym powietrzem. Bo nie znaleźli już dla siebie miejsca w zmieniającej się sytuacji, w której nagle zniknęły ich pisma, wydawnictwa, środowiska, a to, co pojawiło się w zamian, odstręczało barbarzyńskimi kolorami. Bo zmieniły się oczekiwania czytelników: sam rynek regulował preferencje, krytyk niczego już nie musiał wyjaśniać czy pokazywać. W dodatku wszelkie gesty dydaktyczne pachniały minioną epoką. Wielość czasopism spowodowała i to, że wąski krąg kry-

tyków z prawdziwego zdarzenia nie był w stanie przebić się przez rosnące w zaskakującym tempie łamy i został po prostu wchłonięty przez masę nowych nazwisk: recenzentów, felietonistów, wypowiedaczy, podpisywaczy stałych rubryk. A przede wszystkim bogactwo literatury ostatniej dekady, żniwo wolności. Tyśiące, dziesiątki tysięcy tytułów, zalew nikomu niepotrzebnych książek wydawanych własnym sumptem, ale i z kieszeni zadowolonych sponsorów. Jak się w tym miano rozeznąć? Co zauważyć? Co z czym zestawić, żeby nie wyjść na głupka? Pyta Pan o perspektywę zmian na lepsze. Po pierwsze, nie wiem, czy możliwa jest taka sytuacja, jak w dawnym systemie. Być może nie. Ale przypuśćmy, że wiele rzeczy wróci do normy, wiele spraw się ustabilizuje i co wtedy? Przecież nie reanimujemy Wyki, Kwiatkowskiego, Sandauera, Bienkowskiego. Czy zmusimy do bieżącej krytyki Barańczaka, Błońskiego, Balcerzana, Burka czy Berezę? Wątpię. Bieżąca krytyka już nie przyciąga. Wypiera ją esecystyka. Bieżącą krytyką staje się anons w telewizji, notatka w dzienniku, lista bestsellerów. Krytyków przestało się czytać. Bo przemawiają cichym głosem, bo trafiają do niewielkiej grupy odbiorców. Być może ważniejszym dla pisarzy głosem będzie wypowiedź innego pisarza, a nie krytyka. Tak, jak się to stało z *Panną Nikt* i Miłoszem. Bo jest to jednocześnie rekomendacja dla wydawców. Właściwie panem obecnej sytuacji jest wydawca. To on ogłasza konkursy, to on decyduje o kształcie rynku, to on naciska na jurorów, to on decyduje, czy jakaś książka zasługuje na miano bestsellera. Krytyk do niczego tu nie jest potrzebny.

M.D.: Czy środowiskowe rozdrobnienie życia literackiego – skądinąd zrozumiałe w systemie wolnego rynku i demokracji – nie okazuje się swoistego rodzaju pętlą na szyi współczesnej polskiej literatury? Innymi słowy, pytam o brak jednoznacznych kryteriów wartościowania dokonań literackich i – no właśnie! – dotkliwe niedomaganie w kwestii autorytatywnego gremium krytyków, mówiących jednym głosem?

J.K.: Ach, jednoznaczne kryteria! Proszę to sobie wybić z głowy. Koniec z tym. Rozdrobnienie życia literackiego, decentralizacja staje się faktem. W ślad za tym idą środowiskowe kryteria. Są one często śmieszne, ale nic się z tym nie da zrobić. Ale rolą pism ogólnopolskich, ponadpokoleniowych – jeszcze takowe o dziwo istnieją – jest weryfikacja tych opinii. Tylko kogo to obchodzi? Wydaje mi się, że coraz bardziej pisarz zaczyna zależeć od czytelnika, a coraz mniej jego sukces zależy od krytyki. Choć całkiem się tego wykluczyć nie da. Tęskni Pan za jednym głosem, ale w tym kryją się same niebezpieczeństwa. Ten jeden, jedyny głos, głos „autorytatywny” często podszyty jest koniunkturalizmem. Tego nie znoszę. Jak wszyscy nagle zaczęli, z dnia na dzień, pisać o tym, że pojawił się wybitny poeta, Janusz Szuber, zacząłem w to wątpić. Dlatego z ulgą przyjąłem zdroworozsądkowy głos Heleny Zaworskiej, która te opinie podważyła. Takich przykładów jest więcej, zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu. Tu nie chodzi, jak sądzę, o jednoznaczne kryteria wartościowania, ale o zdrowy rozsądek, o sztukę dystansu. Zamiast tego najczęściej widać ochy i achy, poklask i wypychanie na siłę przed szereg. Wiemy, po co się to robi. Odzywają się prawa rynku, daje o sobie znać moda. Kiedy na początku tej dekady zrobił się niestychany szum wokół

„bruLionowców”, przestrzegałem przed biciem pokłonów. I wyszło na moje. Kreowano raz dwa wybitne indywidualności, ale po czasie okazało się – pisał o tym między innymi Orliński – że to w dużej mierze mydlenie oczu. Dlatego mówię, że krytyka obecnie spełnia inną funkcję. Naciska, reklamuje, promuje, wywyższa, natomiast w najmniejszym stopniu czyta. Więc dawnej krytyki nie ma.

M.D.: Jakie miejsce w Pana twórczości zajmuje sztuka przekładu, a jakie doraźna krytyka literacka?

J.K.: To naprawdę Pana interesuje? Aż trudno mi uwierzyć. No, dobrze. Przekładami zajmuję się tylko od czasu do czasu, teraz zresztą coraz mniej. To ma związek z moją pracą zawodową na uniwersytecie. Jako sławista nie tylko publikowałem książki o literaturze byłej Jugosławii, ale także tłumaczyłem, często dla „ilustracji”, wiersze Serbów, Chorwatów, Słoweńców i tak dalej. Nie nazbierało się tego tak dużo, chociaż mógłbym więcej przełożyć. Ale nigdy nie byłem przywiązany do przekładania, bo brakowało mi systematyczności, bo zbyt mało widziałem tam rzeczy naprawdę ciekawych. Tłumaczyłem głównie taką poezję, która ewidentnie różniła się od polskiej. Wydawało mi się to pouczające. Szczególnie sobie cenię antologię młodej poezji serbskiej *Tragarze zdań* i tomik Josipa Ostiego *Wszystkie flagi są czarne*. W latach siedemdziesiątych interesowałem się serbskim nadrealizmem, wydałem wybory wierszy dwóch poetów. Ostatnio ukazała się mała antologia poezji bośniackiej *Lament nad Sarajewem*, wydana staraniem Krzysztofa Czyżewskiego z sejneńskiej fundacji „Pogranicze”. Ale jak powiadam, tłumaczę rzadko, teraz prawie już w ogóle, choć praca ta dawała mi kiedyś sporo satysfakcji; czy wtedy gdy redagowałem wspólnie z Milivojem Slavičkiem *Wewnętrzne morze. Antologię poezji chorwackiej XX wieku*, czy wówczas, gdy poznawałem osobiście poetów, którzy zaistnieli w przekładzie na polski.

A jeśli chodzi o doraźną krytykę literacką... Nie przeczę, wiele lat pisywałem recenzje do wielu pism, artykuły o książkach i twórczości wielu autorów współczesnych, także tzw. recenzje wewnętrzne dla wydawnictw. Zawsze mnie to pociągało, aczkolwiek miałem dłuższe chwile przestoju, spowodowane czy to zniechęceniem, czy też jakimiś nieporozumieniami między mną a redakcjami. Były takie okresy, kiedy ściśle współpracowałem z „Twórczością”, „Kulturą”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „Gazetą Wyborczą” i innymi tytułami. Z wielu tych tekstów korzystałem przy układaniu swoich czterech książek, poświęconych współczesnej literaturze. Takie stałe pisanie mobilizuje, pomaga w koncentracji, pozwala orientować się w bieżącej produkcji wydawniczej. Z drugiej strony, sam wybór książek do opisu i interpretacji, staje się próbą uporządkowania chaotycznego rynku. To jednocześnie mój ślad lektury, zainteresowań, preferencji. Niech Pan przy tym nie zapomina, że jestem nietypowym krytykiem literackim. Nietypowym, bo na marginesie własnej twórczości. Tak, to rodzi różne niebezpieczeństwa, z których zdaję sobie sprawę: subiektywizm, środowiskowe spętanie, osobiste tło porównawcze, swoiste preferencje. Ale ponieważ jestem historykiem literatury, wykładowcą, łatwiej mi powściągać emocje, zdobywać się na obiektywizm, tworzyć szersze tło.

M.D.: Czy mógłby Pan wskazać i krótko skomentować najciekawsze Pana zdaniem książki poetyckie i prozatorskie ubiegłego, to znaczy 1998 roku?

J.K.: Nie chciałbym się zbytnio rozwodzić, bo nie mamy na to ani wiele miejsca, ani zbyt wiele czasu. Poza tym, jak pewnie Pan przeczuwa, nie znam całej ubiegłorocznej twórczości polskich pisarzy, jest to niemożliwe. Wybieram zaledwie małą jej część do czytania. Sporo o niej wiem z recenzji, ze słyszenia, ale to, co mi wpada w ręce, to niewielki procent całości. Jeśli chodzi o prozę, duże wrażenie zrobiły na mnie *Czarne sezony* Michała Głowińskiego. Te relacje, zapisy doświadczenia, ułamki z getta – jak sam je autor nazywa – nie są zwykłymi wspomnieniami z okupacyjnego dzieciństwa. To prawdziwe historie wyrwane z bólem z ciągle, przez lata, tłumionej podświadomości, historie przekształcające się w analizę paraliżującego strachu. Książkę tę przeżywa się mocno, bo Głowiński ujawnia w niej swoją tajemnicę, on wielki badacz literatury, wybitny teoretyk. Stąd większe zaskoczenie, większa niespodzianka. Poezja zaś – to przede wszystkim *Epilog burzy* Zbigniewa Herberta, ostatni tom wybitnego poety. Pisałem o nim, o tym tomie, w obszernym esaju, pomieszczonym w „Tygodniku Powszechnym”. Nie będę się więc powtarzał. Powiem tylko, że książka ta odsłania zupełnie nieznanne oblicze Herberta, każe nam przyrzeć się wcześniejszym utworom z innej perspektywy. Herbert zmienia tu radykalnie swoje główne przesłanie moralne, daje inną, bardziej ludzką, przyziemną wykładnię życia.

M.D.: W czym upatruje Pan słabość, a w czym siłę polskiej literatury?

J.K.: Wielki temat. Temat – rzeka. Ale zapytajmy najpierw, ku czemu zmierzać ma odpowiedź? Czy w ogóle możemy w jakiegokolwiek literaturze obnażyć jej słabości, odkryć jej siłę? Słabości i siła literatury uzupełniają się, stanowią o jej odrębności, wynikają z określonego kontekstu historycznego, z takiej, a nie innej tradycji. W rzeczy samej jakiejś słabości są nieuniknione i nie do przezwyciężenia. W tym sensie słabości mogą być siłą literatury i odwrotnie. Słabością, czy „słabością” polskiej literatury jest być może brak wybitnej prozy. Prozy o światowej renomie, w rodzaju Gombrowicza, aczkolwiek w jego wypadku chodziło raczej o osobowość i nowoczesną ideę. Owszem, pojawiają się silne czasem indywidualności, powiedzmy Iwaszkiewicz, szereg innych, ale trudno tu mówić o wybitności na skalę światową, o ustalaniu jakiegoś nowego modułu. Z czego to wynika? Przede wszystkim z pewnego nieustabilizowania życia społecznego w XX wieku, ciągłego wikłania się w sprawy polskie, doraźne, z przewagi tradycyjnej, realistycznej konwencji opisywania rzeczywistości. Wydaje się, że słabością prozy jest jej duża zależność od obowiązków politycznych, a co za tym idzie mała skala wartości intelektualnych, słaba wizyjność, nieumiejętność projektowania problemów. W konsekwencji proza staje się fragmentaryczna, „szybka”, niedopracowana. Z poezją inaczej. Poetycka ekspresja to główny atut naszej literatury. Tyle w niej głośnych, światowych nazwisk. Tyle wyśmienitych propozycji, prób ustawiania głosu. I co dziwne, wcale nie przeszkadza, że tacy poeci, jak Leśmian czy Białoszewski zrozumiani mogą być tylko w obszarze polskiego języka i że poza nim natychmiast tracą na swej wartości. Ale ich odrębność jest nie do podważenia.

W poezji widać, jak ważna jest apolityczność, ponadczasowość, „intelektualizm”. Zwykła emocja, liryczność to hamulce artyzmu. Miłosz, Szymborska, Herbert, Różewicz służą tu za najlepsze przykłady. Ciekawe, że wszyscy poeci, których tu wymienilem, są antyromantyczni, żeby użyć tu pewnego skrót. Więc antyromantyzm, o dziwo, jest siłą naszej literatury współczesnej, nie romantyczne nawiązania. Żeby więc nie przedłużać: słabością okazuje się romantyzm, siłą antyromantyzm. O zgrozo: najżywszym pisarzem epoki romantyzmu okazuje się Fredro!

M.D.: Krytycznie wypowiadał się Pan m.in. na łamach „Kwartalnika Artystycznego”, na temat Nagrody Nike. Czy mógłby Pan podsunąć pomysł na nagrodę literacką, która nie dzieliłaby środowiska piszących na „swoich” i „obcych”, a stanowiłaby w miarę obiektywne odzwierciedlenie tego, co ważne w artystycznych usiłowaniach?

J.K.: Mam wrażenie, że Nagroda Nike nie spełnia naszych oczekiwań. Po pierwsze, pomyłką wydaje się dopuszczanie do nagród pisarzy już uznanych, w tym noblistów. Odwrotnie, to oni właśnie powinni udzielać nagród. Czy nie mogłoby powstać Jury złożone z Miłosza, Szymborskiej, Różewicza, Herlinga-Grudzińskiego, Konwickiego, kilku jeszcze starszych, wybitnych pisarzy i paru krytyków w rodzaju Jana Błońskiego? Tymczasem obecne jury, idąc po najmniejszej linii oporu, tych pisarzy wysuwa do nagrody. Jeśli będzie tak dalej, to nikt inny spoza tego grona nie zdobędzie Nike. Więc ten pomysł jest ewidentnie niedobry. Po drugie, nie można wszystkich książek, i reprezentujących literaturę piękną, i esystrykę, i nauki humanistyczne wrzucać do jednego worka. Sprawa powinna być oczywista: kandydować mogłyby tylko utwory prozatorskie, poetyckie, ewentualnie dramatyczne. Nic poza tym. Trzeba już na tym poziomie dokonać selekcji. Dotychczas tomiki poetyckie stawały do konkurencji z poważnymi rozprawami naukowymi. To pomyłka. Tak nie można. Najlepiej zresztą, gdyby mogły powstać odrębne duże nagrody dla autorów prozy, odrębne dla poetów itd. Wtedy nie byłoby niepotrzebnych niesnasek. Po trzecie, pomysł, aby kandydatów do nagrody wysuwały wydawnictwa, jest niedobry. Bo górę biorą przyszłe sukcesy finansowe związane z nominacją i nagrodą, dlatego wysuwa się raczej rzeczy sprawdzone, nazwiska chwytliwe itd. To grozi zresztą pomyłkami, jak to było z *Pieskiem przydrożnym*, książką przeciętną, także w kontekście całego dorobku Miłosza, no, ale wiadomo: Miłosz, „Znak”, wysokie nakłady itd. To jakieś w sumie niepoważne historie. Oczywiście są inne sposoby decydowania o nagrodach. Podoba mi się rodzaj plebiscytu w którym udział biorą różni krytycy i pisarze. Może to głosowanie byłoby najbardziej obiektywne? Musieliby głosować ludzie o uznanych autorytetach, i powinno ich być sporo. Potem ewentualnie można by zarządzić drugą turę po wyłonieniu najczęściej powtarzających się kandydatów. Ten sposób mi się podoba, ale nie wierzę, aby go ktoś wykorzystał.



Julian Kornhauser

Jaś i wieczność



Fot. Bogdan Krezel

Rozmawia ze swoim misiem
odwrócony do nas plecami
chciałby zjeść rybę bez ości
ale ości jest akurat tak dużo

jedzie w krzeselku na balkon
zjada kaszę otwartą dłonią
i patrzy na mnie i patrzy
chciałby może mnie dotknąć

biegnie szybko do łazienki
a potem goły wraca do pokoju
stoi przed lustrem wydymając wargi
ktoś dzwoni Jaś się odwraca

bim bam pokazuje na kościół
gdy jedziemy szybkim samochodem
jeszcze jedną wieżę mijamy
Jasiu czemu jesteś taki dorosły

czemu patrzysz na mnie jak anioł
czemu mówisz językiem wieczności
spoglądam w srebrne lusterko
ale tam nie ma nikogo

przed nami wysokie góry
pod nami głębokie groty
równo ostrzyżona trawa
słoneczne stalagmity ciszy

Ljubljana, 1996

Na innych planetach

już dobrze nie pamiętam jak wyglądaliście
wasze ciepłe ręce grzeją jeszcze moje policzki
ale glosy zacierają się

już nie wiem kiedy byłaś młoda
i co twoje puszyste włosy odpowiadały klientom w małym sklepie
w jakich pantofelkach biegłaś po ubitej drodze pod olchami

widzę cię w kłębach dymu z papierosa a potem bezwładną
i nieprzytomną w białym ogromnym łóżku
zapadającą w coraz głębszy sen

i ciebie z podkurczonymi nogami śpiącego na moim tapczanie
mokre smutne oczy wpatrujące się we mnie jedzącego obiad
długie zimowe pelisy pachnące daleką podróżą w przedpokoju

ale nie ma już waszego zmęczenia i narzekań
nie ma twoich nieporadnych listów i łez polykanych ukradkiem
i twojego pomruku zadowolenia gdy opowiadałem ci o sobie

nie
nie ma was i nie ma już o was mojej prawdziwej pamięci
byliście ale zbyt daleko abym mógł odczytać pismo na waszych twarzach
ukryci za sitowiem gęstego czasu za wysokimi drzewami
nieprzekładalnych języków

granica która nas dzieliła pomieszała nam myśli i weszła w krew
wy znikacie z zasięgu mojej pamięci i ja już nic nie znaczę dla was
leżymy na innych planetach choć ciągle na tej samej ziemi
coraz mniej wiem o was i waszym nieszczęśliwym szczęściu
migając ku wam w niemej mowie nie wierząc w odpowiedź

a może ja jestem odpowiedzią na wasze nagłe zniknięcie
na niepożegnanie w chwili niezupełnie odpowiedniej
odpowiedzią trudną do zrozumienia
jak błysk który odezwał się przedwczoraj

Syn, sen

Mój syn gra w piłkę,
ale może to piłka gra
z nim? Podrzuca go
wysoko, ponad krzak tarniny,
odbija kilka razy
i wkłada w obręcz
letniego poranka.
Mój syn jest gorący
jak ciasto w brytfannie,
potrafi rozpalić ognisko
na łące
samym swoim spojrzeniem.
Gdyby to nie był mój syn,
lecz sen tylko o synu,
czyż jaśmin śpiewałby
basem?

Julian Kornhauser

Piotr Szewc

Zmierzchy i poranki

Fragment powieści



Fot. Günter Prust

Woda była zimna. Spływała strużkami po twarzy, szyi, pomiędzy piersiami. Krople zawisły na kolczykach. Pani Salomea pochylała się nad miską, nabierała w dłonie wodę i przemywała ramiona i brzuch. Z wodą spływał zapach potu doktora Tarnowskiego, oddalała się świeża jeszcze pieszczota, ostry dotyk wczorajszego zarostu, pamięć wędrujących po skórze ust. Pani Salomea osuszyła się i stanęła przed lustrem. Odgarnęła z czoła mokre włosy. W lustrze odbijał się za nią zdobny w różnobarwne pasy kilim. Coraz wyraźniej zaznaczała się łagodna fałda podbródka. Niebawem miało pani Salomei minąć czterdzieści siedem lat. Uniosła głowę i podbródek zniknął – jakby wraz z nim kilka lat ubyło. Pani Salomea sięgnęła po pękata butelkę z perfumami. Skierowała rozpylacz na szyję i piersi i dwukrotnie nacisnęła gumową gruszkę. Znowu poczuła zimno. Opuszkami palców rozprowadziła perfumy pod uszami i na policzkach. Wróciła do sypialni. Otworzyła szufladę toaletki. Była w niej koperta z listem, dwa grzebienie, bransoletka, kilka pierścionków i broszka. Wsunęła na palec pierścionek, po czym zdjęła i wsunęła inny. Nim zamknęła szufladę, krótko zatrzymała wzrok na kopercie. Ponownie stanęła przed lustrem. Jej włosy sięgały piersi. Trzeba je było wyczesać, aby opadającą falą otoczyły ramiona i plecy. I później, upięte złoconą klamrą, w słońcu rozbliły barwą miedzi. Rogowy grzebień zagarniał ich pasma, najpierw po jednej stronie głowy – pani Salomea przechylała ją wówczas na bok – potem po drugiej. Grzebień przesuwiał się ku dołowi i przez przypadek, a może niedokładność ruchu podrażniał ramiona lub piersi. Skóra na ramionach i piersiach była delikatna i zwykle biała, ale po porannej toalecie wydawała się sprężysta i zaróżowiona. Pani Salomea lubiła chwile tej krótkotrwałej metamorfozy.

Słyszała, jak zegar odmierza sekundy. Było w tym okrucieństwo, a jeśli nie okrucieństwo, to na pewno rozmyślnie zadawana przykrość, której doświadczała za każdym odgłosem sekundnika. Coś topniało, umykało, kurczyło się, oddalało. Coś bardzo własnego, choć nienazwanego. Coś osobistego, choć i przynależnego do świata, w którym żyła. Pani Salomea nie zgodziłaby się, że upływający czas su-

Piotr Szewc, ur. 1961 w Zamościu. Ukończył polonistykę na KUL. Poeta, prozaik, krytyk literacki. Opublikował zbiór wierszy *Świadectwo* (1983), powieść *Zagłada* (1987, 1993) i tom rozmów z Julianem Strykowskiem *Ocalony na Wschodzie* (1991). Redaktor miesięcznika „Nowe Książki”. Mieszka w Warszawie.

mował przeszłe z terażniejszym i że to, co się oddalało, przeobrażało się tylko, w niczym nie umniejszając tego, czym było kiedyś. Minione było więc dla niej zgasłym lub dopalającym się światłem, resztką żaru, którego nie sposób na nowo rozdmuchać, płowiejącą barwą, zanikającym kształtem, sfalszowanym przez upływ czasu smakiem i zapachem. Szept jej męża, Barucha, brzmiał wytłumiony i nieswój, mimo że pani Salomea mocno pragnęła, by powracał w pełni, więc najprawdziwiej. Baruch Goldman szeptał, kiedy w sobotnie popołudnie siedzieli w parku pod ocienioną ławką, pieścił panią Salomeę ustami i oddechem, mrużył oczy, śmiał się, wypatrywał obłoków. Dudnił wtedy pociąg, odcinając przedmieście, aby okrążyć je lukiem od północnej strony i zaraz potem uciszyć się, zniknąć wraz z popołudniem, z przyciągającym panią Salomeę ramieniem Barucha Goldmana, odbitym w stawie słońcem, obłokami, ptakami, owadami, z chrzęstem żwirowanych ścieżek. Po latach pani Salomea bardziej słyszała przetaczający się po szynach pociąg niż to, co odjechało z nim na zawsze, zabierając i ją samą, a jeśli nie ją, to część jej świata, wtedy realnego, pulsującego życiem, na wyciągnięcie ręki, ogarnięcie spojrzeniem i czułością.

Światło ogarniało miasto i jego bliższe i dalsze okolice. Słońce znajdowało się nad Krasnobrodzką czy raczej nad łąkami rozciągniętymi za południową stroną ulicy Nadrzecznej. Stamtąd sięgało tomaszowskich lasów i, po przeciwległej stronie, izbickich wzgórz, na których widziane z odległej perspektywy grabowe i dębowe zagajniki przypominały zielone jeszcze kępy ziół i traw. Zagajniki były piękne zwłaszcza jesienią, kiedy bezinteresownie, czy też na chwałę tego, który je stworzył, pyszniły się splendorem kolorów, oblekającym barokowe kształty. Wzgórza przedzielały złociste lub zszarzałe już pasma pól, ścierniska i kartofliiska, kluczyły między nimi strzeżone przez kapliczki drogi, szukając zatopionej w słońcu wioski i prowadząc do kościołów z wystrzelonymi ku obłokom wieżycami (niskie i pękate, kościoły sadowiły się w dolinach, w miejscach, gdzie rozchodziły się trakty). W niespiesznym rytmie, z furmankami i ciągnącym się za nimi kurzem, wędrowało drogami światło. Nie wybierało kierunków: na rozstajach skłaniało się ku wszystkim stronom, ku którym wiodły pyliste koleiny, zapuszczało się w ścieżki (można by sądzić, że to ono je wytyczało pośród pól i zarośli). Zatrzymywało się przy kapliczkach, ażeby skrzyżować promienie na dłoniach i twarzy Chrystusa frasobliwego. I by odbite od szat Chrystusa malowanych białymi i błękitnymi farbami wraz z nim patrzeć przed siebie, na doliny i wzniesienia, na sady, dachy, poruszane wiatrem dęby i graby.

Znad łąk przy ulicy Nadrzecznej do tomaszowskich lasów było o wiele dalej. Nim światło do nich dotarło, otrząsało samotne olchy, prostowało trawy i pochylone pod ciężarem rosy trzciny. Jak co dzień odmierzało długość pniowskich stawów i ukośnymi promieniami wchodziło do glinianek i pod mosty, przeska kiwało groble. Jeszcze sprężyste i nie zmęczone upałem, ślizgało się na powierzchni rzek i strumieni. Światło zaglądało pod kępy pokrzyw obok dróg i rozgarniało wiklinę: cokolwiek mogło wypatrzeć, zasługiwało na uwagę i podziw. Czyniło to bez pośpiechu i starannie. Z upływem czasu przesuwało się, aże-

by każdy z osobna liść, łodygę, usypany przez mrówki kopczyk objąć od góry i od dołu spojrzeniem. Pochwalić, unieruchomić, ocalić. Także wyluskaną spośród grudek ziemi czarną chitynę chrząszcza, kremową muszelkę, czekające na swoją porę nasienie ostu. Jak gdyby liść, łodyga, chityna i muszelka krzyczały i domagały się, ażeby światło nie odchodziło i nie zostawiło ich na zawsze samych, ale by powiedziało światu o ich takim właśnie, zwyczajnym i zachwycającym istnieniu. Za łąkami w różnych kierunkach rozchodziły się długie i wąskie pasma pól. Miedze dzieliły je po to, by pasma, spełniając fantazję ich twórcy, mogły płowieć, złocić się, szarzeć i brunatnieć (nawet ta przemienność nie podlegała regule). Dla kontrastu barw i nieruchomości pejzażu kroczyły po polach lub przelatywały nad nimi gawrony. Światło wylegiwało się na polach i drzewach. Po drugiej stronie Topornicy dokoła rzędu topól dla zabawy owijało ich cień. Kiedy docierało do lasów, zapadało w igliwie, w mech i tam leżało, dopóki zupełnie nie wygasło.

Powoli i niezauważenie cień pełznął po trawie i zakurzonym dziedzińcu cegielni. Jeszcze zwiślał z gałęzi jarzębiny i tkwił wplątany w pokrzywy i łopian, a już światło zaczęło go owijać, podobnie jak czyniło to dokoła topól za Topornicą, dokoła komina. Czyniło to bez znużenia i z jednakową każdego dnia gorliwością, jak gdyby to tylko było jego najważniejszym celem. I zatrzymywało się, nieruchomiało kiedy było spojrzeć, wzorując się na wskazówkach zegara na ratuszu: cień ani drgnął, zwrócony przed południem na zachód, długi i prosty, wsparty na jarzębinie, przyciągany do ziemi przez trawę i jak trawa zakurzony. Światło stąpało po dachach. Po dachu młyna Samuela Kahana i piekarni Unterrechta. Po dachach domów na ulicy Pereca i niskim blaszanym dachu budki Fajgi Katz. Po dachu banku i Kolegiaty. Po dachu sądu, szpitala i wojskowych koszarów. Po dachu synagogi przy ulicy Bazyliańskiej. Wszędzie jednocześnie i z osobna, tu wypalając dachówkę, tam rozjaśniając seledyn miedzianej blachy. Obejmowało dachy od szczytu po rynny, szparami zapuszczało się na strychy, ześlizgiwało z naczółków. Uczepiało się gzymsów, pokładało na attykach i wspierało na pilastrach. Wchodziło za bramy i rozsuwało okiennice. Z cienia i hałasu wyprowadzało na przedmieścia ulice: Folwarczną, Wierzbową, Powiatową, Młyńską. Tam ulice wydawały się beziemne, choć odróżniała je barwa i zapach pyłu, zapach pól i łąk, jeden niepodobny do drugiego zakręt, głębokość kolein, a potem ich brak. I wychylające się zza płotów krzaki bzu, leszczyna, gałęzie zduszonych w słońcu akacji. Światło kołowało nad miastem, zatrzymując się na kopułach kościołów, które wraz z kominem cegielni były od świtu nie tylko dla mieszkańców miasta, ale i dla całego powiatu, punktami wyznaczającymi kierunek i odległość.

Od kopuły kościoła św. Krzyża światłu najbliższą było do witraży. Na nich Maryja o zbolalej twarzy wyciągała do Syna ręce, ażeby pomóc Mu podnieść krzyż i dźwigać go na Golgotę. Te bezradne ręce, zastygłe w ułamkach kolorowych szkieł, w świetle były żywe, najbardziej miłujące i czułe. Drżały palce, a z pochylonej głowy Maryi osuwała się na ramiona chusta. Obok stali żołnierze Piłata i czuwali, aby tak właśnie dopełniała się Droga Odkupiciela. To witraże mówiły, że światło ma nieskończoną ilość barw. Trzeba było świtu, aby witraże obudził, poruszył

nieruchome szkła, zapalił aureole, zwrócił oczy cieśli Józefa na miasto z jego już rozpoczętym, codziennym trudem. Ten trud nie różnił się – lub różnił bardzo niewiele – od wczorajszego i sprzed kilku dni: każda z powtarzanych czynności była jak rytuał, którego dopełniano tyleż z konieczności, ile z przyzwyczajenia. Aron Waks jak co dzień zdejmował zasuwę i skoble z okiennic i drzwi sklepu z żelazem, a potem zawsze w tym samym miejscu na ścianie od strony rynku zawiesział wiadra i łańcuchy. Co dzień wczesnym rankiem Alina, posługaczka z lokalu Rosenzweiga, na kolanach, obrócona tyłem do rynku, podkasawszy długą spódnicę, energicznie, choć nie całkiem starannie, myła drewniane schody. Po czym z rozmachem wylewała zawartość kubła za lokalem, od strony ulicy Gminnej, obok śmietnika, i wracała na rynek, aby raz jeszcze z bliska przyrzeć się dopiero co ukończonemu dziełu. Ale dzieło nie było ukończone. Alina napełniała kubel wodą i rozpoczynała mycie podłogi w lokalu. Światło poranka podążało za Aliną otwartymi drzwiami. I znajdowało ją na szeroko rozstawionych kolanach, z podkasaną i wciąż opadającą spódnicą, jak tuż za progiem z rozmachem zgarnia brudną wodę, obraca się i wyżyma ścierkę w kubel. I ramieniem wyciera czoło – spocone lub spryskane wodą, gdy nie dość ostrożnie wyżymała ścierkę.

Przed młyn Samuela Kahana wjechała furmanka, pługając gołębie, które od rana w pyłe, obroku i końskim nawozie wyszukiwały ziaren. Jakub Derkacz z Kalinowic minął kilka innych młynów i przywiózł pszenicę tu, na wschodnie przedmieście, bowiem młyn Samuela Kahana zalecał się najstaranniejszym przemiałem zboża. Po chwili konie odpoczywały w cieniu kasztanowców i opędzały się od owadów. Witold Dembowski, inny gospodarz, zostawił furmankę za lokalem Resenzweiga i ulicą Gminną poszedł na pacierz do św. Krzyża, a potem na rynek do sklepu z żelazem Arona Waksa. Drzwi sklepu Waksa były uchylone i światło przesuwalo się po półkach, na których leżały metalowe obręcze do kół i kosy. Ze ścian zwisały łańcuchy i zwoje miedzianego drutu, a na podłodze stały wiadra i wypełnione gwoździami garnki. Na woń metalu nakładał się zapach chroniącej go przed rdzą oliwy. W sklepie panowała cisza, czasem tylko zaskrzypiała podłoga i zabręczczało poruszone wiadro lub obręcz. Aron Waks ostrożnie kładł na ladzie wskazywane przedmioty, jak gdyby miała im się stać krzywda, którą mógł zażegnać czy powstrzymać. Witold Dembowski długo oglądał wyłożony towar i po namyśle kupił dwa łańcuchy do wypasania krów. Łańcuchy pobrzękiwały, gdy niósł je na ramieniu, idąc wzdłuż każdej ze stron rynku. Upewniał się, że strony są, że istnieją, że lokal Rosenzweiga podobnie jak sklep Arona Waksa nie zmienił swojego położenia i że gdy przyjedzie tu za kilka tygodni, wszystkie strony zastanie, podobnie jak młyn, kościół, lokal i sklep żelazny na swoim miejscu. W tym obchodzie rynku Witolda Dembowskiego była uważność gospodarza dbałego o powierzone jego staraniu rzeczy, radość z tego, że są, że nic im nie zagraża, a porządek, o którym się upewnił, nie może poddać się żadnej zmianie.

Okno budki Fajgi Katz sięgało okapu. Fajga Katz przecierała niekiedy cztery szybki, ale nigdy nie były one przejrzyste: deszcz zostawiał szare zacieki, które z nowym dniem pokrywały się kurzem. Budka nie była widna, jednak jej właści-

cielce, przesiadującej w drzwiach lub na ławeczce przed budką, światła wystarczało. Nigdy nie zauważyła, jak światło padając na szybki jednocześnie z różnych stron odsłania zacieki, ich nierówne, rozmazane ścierką obrzeża, odcienie szarości, nieprzewidywalny, na każdej szybcie niepodobny do sąsiadującego wzór. Fajga Katz nie przypatrywała się też uważniej firance, być może równie starej jak sama budka, chyboczącej się na tasiemce, poplamionej i zakurzonej. Światło przenikało do firanki, do jej rozszerzających się ku dołowi marszczeń. Próbowano ożywić wytłoczone listki koniczyzny, czy może innej rośliny, bo czas nie pozwalał tu na żadną pewność. I pobudzało do nie spełnionej próby ucieczki kilka much, uwięzionych między firanką i oknem. Ich brzęczenie, tłumione gruchaniem gołębi, wizgami jaskółek, stukotem przejeżdżających furmanek, wypełniało budkę od przedpołudnia do wieczora. Kiedy Piotruś przechodził z matką ulicą Pereca, prosił, aby matka kupiła mu obwarzanek z makiem w budce Fajgi Katz. Piotrusiowi smakowały jej obwarzanki i lubił, gdy Fajga Katz mawiała do niego i matki: – No proszę, jaki duży chłopiec, już prawie mężczyzna. – Mrużyła oczy i głaskała Piotrusia po głowie. A on, gryząc obwarzanek, stał przy oknie i przypatrywał się muchom, które obijały się między szybkami i firanką. Walczył z pokusą uchylenia firanki i wypuszczenia much na wolność, ale wiedział, że gdy je oswobodzi, muchy nie wrócą, a on wołał, ażeby tu były, kiedy za kilka dni przyjdzie z matką do budki po obwarzanek.

Półmrok panował w sklepie z towarami kolonialnymi Biny Hechtkopf. Sklep osłaniały podcienia, a przez oszklone drzwi i niewielkie okno ledwo napływało światło. W półmroku niczym nie odróżniały się słoje z pieprzem, cynamonem i goździkami. Wypełniała je zawartość tajemnicza i ekscytująca, esencja smaków i zapachów z tego podobno świata, skoro dawała przeliczyć się na pieniądze. Otwierając blaszane pudełka i słoje, Bina Hechtkopf, przez chwilę władczyni wszelkich wonnych tajemnic, za opłatą dopuszczała klientów do wiedzy o świecie bardziej przez nich wyobrażonym niż realnym. Namiastki tej wiedzy trzeba było do tej pory szukać na mapie, z palcem przecinającym oceany i pustynie i zatrzymującym się w miejscach, których nazwy pobrzmiwały powabem egzotyki. I uwodziły wizerunkiem słoniu, antylopy czy wybuchającą pośród nieskończonych piasków oazą. Ściany sklepu Biny Hechtkopf zdobiło kilka rycin – półmrok sprawiał, że były nie dość wyraźne – wykonanych na tekturze i oprawnych w drewno. Podczas kiedy matka kupowała liście laurowe i herbatę, Piotruś wstrzymywał oddech i wpatrywał się w ryciny. Na jednej z nich żyrafa skubała liście akacji, której korona zawieszona była w pół drogi między sawanną i niebem. Cętki żyrafy układały się w niepodobny do niczego wzór, podobnie jak akacja nie przypominała żadnego znanego Piotrusiowi drzewa. Na innej rycinie pasło się stado zebr, nie dostrzegając w trawie lwa, który gotował się do skoku. Na jeszcze innej rycinie hinduski zaklinacz węzłów grał na flecie, a kobra o spłaszczonej głowie wyginała uniesione ciało, nie czyniąc ani zaklinaczowi, ani podziwiałym jego kunsztu gapiom krzywdy. Matka, dokonawszy zakupu, ciągnęła Piotrusia za rękę, nieodwołalnie kończąc dziejący się przed jego oczami niemy spektakl. – Niech sobie jeszcze popatrzy – zwracała się do matki Bi-

na Hechtkopf, wydłużając Piotrusiowi chwilę fascynacji. Ta chwila była hojnym i bezpłatnym dodatkiem do zakupionych liści laurowych i herbaty.

Byli już na Mleczarskiej, gdy matka przypomniała sobie, że ma kupić nici. Piotruś matki nie słyszał. W oczach miał żyrafę skubiącą liście akacji, zebry i kobre posłuszną magii zaklinacza. W małym i mrocznym sklepie Biny Hechtkopf, znajdującym się naprzeciwko pompy na rynku Solnym, mieścił się świat przedziwny: zagęszczony, zamknięty w słojach w postaci wysuszonych ziaren i liści. Świat, nad którym świeciło inne słońce, owiany wonnym wiatrem, daleki, niedostępny, zamieszkały przez inne zwierzęta i innych ludzi. Piotruś drżał, gdy wchodził z matką do sklepu, jak gdyby uchylając oszklone drzwi i przekraczając wytarty próg dopuszczany bywał do części tajemnicy o rzeczach niezwykłych. Ta część tajemnicy nie była niczym więcej niż aromatem goździków, wanilii i cynamonu, który wychynął z blaszanego pudełka, gdy Bina Hechtkopf podniosła wieczko. Wychynął i uleciał, rozwiał się, niewidzialny i nieuchwytny, jak cień wielobarwnej papugi, który zatrzepotał nad głową Piotrusia, matki i kupcowej. To Bina Hechtkopf była depozytariuszką pełni tajemnicy. Wystarczało, by sięgnęła ręką do słoika czy pudełka, a jej sklep zmieniał się w pustynię z karawaną wielbłądów, ciągnącą pod rozpalonym słońcem. Pulchne, zdobne w złote pierścionki palce Biny Hechtkopf z namaszczeniem, jakby były narzędziem kapłanki, unosiły pokrywkę, przechylały słoik i usypywały drobinę jego wonnej zawartości. Powietrze w sklepie gęstniało. „Niech sobie jeszcze popatrzy” – powtarzała z przyzwalającym uśmiechem Bina Hechtkopf, gdy Piotruś z matką obok synagogi skręcali z ulicy Mleczarskiej w Bazyliańską. I wtedy, i teraz wydała się Piotrusiowi bardzo stara.

Piotruś mrużył od światła oczy. W drodze do komina cegielni i wzgórz izbickich słońce zatrzymywało się nad miastem. Stało między kinem a kościołem św. Mikołaja. Patrząc z innej perspektywy, na przykład z rynku oczami Tomasza Jaworskiego, należałoby powiedzieć, że stało między pniowskimi stawami, ulicami Krasnobrodzką i Nadrzeczną a młynem Samuela Kahana. Miasto znajdowało się w zasięgu każdego promienia. Dymnikami i dziurawym gontem promienie wchodziły na strychy. Były tu u siebie równie dobrze jak gdziekolwiek indziej. Spośród szpargałów i rzeczy nie całkiem spisanych na straty, złożono je bowiem na strychach z myślą, że staną się jeszcze użyteczne, promienie wydobywały oparcie rozbitego krzesła, zardzewiałe żelazko, zdobny we frędzle abażur, anioła z gipsu lub z drewna, klatkę zamieszkałą kiedyś przez kanarka. Nad tymi i innymi wzgardzonymi przedmiotami wirował kurz. Puszczало go w ruch światło, gdy ze współczuciem przesuwalo się po powierzchni chwilowo niepotrzebnych rzeczy. Nad nimi na wbitych w belki gwoździach odpoczywały stare ubrania. Najpewniej im także sądzony był w przyszłości żywot – mogły okazać się jeszcze użyteczne – wszelkie zaś oznaki rezygnacji, jakie na co dzień okazywały, musiały być przekorą lub dąsem. Te opuszczone ramiona płaszczy, palt i jesionek lada chwila gotowe były ożyć, unieść się, zatrzepotać triumfalnie nad żelazkiem i abażurem. I nad gipsowym czy drewnianym aniołem, który trwał w milczącej medytacji za kominem, jak mnich posłuszny regule, cichy, wierny, zawsze na swoim

miejscu. Na strychach panowała wieczna cisza. Jakby anioł z palcem położonym na ustach nie pozwalał, by odezwało się jakiegokolwiek stworzenie, nie zaskrzypiał pozbawiony nogi stół ani ugięta pod ciężarem ubrań belka. Czasem wiatr poruszał gałęziami po brzegu dachu lub facjacie. Najmniejszy szelest, głos kawki, która przysiadła na kominie, chrobotanie myszy zwabionej zapachem suszonych gruszek, budziły zaciekawienie i emocje, ale i one dokonywały się w powadze i milczeniu.

Znów byli na ulicy Pereca. Piotruś nie nudził się, mimo że przed niespełną półgodziną szedł tędy z matką. Lubił patrzeć na rzeczy, które już znał, podobnie jak lubił wracać do książek, które już przeczytał. Wypatrywał po lewej stronie zakładu Chaima Brondweina. Opierał się o parapet i choć nie było potrzeby wspinał się na palcach, aby zajrzeć przez okno do środka. Niecierpliwiał się. Zostawił matkę i podbiegł przed zakład. Chaim Brondwein siedział pochylony nad stołem, na którym leżały oświetlone lampą metalowe precjoza. Były to niepoliczone, delikatne wnętrzości zegarów, wyjęte z konieczności i na chwilę, wstydliwie bezradne, wystawione na niełaskę przypadkowych spojrzeń. Nie mogły istnieć każde z osobna: sprężyny i tryby leżały nieruchomo, wskazówki i sekundniki zatracaly kierunek biegu, opuszczał je nawet sens wspólnego, ściśle oznaczonego na tarczy istnienia. Wnętrzości zegarów czekały aż je Chaim Brondwein uzdrowi. Zegarmistrz nie zauważył Piotrusia. W skupieniu, z włosami opadłymi na czoło, dokonywał sobie wiadomej operacji. Budził zegary z letargu, w który zapadały wbrew swojej woli, przywracał im głos, puszczał w nie kończący się i najbardziej rytmiczny z możliwych ruch. Praca Chaima Brondweina graniczyła z niepodobieństwem: nie dość, że mistrz wiedział, jak organizm zegarów ożywić, to sprawiał, że nawet najdyskretniejsze oznaki i miary tego życia, a więc szmer sekundników, stawały się wzorcem doskonałym. Zegar stojący na stole, wsparty o ścianę, wskazywał, że minęło trzydzieści jeden minut po dziesiątej. Z twarzą na szybie Piotruś obserwował co działo się obok. Nie słyszał kroków zbliżającej się matki. W chwili, kiedy matka chwyciła go za rękę, Chaim Brondwein podniósł znad stołu głowę i Piotruś zobaczył stare, zmęczone i dobre oczy.

Mijali budkę Fajgi Katz. Zapach obwarzanków i placków z cebulą sprawił, że Piotruś poczuł, jakby znalazł się w środku budki, na skrzypiącej, uginającej się podłodze, przed półkami, koszami i oklejonymi papierem ścianami. Ale był na ulicy. Matka trzymała go za rękę, co znaczyło, że do budki nie wstąpią. Z ławeczki uśmiechała się do nich Fajga Katz. Piotruś nie wyrwał się, bo pamiętał, że jest już prawie mężczyzną. Patrzył na okno w budce. Tłukły się za nim muchy, a firanka zdawała się drżeć przez nie poruszana. Piotruś ucieszył się, że muchy są tam, gdzie je zostawił. Szli w stronę ratusza. Wskazówki zegara owijały się na tarczy tylko wtedy, gdy Piotruś nie patrzył na nie. Gdy zerkał, nieruchomiały, udając że bezustannie tkwią w tej pozycji. Nigdy nie nużyła ich ta zabawa, o każdej porze zachowywały się podobnie. Piotruś wiedział, że ze wskazówkami przegrywa, że to one, choć milczą i nie są zainteresowane niczym więcej niż sobą, mają nad nim władzę, bo kiedy na nie spojrzy, zatrzymają się, jak gdyby stały w bez-

ruchu od dawna. Ich stan mówił o rezygnacji, o tym, że cokolwiek się dzieje, dzieje się bez ich udziału, że również jaskółki śmigające nad ratuszem wypuszcza na niebo świt i że jaskółki znad ratusza znikają, gdy poranki budzą się chłodne, a zmiernicy zapadają szybciej, niż zwykły to czynić latem. Tuż za budką, w podwórzu, mieścił się sklep Salomei Goldman. Kiedy skręcali w bramę, Piotruś zerknął na ratuszowy zegar. Wskazówki znajdowały się po lewej stronie tarczy: za dwadzieścia trzy minuty miała minąć jedenasta.

Podwórko było niedużę, kwadratowe. Do każdej z zamykających go ścian wciśnięte były – o jeden, dwa lub trzy ponad miarę – sklepy. Sklep Salomei Goldman znajdował się po prawej stronie, pomiędzy sklepem z obuwiem i zakładem rymarskim, na parterze wschodniej ściany. Prowadziły do niego wąskie, latem uchylone drzwi, pod którymi bardziej dla szyku niż potrzeby spoczywały dwa niskie stopnie drewnianych schodów. Za oknem wisiła odslonięta firanka (Salomea Goldman zasłaniała okno po południu, gdy słońce stawało się zbyt dokuczliwe). O parapet, jak co dzień, wspierały się metalowe sztaby, które wieczorem pani Salomea zakładała na drzwi i okno. Piotruś znał to podwórko. Lubił je. Było na nim wszystko. Jak gdyby całe miasto zamykało się w jego ścianach, pomiędzy brukiem, sklepami, oknami, dachami, kominami i niebem, które wyglądało zza rynien, kiedy zadzierał głowę. Podwórko było ciche, mimo że wiele się na nim działo. I pachniało, o czym Piotruś wiedział, woniami całego miasta, jakby tu właśnie, za bramę przy ulicy Pereca wiatr znosił zapachy przedmieść i zaułków, ciemnych sieni, strychów, targowisk, ogrodów, sklepów, kuchni i piwnic. W przeciwieństwie do zapachów ze sklepu Biny Hechtkopf, te były swojskie. I każdy chciał być, choć na chwilę nawet, na krócej niż chwilę, najważniejszy. Każdy miał miejsce. Zapach siana z łąk znad Łabuńki i zapach kapiącego w trawę soku śliwek z sadu, do którego Piotruś wchodził przez uchyloną sztachetę. Zapach końskiej sierści i zapach skórzanej uprząży. Zapach pleśni, śledzi, gnijących jabłek i kiszonych w beczce ogórków. Pojawiały się tu jednocześnie, a może nigdy podwórka nie opuszczały. Kwiląc, nad dachami przeleciały jaskółki. – Uwważaj, bo się przewrócisz – powiedziała matka, gdy wstępowali na stopnie schodów, prowadzących do sklepu Salomei Goldman.

Pani Salomea była sama. Kiedy weszli, zamknęła książkę, wcześniej zagiąwszy róg kartki. Siedziała za oszkloną częścią lady. Piotruś nie musiał już wspinać się na palcach, aby oglądać za szkłem nici, tasiemki i poduszki na igły. Pani Salomea uśmiechała się. Miała obrzękłe powieki. Palec zdobił ten sam pierścionek, który Piotruś już widział. Na włosach nad czołem złociła się kłamra. Matka oglądała nici. Oprócz białych, o które poprosiła, Salomea Goldman położyła na ladzie niebieskie i czarne. Ważniejszy od obrzękłych powiek pani Salomei był zapach perfum. Piotruś wciągał go głęboko, ale zapach niczego mu nie przypominał. Był jeszcze jedną tajemnicą. Większą od tych, z którymi wyszedł ze sklepu Biny Hechtkopf. Pani Salomea mówiła niskim i ciepłym głosem. Wraz z zapachem perfum jej głos łagodnie falował i osiadał miękko na zwojach tasiemek, wstążek, niciach i poduszkach na igły. Krążył nad matką i Piotrusiem, uchodził otwartymi drzwiami i oknem i wracał. Pani Salomea nie wiedziała, że jej perfumy stworzo-

no do tego, aby były od jej głosu nierozdzielne. Wiedział o tym doktor Tarnowski i od tej pory Piotruś. Wydało mu się, że zapach perfum miał czarny kolor. Zapach ogarniał wszystkie przedmioty w sklepie, owijał się wokół zwisającej z sufitu lampy, wokół ruchomej części lady i lekko wydętej do środka firanki. W sklepie było jasno i cicho, skrzypiała jedynie podłoga, ktoś mówił na podwórzu i na niebie kwiliły jaskółki. Matka kupiła białe nici i dodatkowo niebieskie. Podziękowała i pożegnała się. We drzwiach Piotruś obejrzał się i potknął o próg. Pani Salomea sięgała po książkę.

Zapach perfum Salomei Goldman ulotnił się, czy raczej pozostał w jej sklepie, na wstążkach, firance i lampie, we włosach, na szyi pani Salomei, na ramionach i dłoniach. Tam, za dopiero co przekroczonym progiem, było jego najlepsze miejsce. Szkoda, że matka tak krótko oglądała nici. Nie wiadomo kiedy znów przyjdzie do sklepu pani Salomei i czy weźmie ze sobą Piotrusia. Może przyjdzie sam i powie, że przysłała go matka. Również na ścianach od podwórza osypywał się tynk i odsłaniał cegły. Ich jaskrawa, podkreślona promieniami słonecznymi barwa, ożywiała zmartwiałe przestrzenie pomiędzy oknami i pod dachami, rozweselała szarość, jak gdyby chciała przypodobać się światu, coś od poranka...

- Dlaczego nie kupiłaś czarnych?

- Bo nie potrzebuję.

- Mamo, czy pani Salomea ma męża?

- Miała męża. Pani Salomea jest wdową. Co ci przyszło do głowy?

...do zmerchu mówić. Odsłaniając cegły, czas nie czynił tego bez powodu. Być może zbyt spieszenie przemijały pory roku, zbyt szybko przesuwają się wskazówki zegara na ratuszu i w nazbyt szaleńczy pościg wyruszyły sekundniki zegarów Chaima Brondweina. Na ścianach domów czas przemijał w wolniejszym rytmie. Ściany przypominały twarze, każda inną, zastygłą w odmiennym grymasie, cierpiącą na własny, wystawiony na powszechne współczucie sposób. W deszczowe dni ściekająca po ścianach woda rozmywała ich rysy, gasiła czerwień cegieł, koiła udrękę, bądź sprawiała, że udręka była mniej dokuczliwa. Nawet firanek nie poruszało tchnienie powietrza, za mokrymi szybami nic się nie działo. Ściany porozumiewały się w milczeniu. W wietrzne noce pochylały ku sobie kominy i wtedy niósł się od nich przeciągły jak skarga szum. Ale ci, którzy słyszeli szum kominów, nie wiedzieli, czy to one tak się porozumiewają, czy tylko wiatr tłucze się po strychach, uderza w facjaty, potraça dziurawe rynny. Odsłonięte cegły przypominały Piotrusiowi oczy lub otwarte ze zdumienia usta. Pewnie coś, wszystkie naraz, mówiły. Wiedziały co kryje się za ścianami, znały zapach perfum pani Salomei.

Ponownie byli na ulicy Pereca. Ze stojących po jej obu stronach domów patrzyły na Piotrusia inne oczy. Piotruś obrócił się i podniósł głowę: z otwartych na piętrze okien wyglądały pelargonie, uległe słońcu, poddane mu, każdym liściem i płatkim wychylone ku światłu. Pożądały jego tkliwego dotyku. Światło spoczywało na nich do zachodu słońca. W różnych porach dnia dotyk był inny. Od delikatnego, niepewnego, ostrożnego, gdy słońce wylaniało się spoza dachów

wschodniej części miasta, poprzez dławiący i gwałtowny (tkliwość światła bywała i taka) w południe, po rozluźniający uścisk i dotyk na nowo delikatny, czuły, drżący, gdy słońce zapadało za Kolegiatą. Trwał sezon tych miłosnych uścisków. Pelargonie bieleły się, różowiły i czerwieniły bez pamięci i bez wytchnienia. Przekwitały, aby za chwilę jeszcze obficie i w bardziej wyrazistych barwach zakwitnąć. Brakowało im miejsca. Liście prześcigały się, aby jak najdalej wysunąć się poza doniczki i parapety. Prześcigały się kwiaty: szło o pierwszeństwo w pieszczocie ze światłem, o to, by światło obejmowało je od każdej strony i by jego dotyk trwał najdłużej. Tylko noc przerywała tę wzajemność. Była czasem wyczekiwania za zamkniętymi oknami. Tak samo działo się w domu Piotrusia – na oknie w kuchni, w obydwu pokojach i na werandzie. Nigdy nie było im dość światła. Krzewiły się ponad miarę, zakrywały okna, zwiślały nad łóżkiem. Odurzały zapachem. Matka mówiła, że pięknie rosną i codziennie wieczorem je podlewała. Tak było do wczesnej jesieni, gdy chłodniejsze noce hamowały to szaleństwo wzrostu i kwitnienia, a zapach przestawał odurzać. W oknach Salomei Goldman nie stały pelargonie. A czyje były te różowe znad budki Fajgi Katz, Piotruś nie chciał pytać matki. Pewnie znowu by usłyszał, że coś mu przyszło do głowy.

Piotr Szewc

Marzena Broda

Spór

Noc, czy to zasklepienie w sobie
I bez dodatku do rozpaczy?
Krzyk żarówki, on nic nie znaczy,
Słowo ma elektryczny obieg,
By zaiskrzeniem się obrazów
Porazić skamieniałe oko,
Byle oddać dziennym wyrokom
Życie, lecz czasem światła pazur

Na jabłoni w jedyne się wdraża
Jabłko i nagle drgnie skamielina
Żrenic w miłosnym wrzeniu, co ścina
Białko tą trwale rzetelną ciążą
Serca wierzącego, że rozszerza
Cieleśne ocknienia jego ciężar,

Który wiotczeje w datach i w tym,
Co ma nadejść, gdy sztuczek płaski
Zamiar sam nie wyprosi laski
U Ciebie. Dawno już upadł rym
Prośb, pora rzucić się w wir skruchy,
Może oglądać w magazynach
Mody z nylonu piękno. Czy nas
Coś mniej cieszy niż tłocznie głuchy

Rejwach nad sobą, oprócz trwożnego
Zastoju, gdzie poparcie dla ducha
Nie klaruje się, jeśli ktoś słuchał
Cię uważniej ode mnie, kolego
Bez wątpliwości. Tak, nie kochałem
Niczego (jak Ciebie) całym ciałem,

Marzena Broda, ur. 1966 w Krakowie. Autorka tomików poetyckich: *Światło przestrzeni* (1990) i *Cudzoziemszczyzna* (1995); w przygotowaniu w wydawnictwie „a5” tom pt. *Migot Natury. Utwory poetyckie o ubywaniu ze świata rzeczy*, z którego pochodzą przedstawione wiersze. Mieszka w Krakowie.

Żeby dostarczyć rozmyślnie zmysłom
Tematów do spojrzeń, bo przyjemność
Szumnych wzruszeń ciągle mnie gorszy: ość
Gałęzi w liściach, gdy w nich prysło
Coś, czego wlekąc się od szyby
Zmyślonych obłoków za głębią
Pokoju, nie rozumiem. Ziębią
Już te beznadziejne porywy,

To, że okrawkami sił ozywam
Na ruch planet w górze, zaskoczony
Układem zodiaków, których jony
Nie dążą do siebie, lecz ich krzywa
Rośnie, choć nie stykając się wszędzie,
Tylko w nocy, gdzie dzisiaj tam będziesz.

9 VIII 1998

Kwitnące oko

Białe zarodki ssają powietrze
I przyklejone do szyby wypuszczają pędy,
Syte i ślepe jak niemowlęta,
A oko to widzi i tracąc płatki nad nami,
Nie czuje straty i kwitnie dalej
Na polach śniegu, pod powieką i na policzku
Zmieniając nas we własnych obrotach
W dowody jego wzrastania, obciążone niczym.

20 XII 1998

Lotny świat

Tknięte światłem, zanim światło większe je stopi,
Na morzu prostują się linie, by od nowa
Rwać się ku sobie. Nie wiadomo, gdzie osnowa
Układa się tak równo, jak wzdłuż tego oka,
By chronić cię lepiej przed mrozem. Tu powłoka
Ciepła nie przepuści chłodu, lecz i nie szuka,
Kiedy odcina się od tła. Jaka to sztuka
Spójnie scalać się na styku fal! Bez niechęci
I żeby nie myśleć, że tkacz z robotą pędzi,
Mocno wiążąc w nas wązki mocnymi nitkami.

Znów nie udało mu się wpasować mnie w ogół,
A w ciebie. W ten szczegół, którego nic nie splami,
Żadna rozpacz, jeśli przecież jakoś JESTEŚMY
Według jego wzoru na tej tkaninie; więc coś
Czy może być, co ją spruje? Zmieni w nic. Nie prosz
O miłość, choć raz módl się za siebie. Do tego,
Komu jest drogie twoje spojrzenie. Do tego,
Kto napelnia nas własnym POWIETRZEM i ŚWIATŁEM,
By, aż po lotny świat, wydobyć na wierzch spokój.

25 VII 1999

Dla Anny Saranieckiej

Marzcna Broda

Kazimierz Nowosielski

Skupienie



foto. Jerzy Lewandowski

Rzadkie pytania o teraz
w których jest troska
o zawsze – –
Tylko czasem – w uważnym spojrzeniu
cud pomnożony – o zwyczajność
nie do wiary:
ciężki dobytek kamienia
cicha wystawność motyli
miłość zatrwożona
swym nieskończonym pragnieniem
zapach kobiety – sen
najdelikatniejszy z możliwych
- dla zdumionych jestestwem
wszystkie drogi wieczne
nagle skupione
w jednej kropli światła

* * *

jakby gdzieś
wabienie konieczności – świętośpiew
– posłuch życia
wierność linii brzegowej czasu

Kazimierz Nowosielski, ur. 1948 we wsi Rybno na Kujawach; poeta, eseista, krytyk sztuki. Wydał wiele tomów poezji, m.in. *Miejsce na brzegu*, *Stan skupienia*, *Uparte oddychanie*, *Wilga i deszcz*, *Wiersze wybrane*, a ostatnio *Z księgi darów*. Opublikował zbiory szkiców literackich: *Ryzyko obecności* i *Przestrzeń oczekiwania*. Mieszka w Gdańsku.

W podzięce

Jak chłopiec który po raz pierwszy
zobaczył skrawek dziewczęcych piersi
ukrytych pod stanikiem
gdy koleżanki z klasy zbiegały w dół
po schodach a ona
dostrzegła to – i uśmiechnęła się
wiedząc że odtąd
poznaleś coś więcej – również i w sobie
samym – – tak i teraz
patrzysz zdumiony jak sztubak
gdy żona – oparłszy stopę o brzeg wanny
nacierą ją olejkami
i wydaje ci się – pachnie światło
wydobywane opuszkami palców
z wnętrza bioder
z zaróżowień krągłości brzucha z ramion
na które opadł kosmyk mokrych włosów
Strużki skroplonej pary
spływają po plecach by zniknąć
w zagłębieniach pośladków – a ty
chciałbyś zatrzymać je
wargami – kiedy jeszcze świecą
na puchu
migdałowego wnętrza
I coraz gwałtowniej bije twoje serce
w podzięce że tak
Bóg podarował ci ślad
swojej ręki

Czułość

W czułości słowa – ledwo
zauważalny dukt losu:
odnajdywanie tego co przed
i po – i w rzeczy samej
cicho – najciszej – by nie spłoszyć
tego co jest – a dalej
światło – niepewny horyzont ocaleń – –
I szept: Panie
tyle ile mogłem –

Kazimierz Nowosielski

Wiesław Trzeciakowski

Sprawa pani Konstancji



„Któregoś dnia heretyk wskazał Franciszkowi kapłana, który otwarcie żył z konkubina i zadał mu podchwytliwe pytanie: czy msza odprawiana przez tego człowieka o skalanych rękach mogła mieć jakąś wartość? Franciszek odpowiedział na to pytanie podchodząc do kapłana, klękając przed nim i całując ręce, które podczas mszy trzymały ciało Chrystusa.”

(Julien Green, *Brat Franciszek*)

I

O księdzu Sebastianie, młodym wikariuszu wyświęconym dwa lata temu i pracującym w tym kościele pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego, pani Konstancja nie miała właściwie żadnego zdania, choć lubiła je mieć o każdym, gdyż była osobą szanującą porządek, a porządek oznacza jasność, rzeczy poukładane w szufladzie, czyste okna, odkurzone sprzęty, wypraną bieliznę. Tak też powinno być w życiu. Wstawiała zawsze o tej samej porze, o szóstej rano, a kładła się do łóżka o dziewiątej wieczorem, bez względu na okoliczności.

Była wdową oraz osobą w takim wieku, że po prostu nie wyobrażała sobie, że ktoś może żyć inaczej niż ona. Miała sześćdziesiąt cztery lata, wygląd niczym nie wyróżniający się, poza energicznym sposobem chodzenia, zdradzającym osobę stanowczą, lubiącą mieć rację, postawić na swoim. I tak naprawdę było. Jej mąż, aptekarz, był człowiekiem bardzo dokładnym i cichym, najczęściej przebywał w ap-

Wiesław Trzeciakowski, ur. 1950 w Bydgoszczy, absolwent filologii polskiej UMK w Toruniu. Poeta, prozaik, tłumacz niemieckiej prozy romantycznej i współczesnej. Autor tomików poetyckich: *Chłopiec z różą* (1979), *Książę pisze list* (1994), *Ogród moralny* (1995), zbioru opowiadań *Uwodziciele. Kryształowa biblioteka* (1997). Laureat nagrody głównej XII Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi (1978). Współpracownik „Przeglądu Artystyczno-Literackiego” (Toruń). Mieszka w Bydgoszczy.

tece, w której miał swój mały pokój służbowy, o którym powiedzieć „gabinet” byłoby za wiele, w każdym razie był to miły kąt na zapleczu, z biurkiem, radiem, stolikiem i kilkoma krzesłami, z jakąś starą szafką, w której trzymał tani koniak dla kolegów przychodzących po zamknięciu apteki grać w karty. Żonie naturalnie tłumaczył przesiadywanie w aptece koniecznością porządków oraz pisaniem zestawień brakujących leków i zamówień na te, których zapasy mocno stopniały. Co jak co, ale porządek był dla pani Konstancji argumentem, który uznawała bez oporu, więc on robił swoje porządki w aptece, a ona w domu. Ponieważ miała dużo czasu, szczególnie po śmierci męża, postanowiła aktywniej uczestniczyć w życiu religijnym parafii. Od kilkunastu lat należała do kółka matek różańcowych, ale to nie zaspokajało jej temperamentu i ambicji, również zapалу do działania. Z proboszczem znała się od lat, bywał w jej domu za życia aptekarza, na obiedzie lub kolacji. Był niemal rówieśnikiem jej męża. Pani Konstancja lubiła proboszcza nie tylko dlatego, że jego wizyty umacniały znaczenie jej domu w okolicy, ale był to mężczyzna, któremu, jak to się mówi, niczego nie brakowało. Przyjemnie było na niego popatrzeć, posłuchać jak mówi swoim pięknym, niskim głosem. A sylwetkę do dziś miał taką, że kobiety w wieku pani Konstancji nie mogły być obojętne, nawet jeśli tą postać okrywała sutanna. Oczywiście, że Konstancja przepędzała takie nieprzystojne myśli ze zgorszeniem i wstydem, ale one i tak wracały, zwłaszcza w obecności proboszcza, a potem także. Po śmierci męża chciała nawet proboszczowi zaproponować pełnienie roli gospodyni na plebanii, ale potem pomyślała, że taka propozycja uchybia jej pozycji, wdowy po aptekarzu, a poza tym nie wiedziała, jak na to zareagowałby sam proboszcz. Co innego, gdyby przyszedł do niej, głośno narzekal, że nie ma odpowiedniej gospośki i tak dalej, wtedy byłaby sposobność. A tak? To nie wypada. Wtedy przyszła jej do głowy myśl, aby działać w radzie parafialnej. Będzie bliżej proboszcza, a prócz tego może okazać się pożyteczną osobą i wykorzystać nadmiar wolnego czasu, troszcząc się o parafię.

Początkowo była trochę rozczarowana, gdyż rada parafialna to ludzie potrzebni proboszczowi do codziennej obsługi kościoła, do grabienia trawników, do naprawiania ogrodzenia, ławek w kościele, do zamykania kościoła, a także do finansowania, jeśli ktoś mógł sobie na to pozwolić. W tej akurat parafii do rady należał ogrodnik zaopatrujący świątynię raz w tygodniu w świeże kwiaty, a także w dni uroczyste, malarz pokojowy wykonujący przy okazji różne dekoracje i napisy, stolarz, dwie panie do prania i prasowania, ktoś do zamykania kościoła, jakiś wytwórca pantofli i przedsiębiorca posiadający firmę budowlaną, którzy pomagali pieniężnie w utrzymaniu kościoła i plebanii.

Pani Konstancja uważała siebie za osobę bardzo religijną, za kogoś, kto czuje się odpowiedzialny za moralne zdrowie parafii. Chętnie pouczała i choć mówiła w zasadzie rzeczy słuszne, to ludzie raczej stronili od niej. Uczyla jak żyć uczciwie, a nawet prowadziła kursy przedmałżeńskie tak gorliwie, że nawet sam proboszcz musiał hamować jej zapal i nadmierną gadatliwość o niemoralności naszych czasów. Gdyby tylko słuchano jej jak należy, sprawiedliwie oceniano jej pracę spo-

leczną w parafii! Niestety, tu także gorycz i brak zrozumienia. Na ulicy, już po paru zdaniach jej rozmówcy z gasnącym uśmiechem i dziwnym podenerwowaniem żegnali ją pospiesznie i znikali. „Ludzie są tacy obojętni na moralność. Nie mają czasu! Za czym tak gonią? Jak oni nie lubią słuchać prawdy!” – myślała wtedy rozgoryczona i często tę myśl powtarzała podczas zebrań rady parafialnej.

Zauważyła, że o byle czym rozmawiają całymi godzinami, na to mają czas, o tak, szczególnie gdy chodzi o sensacyjne plotki krążące po osiedlu, które, choć było częścią dużego miasta, to jednak z uwagi na swe położenie, miało coś z atmosfery małego miasteczka. Kiedy próbowała przejść do poważnych tematów, to znaczy religijnych, nagle ten i ów patrzył na zegarek, nie miał czasu, spieszył się bardzo, jak choćby ta Słowikowa, którą jednak spotkała pół godziny później gadającą bez opamiętania przed sklepem mięsnym. Stała tam z Wilczewską, która miała równie długi jeźor, jak żmija, tak samo jadowity, i mimo że Konstancja przechodziła tuż obok, dwa razy, nie zauważyły jej, tak były zagadane. Ciekawe o kim? Bo że kogoś wzięły na języki, Konstancja nie miała złudzeń. Przecież te baby o niczym innym nie mówią! Nie wiedziała, że to właśnie ona była głównym tematem rozmowy Słowikowej i Wilczewskiej, i że ją dobrze widziały. Udawały tylko, bo nie chciały, aby się do nich dołączyła; naturalnie, że przedmiotem wymiany zdań było to, iż Konstancja rządzi się na plebanii jak szara gęś, wszędzie się wciska, a co do proboszcza, też miały pewne przypuszczenia. Czy Konstancja rządzi tak bez jego aprobaty? To właśnie dawało wiele do myślenia.

II

Ksiądz Sebastian był młody, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, włosy jasne, krótko ścięte, twarz bardzo męską i piękną zarazem. Ktoś, kto przeglądał czasem albumy sztuki antycznej, mógłby nawet zrobić porównanie do twarzy i sylwetek greckich młodzieńców, zwłaszcza z epoki helleńskiej, wyobrażać sobie jak chodzą pół nago ulicami lub krążą po ogrodach miejskich Antiochii czy Aleksandrii. Pani Konstancja o tym nie mogła wiedzieć, nie miała na ten temat żadnej wiedzy, ale uroda księdza rzeczywiście, przyznawała to w duchu, była urzekająca, aż dziw, że został osobą duchowną godząc się w ten sposób na celibat. Nawet najbardziej religijne kobiety w parafii nie mogły tego pojąć, co w końcu jest paradoksalne samo w sobie. Dlaczego duchownymi miałyby być pokraki? Albo bładzi, bez życia młodzieńcy, którzy idąc do seminarium, szukają właściwie dla siebie ratunku.

Błękitne oczy Sebastiana niepokoiły kobiety, ale przecież nie miały takiego zamiaru. Te zaś, które należały do matek różańcowych, patrzyły w niego jak w obrazek z aniołkiem; nie podejrzewały, że w jego uprzejmym i naturalnym traktowaniu, mogłoby być coś więcej. Na tyle miały jeszcze oleju w głowie. To dziwne jak męska uroda księdza działa na kobiety! Do księdza Sebastiana przychodziło ich coraz więcej, w różnym wieku, kiedy zasiadał w konfesjonale. Nawet proboszcz bez zazdrości zauważył wzrost zainteresowania sakramentem pokuty wśród kobiet tej parafii.

– Ale to dobrze, to bardzo dobrze – dodawał, kiedy o tym wspominał.

Ksiądz Sebastian założył przy kościele parafialną księgarenkę z myślą o młodzieży. Potrzebował kilku dziewcząt do pomocy. Zgłosiło się aż dwadzieścia. Był problem, co teraz robić, trzeba było wybrać tylko trzy, a pozostałych nie urazić. Wobec tego ksiądz Sebastian utworzył grupę modlitewną z pozostałych dziewcząt, ku radości proboszcza, który mógł się teraz chwalić tym przed dziekanem i biskupem. Grupa modlitewna spotykała się raz w tygodniu, a jej zadaniem było modlić się za sprawy młodzieży, szerzyć chrześcijański styl życia i myślenia, uczyć oceniać to, co świat nieustannie narzuca, proponuje w atrakcyjny sposób, a co jednak jest demoralizujące i zabija zdolność samodzielnego myślenia i oceniania wartości.

Spotykali się początkowo w kościele, ale dla lepszej atmosfery ksiądz Sebastian zaproponował, aby przenieść się do jego mieszkania, na plebanię, a proboszcz nie miał nic przeciw temu.

Wśród dziewcząt było kilka ładnych, ale najładniejsza była Beata, śliczna dziewczyna, blondynka o lekko opalonej karnacji, szczupła, średniego wzrostu, delikatnie i bardzo zręcznie eksponująca swoje kobiece uroki, szczególnie piersi, które nie były wcale zbyt bujne, ale pozwalały na domysły, że są piękne, kształtne, spragnione miłości zmysłowej; Beata była nawet trochę podobna do Sebastiana, niektórzy to zauważyli i śmiali się, że nie wyjdzie nigdy za mąż, gdyż na ogół małżonkowie wykazują duże podobieństwo, o ile są dobrani nieprzypadkowo. Sebastian też się śmiał, ale gdy częściej zaczął widywać Beatę, słuchać jej głosu, obserwować jej zachowanie i sposób poruszania się, z niepokojem zauważył, że jej obecność w tej grupie staje się dla niego najważniejsza i sprawia mu zmysłową przyjemność. Kiedy kilka razy nie było Beaty, czuł się źle, nie miał dobrego nastroju do zbyt długich rozmów. Po godzinie żegnali się, a wtedy Sebastian zostawał sam na sam z myślami, których główną treścią była Beata. Wyobrażał sobie, jak przychodzi do niego sama, jak się śmieje, opowiada byle co, ale to „byle co” jest śliczne, jak siedzi w fotelu z podkurczonymi nogami, słodko wtulona w oparcie, jak wstaje i włącza nastrojową muzykę, na przykład piosenki Céline Dion, której erotyczny głos, śpiew i ekspresja podniecały zmysły, rozgrzewały uczucia tak bardzo, że w wyobraźni przestawał czuć się księdzem, był zwykłym młodym mężczyzną. Podchodził do Beaty, dotykał jej ciała, całował. Siedział tak z zamkniętymi oczami do późnej nocy i w wyobraźni przeżywał to, co w rzeczywistości było nie do pomyślenia. Beata? Z Beatą? Wstawał szybko, otrząsał się z takich myśli jak po kąpieli, brał różaniec i modlił się tak długo, aż poczuł się całkowicie wyczerpany.

Jeszcze w liceum chodził z dziewczyną, właściwie z koleżanką młodszą o dwa lata. Czasem ją objął, trzymał za rękę, kilka razy pocałował tak jak mężczyzna kobietę. To właściwie było wszystko, choć chciał, żeby między nimi było coś więcej. Był silny, wysportowany, szumiały w nim męskie hormony, nie przypominał wcale kandydata do seminarium. Nagle po maturze, zdecydował się zostać księdzem! Nie, nie przeżył żadnego zawodu miłosnego, nic takiego. Chciał być księdzem. Kiedy przyjęto go do seminarium duchownego, koledzy klerycy patrzyli na niego z podziwem, ale też z zawiścią, robiąc różne aluzje do marności ciała

i przemijania fizycznego piękna. W seminarium było jeszcze kilku przystojnych i ładnych chłopców, ale nie takich jak Sebastian. Nawet niektórzy profesorowie zachowywali się tak, jakby byli w nim zakochani. Nic dziwnego, piękno posiada tajemniczy i bardzo niepokojący urok. Wśród jego dawnych licealnych kolegów, a nawet we własnej rodzinie, nikt nie wierzył, że zostanie księdzem. Uważali, że to kaprys młodzieńca, który sam nie wie, czego chce, albo że to dziwactwo pięknego chłopca, który prędzej czy później zrozumie, czym jest moc natury, ciała, namiętność, pleć. O tym Sebastian już wiedział, często bowiem w ciągu dnia, a szczególnie nocą, czuł podniecenie ciała, jakiś okropny stan agresji erotycznej, nieodparte pragnienie dziewczęcego ciała, ból zmieszany z rozkoszą. Co można wtedy robić? Kierownik duchowy dawał mu wskazówki, jak radzić sobie w takich sytuacjach, ale to nie było takie proste. Żył z wulkanem w ciele, zwłaszcza zimą, kiedy nie mógł biegać z piłką po boisku, tuż za gmachem seminarium. Niekiedy nie potrafił zapanować nad podnieceniem, wtedy biegł do łazienki i sam przynosił sobie ulgę, ale za to od rana chodził z wyrzutami sumienia, bo wiedział, że to nienaturalny sposób. Nie tylko on tak robił (odkrył to pewnego razu) ale nie usprawiedliwiał się tym faktem. Od kierownika duchowego dowiadywał się wtedy, że nie te upadki są najważniejsze, ale wysiłek, praca woli, opanowywanie ciała. „Wyobraź sobie, że facet jedzie tramwajem, widzi ładną panienkę. Rozpała się i idzie prosto do niej. Jest podniecony, nie może sobie z tym poradzić. I co? Gwałci ją? Albo nawet, jeśli ona też chce, to co, robią to w tramwaju?” – tłumaczył Sebastianowi fakt, że każda rzecz ma własne miejsce i porę, a także to, że panowanie nad popędami to konieczność, jeśli chcemy pozostać w kręgu ludzi i Boga.

Nieraz nachodziły Sebastiana myśli gorsze niż podniecenie. Rozwahał, dlaczego właściwie ma się wyrzec tego, co naturalne dla człowieka; po co narzuca się kapłanom celibat? Dlaczego ma się wstydzić podniecenia, które świadczy o jego zdrowiu i sile? Dlaczego to zle? Czytał dużo na ten temat, ale autorzy na ogół sami dobrze nie wiedzieli – ukazywali problem idealnie i doktrynalnie, pomijając samego człowieka, ignorując naturę ciała, wierząc, że sama wola może przewyciężyć wszystko; a inni znów piszą o samej fizjologii płci, którą każdy dobrze czuje praktycznie, na co dzień, i nic z tego nie wynika. Któregoś razu, chyba na czwartym roku, Sebastian doszedł do wniosku, że nie powinien być księdzem, a kiedy dzielił się wątpliwościami na ten temat z kierownikiem duchowym, ten odrzekł krótko:

– Czy sądzisz, że Pan Bóg o tym nie wie? Myślisz, że mury z cegieł, kościoły, budują eunuchy? Do tego trzeba męskiej siły, rozumiesz? Kto wie, co ciebie czeka. Módl się o dobrą drogę i rób więcej przysiadów i pompek!

Kiedy chciał odejść, stary profesor zawołał go i polecił przeczytać książkę o świętym Franciszku.

– Tylko nie czytaj dzieła jakiegoś doktrynera czy hagiografa. Poszukaj takiej książeczki... Czekał, przypomniał sobie. O, już mam. *Zakochany w miłości* Ewy Szelburg-Zarembiny. To piękna książka. Franciszek był taki sam jak ty, wiesz o tym?

Profesor zawahał się i zaraz szeptem dodał:

– Lubił dziewczyny, a one jego, kiedy biegał po Asyżu jak hulaka. Był śliczny, jak ty. A potem, gdy Pan go powołał i przemienił jego życie, wiesz jak walczył z podnieceniem, które już nie było potrzebne? Rozgorączkowany wchodził do wody, po pas, i tak długo stał, aż podniecenie opadło, rozumiesz, opadło! – uśmiechnął się dobrotliwie i mocno ścisnął ramię Sebastiana.

Ta rozmowa miała decydujący wpływ na to, że postanowił jednak zostać księdzem i całkowicie zaufać Bogu – bez względu, co sam by nie robił. Bóg jest większy ponad nasze grzechy, słabości, pokusy, obawy.

III

Koleżanki Beaty zauważyły, że Sebastian zachowuje się zupełnie inaczej, kiedy nie ma Beaty, a kiedy znów była obecna, ksiądz często śmiał się, był wesoły, co chwilę robił kawę lub herbatę, wyciągał z szafki czekoladę, przeciągał spotkania, tłumacząc to samotnością i brakiem własnej rodziny. Tak, wtedy był zupełnie innym człowiekiem. Nie ten sam. A przy tym najczęściej spoglądał na Beatę, trudno tego nie zauważyć.

Nic dziwnego, że po osiedlu zaczęły krążyć plotki, z pozoru niewinne, o tym, że ksiądz Sebastian lubi najbardziej Beatę i ma do niej słabość. Beacie to wcale nie przeszkadzało, była dumna, że podoba się księdzu, w którym kochają się wszystkie baby. Koleżanki miały jej za złe, że świadomie uwodzi księdza, więc jeżeli tak dalej będzie, to one przestaną brać udział w tych spotkaniach w charakterze ciotek przyzwoitek; pewnie, że zrobiłyby to z zalem, gdyż czuły się u księdza Sebastiana świetnie. To było w końcu najlepsze miejsce na osiedlu, gdzie brakowało klubu, domu kultury, dyskoteki czy choćby skromnej kawiarenki. Kto prowadziłby tu interes dla trzydziestu czy czterdziestu osób? Kiedyś znalazł się osobnik, który próbował rozruszać to miejscowe zatęchłe środowisko – otworzył lokal, przy którym urządził gustowny ogródek ze stolikami i krzeselkami, ale po jednym sezonie splajtował. Dlatego ten Sebastian spadł im jak z nieba. Dosłownie. Do tego był fantastycznym facetem. W mieszkaniu chodził w dżinsach i sportowej koszulce. Ten strój uwydatniał jego świetnie zbudowane ciało. Właściwie wszystkie były w nim zakochane – czasem żartowały jedna z drugiej. Ale jemu podobała się tylko Beata, tego nie potrafił ukryć. A Beata? Wydawała się tutaj najważniejszą osobą, jakby tu mieszkała! W stosunku do Sebastiana zachowywała się bez skrępowania, jak wobec kumpla, a może... Różne przypuszczenia krążyły po główkach tych dziewcząt. Uśmiechały się do siebie patrząc porozumiewawczo, gdy Beata coś szeptala księdzu na ucho. „Umawiają się, co?” – przesyłały sobie dwuznaczne spojrzenia.

To spotkanie – pod koniec czerwca, w piątek – przeciągnęło się prawie do północy. Było naprawdę wesoło, nawet ktoś przyniósł szampana, zdaje się Kasia z okazji osiemnastu lat, a Małgosia i Sylwia przyprowadziły swoich chłopaków. Ktoś zaproponował, żeby potańczyć. Sebastian się zgodził, dlatego tacy młodzi nie mieliby potańczyć, jeśli chcą?

Małgosia snuła się przytulona do swego Piotra, a Sylwia tańczyła z Tomkiem chichocząc się od czasu do czasu, nie wiadomo dlaczego. Magda słuchała nastrojowej muzyki w głębokim zamyśleniu, a Agnieszka, najmniej interesująca z wszystkich dziewcząt, patrzyła na tańczących z jakimś wewnętrznym cierpieniem. Beata podeszła do Sebastiana i coś mu zaszeptala. Nie chciał się zgodzić. Nalegała. Chwyła go za rękę i pociągnęła ku tańczącym. Wreszcie udało się, zaczęli tańczyć. Więc o to chodziło! Chłopcy chrząkali znacząco i klaskali z uznaniem. Beata coraz mocniej przytulała się do Sebastiana, który początkowo był trochę tym speszony, ale po jakimś czasie przyjął rolę i grał ją bardzo dobrze. Trudno powiedzieć, co wtedy w nim się działo! Kiedy żegnali się o północy, byli w cudownych nastrojach. Przy wejściowych drzwiach do plebanii, na dole, Beata nagle zauważyła brak torebki, a kiedy Sebastian zaproponował, że szybko ją przyniesie, powiedziała, że nie, zrobi to osobiście, gdyż ma jeszcze ważną sprawę do księdza, taką na dziesięć minut.

– Nie czekajcie na mnie. To potrwa co najmniej dziesięć minut. Do domu mam najbliżej z was – powiedziała do koleżanek i kolegów.

Sebastian wahał się, czy wolno mu się na to zgodzić. Znów był księdzem – ale nie bardzo wiedział, jak się zachować; nie chciał urazić Beaty, ani też wydać się śmiesznym, ujawniając obawę przed byciem sam na sam z Beatą. Ale zanim cokolwiek postanowił, Beata już biegła po schodach do jego mieszkania, na piętrze. Zamknął więc drzwi wejściowe do domu, obserwując przez chwilę rozweseloną grupkę młodych, żegnających się trochę za głośno, jak na późną porę.

IV

Następnego dnia przez całe osiedle przetoczyła się niesłychana wiadomość, wstrząsająca i niepojęta: ksiądz Sebastian zgwałcił Beatę na plebanii, we własnym mieszkaniu!

Kiedy zaczęto pytać co i jak, skąd niby o tym ludzie wiedzą, okazało się, że ten wie od tamtego, a tamten od tamtej, a znów tamta od matki Beaty, wreszcie sama Beata potwierdziła, że to prawda, że ten fakt miał miejsce po północy, wczoraj, czy raczej już dzisiaj nocą, kiedy wróciła po torebkę do mieszkania księdza Sebastiana. Magda i Małgorzata przyznały, że tak było, to znaczy, że Beata wróciła po torebkę, ale co było dalej, nikt nie wie, tylko Beata i ksiądz Sebastian.

Matka Beaty zjawiała się w domu pani Konstancji, a potem razem udały się na plebanię do księdza proboszcza.

– Co ksiądz proboszcz zamierza zrobić w tej skandalicznej sytuacji? – z gniewem zawołała pani Konstancja.

Proboszcz rozłożył ręce.

– Najpierw trzeba sprawę wyjaśnić. Muszę porozmawiać z księdzem Sebastianem, z Beatą, z wszystkimi, którzy byli na tym spotkaniu. Nie twierdzę, że Beata kłamie, ale nie możemy w tej chwili stwierdzić, czy było tak, jak powiedziała.

Matka Beaty zaczęła histerycznie szlochać, co jeszcze bardziej rozpałało wściekłość pani Konstancji.

– To ma być ksiądz? Od razu wydał mi się podejrzany! Grupa modlitewna! Same dziewczyny w wieku siedemnastu i osiemnastu lat! Ładne modlitwy tam urządził: z szampanem, tańcami, śmiechy-chichy, no i proszę bardzo, gwałt na plebanii! Tego jeszcze nie było! Muszę powiedzieć, że ksiądz proboszcz też tutaj nie jest bez winy, akceptował całą tę Sodomę i Gomorę!

Proboszcz obruszył się.

– Niech pani nie przesadza i nie nadużywa porównań, dobrze? Co w tym złego, że młodzi sobie potańczyli? Przecież Sebastian to normalny chłopak, tak czy nie? Ma dwadzieścia sześć czy siedem lat, jest ładny, zdrowy, a przy tym to materiał na dobrego księdza. Co w tym złego, doprawdy?

Pani Konstancja potrząsnęła stanowczo głową.

– O nie, myli się ksiądz. Co wolno tym młodym, tego nie wolno kapłanowi! To nie do pojęcia dla mnie, jak zmieniły się czasy! Kto to słyszał, żeby młody ksiądz, przebrany w dżinsy, niemal pół nago tańczył we własnym mieszkaniu z dziewczętami, jak w dyskotecce! No, a potem są skutki tej Sodomy i Gomory! I do tego ma jeszcze obrońcę, księdza proboszcza. Ja tutaj przyszłam jako członek rady parafialnej i żądam, aby ksiądz to natychmiast zgłosił na policję i do prokuratury. Jeśli nie, to my to zrobimy. To gwałt, proszę księdza, czyli sprawa kryminalna.

Proboszcz machnął niecierpliwie ręką i uciął wywody Konstancji.

– Tak, wiem o tym. Ale dla mnie, kapłana, to przede wszystkim sprawa sumienia i godności Kościoła. Dlatego muszę znać prawdę. Sam się przekonać. Wpierw porozmawiam z Sebastianem, potem z Beatą, na koniec z pozostałymi. A pani, Konstancjo, niech nie sądzi pochopnie. Proszę się nie martwić, co ma być, to będzie. Sebastian nie ujdzie sprawiedliwości, jeśli to zrobił, o co oskarża go Beata. A na razie proszę o wstrzeźliwość języka i czynów, dobrze? Umówmy się na jutro, tutaj, w biurze parafialnym, przedstawię wam wnioski i podejmę decyzję, co dalej robić. Pamiętajcie, że Sebastian to ksiądz. Nawet plotki czy podejrzenia mogą być dla nas tragiczne. A jeśli to nieprawda? Kto to odkręci, kto nam uwierzy, że Sebastian jest niewinny. Ludzie powiedzą, że coś w tym musiało być. Wiecie sami, jak chętnie przyjmujemy złe opinie o kimś, nawet tego nie sprawdzając, a prawdę każemy sobie udowadniać. Czy nie tak?

Kiedy wyszły, proboszcz wyobraził sobie, co będzie, kiedy sprawa nabierze rozgłosu. Policja, prokurator, prasa, telewizja, zgorszenie w parafii. To dopiero woda na młyn dla wrogów Kościoła! Jezus, Maryja! Chwycił się za głowę. To nieprawda, to niemożliwe! Chociaż...

Sebastian przedstawił własną wersję. Wynikało z niej, że Beata celowo zostawiła torebkę, o czym mu powiedziała w mieszkaniu. Obejmowała go, chciała dalej tańczyć, próbowała go całować. Kiedy nie chciał, powiedziała krótko i namiętnie:

– Nie udawaj!

W duszy Sebastiana zjawiły się natychmiast burze namiętności, drżał cały z podniecenia, a Beata zachowywała się jak dziwka. Nawet nie przypuszczał, nie znał jej od tej strony; położyła się jak kotka na tapczanie, przeciągała z rozkoszy, wydawała słodkie westchnienia i Sebastian już prawie byłby gotów na wszystko,

kiedy przypomniał sobie starego profesora z seminarium – słowa o świętym Franciszku, o tym, jak gasił pożądanie. Wybiegł do łazienki. Szerokim strumieniem popłynęła z kranu zimna woda. Rozpiął spodnie, opuszczył je do kolan i studził tak gorączkę przez kilka minut. Tak, tak to nawet opisał proboszczowi, dokładnie, ze szczegółami, z trudem pokonując barierę wstydu, normalnej intymności. Więc kiedy wrócił z łazienki, Beata leżała na tapczanie naga, miała na sobie tylko małe białe majteczki. Wyciągnęła do niego ręce. „Chodź, szybko, szybko!”

Powiedział do niej:

– Beatko, jesteś słodka, słodka, bardzo cię pragnę, tyle razy myślałem o tobie, że właśnie tak, że tutaj leżysz jak w tej chwili... Jednak, Beatko, ja jestem księdzem, a potem mężczyzną. Rozumiesz? Ubierz się i idź, proszę cię, idź do domu.

Leżała nieruchomo jakiś czas, potem usiadła. Ze złością ubierała biustonosz. Nic nie powiedziała, ani słowa, dopiero na dole, przy wyjściu syknęła:

– Pożałujesz, głupku!

Odeszła nie tyle rozczarowana, co odepchnięta, dotknięta do żywego.

Proboszcz wysłuchał też Beaty. Najpierw nie chciała mówić. Powtarzała, że to, co ma do powiedzenia, powie w prokuraturze i w sądzie. Jednak proboszcz nalegał, prosił, więc opowiadała spokojnie, od czasu do czasu płątała się, być może ze zdenerwowania. Podawała fakty mogące być prawdą. Po powrocie do mieszkania księdza bez trudu znalazła torebkę, chciała od razu wyjść, ale Sebastian, ksiądz Sebastian, ją zatrzymał. Zrobił świeżą kawę, włączył jakąś cichą nastrojową muzykę, chciał z nią tańczyć. Więc tańczyli. Przycisnął ją mocno do swego ciała. Czula na swoim brzuchu, co chce jej powiedzieć. Potem namiętnie całował jej włosy, oczy, usta. Pozwalała na to, uznając pocałunki za niewinne, do momentu gdy Sebastian chwycił jej piersi, szybko oddychał z podniecenia, wreszcie zaczął ją rozbierać. Nie chciała. Zagroziła, że będzie krzyczała, ale on na to, że w domu nikogo nie ma, że proboszcz wyjechał do rodziny. Są sami. Sebastian to silny mężczyzna. Jedną ręką trzymał jej ciało, a drugą odpiął bluzkę, a potem stanik. Kiedy była naga, wtedy on się rozebrał. Płakała. Nie chciała, naprawdę, choć przyznaje, że Sebastian bardzo się jej podobał. Przecież to ksiądz! Jaka przyszłość dla dziewczyny? Zostać kochanką księdza, robić to po cichu, z obawy przed parafią? A jeżeli zajdzie w ciążę, to co? Właśnie o tym pomyślała, kiedy on napierał na nią bardzo gwałtownie.

Powiedziała: „Nie!” Nie słuchał. Był taki gwałtowny, że nie mogła go powstrzymać. Po prostu ją zgwałcił. Kilka razy. Kiedy wychodziła z plebanii, powiedziała mu wprost o tym, że wszyscy się dowiedzą, ona nie boi się wstydu. Niech wiedzą, jakiego mają księdza! „Niech wszyscy wiedzą, niech wiedzą!” – powtarzała uparcie.

Kiedy proboszcz pytał o przebieg spotkania pozostałe osoby, zwrócił uwagę na fakt, którego Beata nie podała. Agnieszka i Małgosia, tak samo Sylwia, twierdziły, że Beata nie kazała im czekać, chciała wrócić po torebkę i dodała, że ma jakąś ważną sprawę do Sebastiana.

Beata nie przypominała sobie, że tak właśnie powiedziała. Taka niezgodność zeznań działała na jej niekorzyść. Proboszcz zastanawiał się długo, dlaczego Beata oskarżyła Sebastiana o tak straszny czyn, wiedząc, czym może być takie oskarżenie dla księdza. Może o to jej chodziło? Zniszczyć go?

Tylko Sebastian i Beata znają prawdziwy przebieg wydarzeń. No i Pan Bóg. Kiedy rozważał wersję Sebastiana, właśnie to, że wyznał z całą szczerością, co robił w łazience i co oblewał zimną wodą, było dla niego najbardziej przekonujące. Nie miał powodu nie wierzyć temu chłopakowi. Jednak nie wykluczał, że wersja Beaty też może być prawdziwa. Sam też był kiedyś ognistym mężczyzną, mało to przeżył? Zdawał sobie sprawę, że kiedy tym wszystkim, co się stało, zajmie się prokurator, dziewczynie będzie trudno udowodnić, że mówi prawdę. Czeka ją jeszcze ginekolog, eksperci, psychiatry, i tak dalej. Tak musi być. Obok prawdziwych gwałtów, są też gwałty urojone, znane dobrze sądownictwu i psychiatrom, nie mówiąc o pospolitych szantażach, oszczerstwach dla zemsty. Czasem dziewczyna decyduje się na to, gdyż boi się konsekwencji, dziecka, choć gwałtu wcale nie było. Bywają też takie przypadki, które można określić jako pogranicze dobrowolnego stosunku a gwałtu. Erotyzm męski z natury jest gwałtowny, agresywny i tego w końcu kobiety oczekują od mężczyzny, przy zachowaniu pewnej kultury, rzecz jasna. To są śliskie sprawy: czy to już gwałt, czy dozwolona i podniecająca forma przemocy, słodka brutalność, męskie zdecydowanie, gwałtownie działający żywiol seksu? No więc? Jak było w tym przypadku, jeśli w ogóle coś było?

Co prawda, nawet jeżeli Sebastian nie zrobił tego, to znaczy nie zgwałcił tej dziewczyny, to sam stosunek w tym przypadku trzeba potępić, gdyż Sebastian jest księdzem i wchodzi na drogi, które dla niego nie mają przyszłości, nie mówiąc o szkodach moralnych, jakie to przynosi Kościołowi.

Następnego dnia proboszcz przedstawił matce Beaty i pani Konstancji wyniki swoich badań. Uznał, że nie ma powodu nie wierzyć Sebastianowi, więc uważa go za niewinnego tak długo, aż prawo udowodni mu winę, mając na to dowody.

– A dlaczego ksiądz nie chce wierzyć biednej, skrzywdzonej w tak niemoralny sposób dziewczynie? Skąd ksiądz wie, że ona kłamie? – z niezadowoleniem przyjęła wypowiedź proboszcza pani Konstancja.

– Nie powiedziałem, że Beata kłamie, ale że nie mam podstaw uważać, że Sebastian jest winny, tylko dlatego, że Beata tak twierdzi. To stanowczo za mało.

– Jednak wszystko wskazuje, że tak było. Te prywatki, tańce, szampan! Czy to normalne, na plebanii?

Proboszcz z niechęcią spojrzal na panią Konstancję.

– Sebastian nie upijał nikogo. To kłamstwo. Szampan był, owszem, jeden na tyle osób! Przyniosła go Kasia, świętowała osiemnaste urodziny. Jak Beata mogła się upić, skoro inne były trzeźwe? Jeśli mam coś do zarzucenia księdzu Sebastianowi, to raczej to, że jest naiwny, zbyt otwarty, łatwowski. Proszę pani, on jeszcze nie wie, czy też nie wiedział do tej pory, że kapłan nie ma przyjaciół, poza Bogiem. Do tego trzeba dojrzeć, przez takie właśnie doświadczenia, jak to.

Teraz wie, że nie wolno robić w jego sytuacji więcej kroków w stronę bliźniego, niż te, które są nakazane miłością człowieka i misją Kościoła. To wszystko.

Pani Konstancja uderzyła lekko ręką w stół.

– Nie, nie wszystko! Oświadczam księdzu, że jeszcze dziś zawiadomię księdza biskupa o tym okropnym fakcie, że zrobię listę protestacyjną, żądającą natychmiastowego odwołania tego gwałciciela z naszej parafii. Będę chodziła po domach i zbierała podpisy. Prócz tego nie przyjmę nigdy, nigdy! z rąk tego zwyrodnialca komunii świętej, ani ja, ani żadna szanująca się osoba w tej parafii. Tak! Z brudnych rąk nie przyjmę Ciała Chrystusa, a ten łobuz nie powinien w ogóle dotykać ołtarza, a tym bardziej hostii!

Proboszcz wstał energicznie i zawołał:

– Dość! Pani go oskarża, to są oszczerstwa, także karalne! To są rzeczy, które sąd rozpatrzy, a nie pani. Pani grzeszy, więc rzeczywiście proszę nie przyjmować komunii tak długo, aż się pani opamięta. Łatwo puścić takie oskarżenie, pani chyba wie, ilu jest chętnych na świecie na takie sensacje. A jeśli to kłamstwo, to kto je zmaże z pamięci ludzi? Jak to cofnąć? Żegnam panie, do zobaczenia przy innej okazji.

Przy drzwiach Konstancja dodała swoje ostatnie słowo:

– Nie pozwolę tej sprawy zatuszować, o nie! Nawet gdyby Beata i jej matka zgodziły się na to. To sprawa moralności, to kwestia dobra Kościoła, a także sprawiedliwości. Słyszysz ksiądz, sprawa-wie-dli-wości!

– Tak, tak, dobrze, już dobrze – mruknął z niechęcią proboszcz, a potem z całej siły zatrzasnął za nią drzwi. Poszedł do biura parafialnego i zadzwonił do dziekana z prośbą o spotkanie w bardzo pilnej sprawie. Długo siedział bez ruchu, wreszcie spojrzal na duży krzyż nad szafką z książkami.

– Boże, Ty jeden znasz prawdę. Ratuj Sebastiana, jeżeli jest niewinny, a jeżeli to zrobił, ukarż go, ale też go ratuj. I dziewczynę także ratuj; jeśli kłamie, to gubi swoją duszę!

Ten stary doświadczony człowiek rozumiał tego chłopca bardziej niż ojciec. Obaj byli kapłanami, a on wiedział już jak wielka jest przepaść między misją kapłana, a tym, że wypełnia ją zwykły człowiek. Uśmiechnął się, gdy sobie przypomniał, jak jego babka, bardzo religijna i pracowita, całe życie była przekonana, że księża nie robią siusiu, bo nie mają czym. O święta naiwności! Uważała księży za istoty anielskie, które nie korzystały z ubikacji, a tłumaczyła to tak, że nie może sobie wyobrazić, aby ksiądz trzymał się za męskość robiąc siusiu, a podczas mszy dotykał Ciała Pańskiego. To byłoby bluźnierstwo! Kiedy jej powiedziano, że księża jednak mają siusiaki, nie chciała w to wierzyć, nie chciała o tym słuchać, bo to grzech.

Tyle lat! Był kapłanem blisko pięćdziesiąt lat. Wiedział dobrze, kto za dużo pije, kto się z kim zadaje, kto ma tajne związki i zakamuflowane dzieci, kto w ogóle nie lubi kobiet, tylko ministrantów, znał też wielu szlachetnych kapłanów mądrych prowadzących życie bez zarzutu, choć tak naprawdę nikt nie zna ukrytych tajemnic duszy. „Wszyscy dźwigamy swoją ludzką słabość bez względu na to, kim jesteśmy”. Wiedział z własnego doświadczenia, że ułomności i je-

go własne upadki nauczyły go wyrozumiałości wobec bliźnich. Zawsze o tym pamiętał w konfesjonale.

– Biedny Sebastian! – szepnęła patrząc na różaniec i zaczął się modlić.

V

Po kilku dniach coś rzeczywiście zaczęło się dziać. Najpierw Beata zadzwoniła do biura parafialnego i powiedziała z płaczem, że wycofuje oskarżenie, że to nieprawda z tym gwałtem. Więc jednak! Czy to nie cud? Proboszcz przyjął tę wiadomość z ogromną ulgą i zaraz powiadomił o tym księdza dziekana, a potem poszedł do pokoju Sebastiana, na piętro, powiedzieć mu to samo.

Tylko pani Konstancja nie chciała w to wierzyć. Była przekonana, że Beata teraz właśnie kłamie, pewnie ktoś jej za to zapłacił albo przekonał, żeby wycofała swoje oskarżenie o gwałt. Chodziła nadal z listą protestacyjną, zbierała podpisy, a przy okazji wieszała psy na młodym księdzu w dzinsach.

– Tym młodym, proszę pani, to nawet sutanna przeszkadza. Po co idą do seminarium, nie rozumiem! – mówiła z ironią do Wilczewskiej, gdy ta podpisywała z niechęcią listę.

Napomykała też przy okazji o brudnych rękach, o pijaństwie niektórych księży, o zamiłowaniu do luksusu i pieniędzy, a na koniec wspominała o gwałcie, jaki miał miejsce w tej parafii. Czy tacy księża mają prawo stać przy ołtarzu i dawać przyzwoitym ludziom komunię świętą? Czy powinni takimi zbrukanymi paluchami, z tak niktzemnym życiem wewnętrznym, dotykać Ciała Chrystusa? Jak Bóg może na to pozwalać?

Pewnego razu, a było to w dzień Świętego Jana Apostoła, pani Konstancja siedziała, jak zwykle, w ławce kościelnej, którą regularnie i obficie opłacała. Mszę, niestety, odprawiał ksiądz Sebastian, więc patrzyła na niego od czasu do czasu z wrogością, lecz cóż mogła zrobić? Nawet ona, osoba wpływowa w radzie parafialnej, dobra znajoma proboszcza, była bezsilna. „Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy” – pomyślała mściwie. Proboszcz się uparł, a teraz, kiedy Beata wycofała oskarżenie, okazało się, że miał rację. Mimo to ten piękniś wydał się Konstancji obrzydliwy. Zalotnik! Zachciało się młodych dziewcząt do adoracji! A te głupie gęsi latają tam, jakby u niego pierze pogubily! Szampan, tańce, śmiechy, tralala! A kiedy on się modli, ciekawe? Postanowiła, że nigdy, przenigdy, z tych rąk nie przyjmie Przenajświętszego Sakramentu. To będzie jej protest. Księża stanowczo za dużo sobie pozwalają, żyją na luzie, zamiast rumienić się na widok kobiety. Jeżdżą sobie samochodami, a ona i jej mąż nie mieli nigdy samochodu, a przecież mogli mieć, stać ich było na to. Gdyby tylko miała taką władzę, nie pozwoliłaby takim księżom, jak ten, żeby stali przy świętym ołtarzu!

Spojrzała na Sebastiana, który z przejęciem i pokorą, na pewno udawaną, pochylił się nad kielichem mszalnym i modlił się.

– Co za faryzeusz! – pomyślała z pogardą.

Kiedy Sebastian podniósł w górę kielich, ujrzała nagle, że twarz księdza prze-

mienia się i że widzi teraz Chrystusa! Z wrażenia wypadł jej z rąk różaniec. Przewidzenie! Nie, nie, to jednak twarz Chrystusa! To był On! Patrzył na nią smutnym i przenikliwym wzrokiem. Odczuła niewypowiedziany ból, och, jakże straszny ból, przesywający, rozrywający jej duszę. Nagle usłyszała wyraźnie głos przy uchu:

– Ja jestem Pan, Miłosierdzie i Sędzia! A ty, kim jesteś?

I odpowiedziała sama, jakby mimo woli, że nikim.

Poczuła się tak jakby ktoś uderzył ją w twarz. „A ty, kim jesteś?” – echo głosu grzmiało w jej głowie.

A potem zobaczyła, że w hostii pojawiła się twarz Chrystusa. On sam, Żywy. A kiedy ksiądz Sebastian ujął hostię w palce, Jezus znów spojrział na nią, a potem, potem! pocałował rękę Sebastiana, zaś w tym samym czasie usłyszała głos przy uchu:

– Przeprosilem go za ciebie.

Ileż goryczy i wyrzutu było w tym zdaniu: „Przeprosilem go za ciebie!”

Głos mówił dalej:

– Nie znajdzie ludzkość uspokojenia, dopokąd się nie zwróci z ufnością do Miłosierdzia Mojego. Wiedz, Konstancjo, że szatani wielbią sprawiedliwość Moją, ale nie wierzą w dobroć Moją, tak samo jak ty!

Wtedy ogarnęła Konstancję niewymowna słodycz dobroci i widziała, jak z ręki Sebastiana odrywa się hostia, płynie nad głowami wiernych i staje przed nią.

Pyta ją:

– Chcesz Mnie?

Odpowiedziała ze wstydem:

– Tak.

A hostia z twarzą Chrystusa zapytała:

– Chcesz Mnie z ręki Sebastiana, który podczas Ofiarowania przemienia się we Mnie i jest moim kapłanem, a Ja jestem jego Sędzią i Świadkiem jego duszy?

Konstancja zrozumiała to, zaczęła głośno płakać, ku zdumieniu zebranych w kościele, wreszcie rzekła hostii:

– Tak.

Wtedy hostia zbliżyła się do jej ust i zniknęła w jej ciemnościach duszy, jak człowiek powracający nocą ginie w ciemnej bramie.

Konstancja płakała do końca mszy, z ledwością zauważyła, że ksiądz Sebastian zniknął już za drzwiami zakrystii. Kiedy później tam nieśmiało zajrzała, zobaczyła zwykłego Sebastiana, który zdejmował szaty liturgiczne, a po chwili poprawiał potargane włosy. Zauważył ją.

– Ach, to pani – powiedział bez niechęci.

Konstancja uklękła przy nim, gwałtownie pocałowała jego rękę, tę, która trzymała Ciało Chrystusa.

– Niech mi ksiądz wybaczy – zaszlochała opierając głowę, siwą głowę, na jego brzuchu.

Sebastian był zaskoczony. Wiedział, że jeszcze dziś chodziła po domach z listą protestacyjną, że szczyła przeciw niemu ludzi. Co się stało?

– Co się stało? – powtórzył głośno własne myśli.

Konstancja prosiła, aby iść na plebanię, tam opowie wszystko. Po drodze zabrała ze sobą kilka osób z rady parafialnej, które akurat wychodziły z kościoła. Proboszcz był w biurze. Kiedy wszyscy usiedli, opowiedziała im z przejęciem swoje widzenie, każdy szczegół.

– Chcę przy was przeprosić księdza Sebastiana. Bardzo! Zrobiłam mu dużą krzywdę, może nawet większą niż Beata. Widziałam, jak ksiądz przemienił się w Chrystusa i to nie było przewidzenie. Mówiłam, że nigdy nie przyjmę z rąk księdza komunii, a widziałam, jak On całował rękę księdza, widziałam, że był obecny w hostii. Przepraszał za mnie!

Nie mówiła tak gładko, często przerywała szlochając.

Sprawa księdza Sebastiana ucichła, ale jeszcze długo krążyły opinie, że Konstancja wycofała się, podobnie jak Beata, z dziwnych powodów, mało jasnych, i że nie ma sprawiedliwości na świecie.

Księdza Sebastiana przeniesiono niebawem do innego miasta w innej diecezji. Tak, ta sprawa pozostała dla wielu osób zagadkowa, podobnie jak różnie mówiono o tym, co naprawdę się wydarzyło w mieszkaniu Sebastiana owej czerwcowej nocy.

A co do Konstancji, niektórzy śmiali się z niej, że ma widzenia, zaś niektóre matki różańcowe uważały, że stała się okropną dewotką, która często płacze w kościele, szczególnie podczas Przemienienia Pańskiego.

Wiesław Trzeciakowski

Jolanta Stefko

Pamiętka

Śliski różowy świt znad horyzontu, góry
Wyglądające tak jakby były ze snu
Może lepsze wydarzy się życie. Ponieważ
Już wszystko przeminęło.
Trochę współczucia trochę żalu, po co?

Nawet jeśli lepsze wydarzy się
Życie. Pogodne dni jasne noce
Łagodne zimy proste drogi.
Dojść, przetrwać, wytrzymać. Pragnąć
Jedynie tego co niemożliwe.

Dużo krajobrazów uważne przyglądanie
się ciemnym obrazom w jakimś muzeum z
dala od podręczników historii sztuki. Słuchanie
Muzyki powoli przemieniającej się
W ciszę. Najwięcej myślę o umarłych.

Chociaż lepsze
Wydarzy się życie. Trudne i niepotrzebne.
Mieć tylko siebie i wierzyć
Tylko śmierci. W
Ogródku teraz pachną róże, białe.

17 VII 96

Jolanta Stefko, ur. 1971 w Lipowej. Opublikowała arkusz poetycki pt. *Papier* (1997) i tomik pt. *Po stronie niczyjej* (1998). Mieszka w Lipowej k. Żywca.

Właściwie należałoby ich wszystkich
Ustawić pod ścianą i zabić.
Właściwie należałoby im dać długie
Dłuższe niż wieczność życie, niech
długo, najdłużej
Cierpią jeśli
Niewinni.
Właściwie należałoby ich wyprowadzić
Na pustynię, na krawędź
Przepaści, na łąki Piekła
I zostawić.
Właściwie należałoby im wszyć pod
Skórę krzyże ulepione z soli.
Właściwie należałoby im wydłubać
Oczy, uciąć języki i prawą
Dłoń.
Właściwie należałoby ich obdarzyć
Snem łagodnym, spokojnym, ciepłym.
Właściwie należałoby ich otulić
Pustką.
Właściwie należałoby się roześmiać.

Nagły powrót zimy do domu
Oszronione ściany pokój jak
Olbrzymi kryształ lodu wewnątrz
Którego kilka uspiomych postaci.
A może martwych. Znów na
Szybach namalowana mrozem przepaść.

Inskrypcja

Dlaczego żyję, dlaczego umrę.
Płomienie zimnego snu.
Noc, noc, a taka jasna jak dzień.
Czarny wiatr który przypomni
O wiecznej pokucie.
Cienie, szelesty,
Nagła cisza.
Dużo pustki, więc przede wszystkim: nadzieja, wytrwałość.

(96)

Królestwo śniegu

Lód jak sen, sen jak lód, odłamki
Szkła, skaleczony wzrok. Teraz
Dostrzec całą brzydotę świata.

Całą brzydotę świata.

Mali okrutni źli
ludzie. Krzywe twarze. Wszystko
OBCE.

Lodowaty obłok serca. Tak
Oczywiście że był dom,
Przecież zawsze jest dom, zawsze

jest piwnica i strych
I kryształowy ogród mniejszy niż doniczka
Pełen zmierzchu i ptasiej ciszy:

Znów pada śnieg ale
To nie śnieg to
Rój białych motyli zimniejsze

od gwiazd
jasne
oczy:

JUŻ PRZESTAŁO BOLEĆ.

JUŻ PRZESTAŁO
BOLEĆ.

Doskonałe linie kwiatów
Mrozu tabliczka mnożenia pewniejsza
Niż modlitwa.

Gdzie są wszyscy umarli.
Tak czule uderza śnieg gdzie
Jest lód i śnieg jest dobrze i pięknie.

Przyzwyczajenie do zimna. Marzenie marzenie by tu
Pozostać. Przymarzając powoli do własnego oddechu
Bielszego niż śnieg, bielszego niż światło wysypujące
Się z dłoni. Zamierający szept szronu.
Róże mają płatki i łodygi z mroku. Pachnie intensywne
Zimno. Czarno, biało. Wieje znikąd wiatr. Jaśniejsza

zamicć, nic, co. Pozostać w bieli, w pięknie, lodzie.
W bieli, w pięknie, w lodzie.

(96-97)

Jolanta Stefko

Marek Kazimierz Siwiec

Scruff



Scruff, tryskający energią
z tatuażem na ramionach
usadowił się na szynach dachowej konstrukcji
ze swoim spawalniczym ryszunkiem
i sypał na dół snopami iskiei.

Na tle wieczornego nieba
był jak zbłąkana kometa
schwykana w stalową sieć.
Długo raził ją jaskrawym płomieniem
nim się z niej wyplątał.
Schodził wtedy do piwnicy
trochę się ogarnąć.

O swoim rzadkim imieniu
mówił ze zjadliwym uśmiechem,
że znaczy tyle co – parszywy, brudny.
Ale też niesie posmak
jakiegoś zamierzchłego, ukrytego znaczenia.
Chyba dość boleśnie odczuwał
ten zagadkowy kaprys matki.

Kiedyś powiedział, że najbardziej lubi
położyć się gdzieś, gdzie nic
nie zasłania widoku
i patrzeć w niebo

Marek Kazimierz Siwiec, ur. 1950 w Kętrzynie. Poeta i eseista. Opublikował książki poetyckie: *Odwrócone lustro* (Warszawa 1979), *Twój świat nad ranem* (Bydgoszcz 1984), *Kostka* (Bydgoszcz 1990). Mieszka w Bydgoszczy.

To była seria czarno-białych zdjęć.
Dlaczego wspomniał o nich teraz, po latach,
kiedy przybył zza oceanu
odwiedzić stare kąty?

Zrobił je jeszcze w kraju.
Miał wtedy modelkę,
wspaniale zbudowaną dziewczynę.
Znałem ją z widzenia.
Rysunek węgłem jej nagiej postaci
wisiał u mnie w pokoju.
W pracowni było zimno.
Jej piersi
pokryły się gęsią skórką.
Bardzo to się spodobało.
W wielkiej agencji fotograficznej
z miejsca dostał pracę.

Ale dlaczego o nich wspomniał
nervowo popijając wódką
jakieś tabletki?

Niegdyś urok i talent
otworzyły mu drzwi
do wielkiego świata.
Telewizja i szkoła filmowa.
Kobiety, wiele kobiet.
Wolność za oceanem.
I nagle samotność
w wielkich miastach.
Taksówkarz z mapą ulic.
Wypadek samochodowy
czy próba samobójstwa.
Znaki zapytania.

Może te akty
były jedynym naprawdę wolnym
od kompromisów i brudu
ureczywistnieniem jego sztuki.

Łutem szczęścia,
który trafia się
tylko raz.

Cios

Na zabójcze wołanie nicości
odpowiedz
celnym ciosem –
prosto w pustkę.

Marck Kazimierz Siwiec

PO CO PISZĘ?

Kontynuując ankietę, po odpowiedziach: Czesława Miłosza („Kwartalnik Artystyczny” nr 4/8/1995), Ryszarda Krynickiego, Juliana Kornhausera (nr 1/9/1996), Jana Józefa Szczepańskiego, Tadeusza Konwickiego, Zbigniewa Żakiewicza, Aleksandra Jurewicza, Andrzeja Stasiuka (nr 2/10/1996), Henryka Grynberga, Stefana Chwina, Kazimierza Brakonieckiego (nr 3/11/1996), Tadeusza Różewicza, Urszuli Koziół (nr 4/12/1996), Michała Głowińskiego, Bogdana Czaykowskiego (nr 1/13/1997), Kazimierza Hoffmana, Janusza Stycznia (nr 2/14/1997), Grzegorza Musiała, Krzysztofa Karaska (nr 3/15/1997), Floriana Śmieji, Macieja Niemca (nr 4/16/1997), Bolesława Taborskiego, Ewy Sonnenberg (nr 1/17/98), Marka Kędzierskiego, Leszka Szarugi (nr 2/18/98), Ludmiły Marjańskiej, Janusza Szubera, Jana Twardowskiego, Piotra Wojciechowskiego, Bohdana Zadury (nr 3/19/98), Adriany Szymańskiej, Ewy Kuryluk, Urszuli M. Benki (nr 4/20/1998), Józefa Kurylaka, ks. Jana Sochonia (nr 1/21/1999), Ryszarda Kapuścińskiego, Aleksandry Ołędzkiej-Frybesowej (nr 2/22/1999) zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze.

Maciej Cisto

* * *

Piszę dlatego, że czytam. Jest to zupełnie naturalne. Czytanie – wdech; pisanie – wydech. Nie wyobrażam sobie, że można by nie czytać.

Czytamy książki, czytamy naturalną księgę przyrody i oczywiście własne myśli. Piszę, czytając o tym wszystkim i odgadując ile się da sensu, pożytku, uroku. W ten sposób klecę też podręcznik do siebie, oraz do świata, któremu siebie doradzam.

A świat, co na to? Czy doprawdy gotów uznać we mnie autora? „Duch rodzi się z imitacji ducha, a pisarz długo musi udawać pisarza, zanim zostanie pisarzem”, jak poucza Gombrowicz.

Może ja, Maciej Cisło, na razie wciąż tylko imituję? A dlaczego imituję poetę i nie próbuję zostać inżynierem, rolnikiem, dziennikarzem? – Ależ owszem, i tego próbowałem. Zdobyłem solidne wykształcenie techniczne; intensywnie uprawiałem niepisanie. I nic, nie szło mi, fatalnie mi nie szło.

Piszę więc może też dlatego, że niepisanie mi nie idzie? Wiem prawie na pewno, że nigdy nie będę wybitnym niepoetą. Czy zatem warto na siłę nie pisać?

Nie warto. Piszmy więc.

Maciej Cisło

Mirostław Dzień

* * *

Kiedy staram się odpowiedzieć na pytanie po co piszę, wtedy wolałbym zamienić je na inne: dlaczego piszę? Ale właśnie pytanie o cel, a nie o genezę wydaje się ważne, może nawet trochę bezczelne, bo zmusza do obnażenia samego siebie, do porzucenia maski, do której każdy niemal twórca – czy przyznaje się do tego, czy nie – ma wręcz nabożny stosunek.

Piszę więc po to, żeby poznać rzeczywistość. Piszę po to, żeby nazwać to, co nienazwane, a także, żeby nauczyć się pokory, to znaczy mieć siłę do ucieczki z pewności. Piszę po to, aby nauczyć się wierności wobec prawdy. Piszę – wreszcie – by nie zapomnieć pytać, tak, wciąż pytać o rzeczy ostateczne.

Mirostław Dzień

Żeby zrozumieć

Może i zabawne byłoby kluczenie między trzema pytaniami: Po co piszę? Dlaczego piszę? W jakim celu piszę? Zabawne, bo przecież różnica tkwi w sposobie docieczenia tej samej sprawy, w nieco odmiennym sformułowaniu problemu, który nieodmiennie wieńczy pytajnik. A w pytajniku – tajemnica i nieoczywistość. Odpowiedź zatem jest ryzykowna. Nie dam jej w trybie kategoriycznym, bo przypuszczam, że powód, dla którego piszę, zmieni się w czasie. Doświadczenie życiowe – chciałbym, aby ten zwrot zabrzmiał możliwie szeroko – zmienia perspektywę spojrzenia na siebie, a więc i na własne próby literackie. Na to, co chcą wyrazić i do kogo się zwracają. Na to, jakie przypisuję im miejsce w moim świecie, i na to, jak trafiają do tych, którzy nad nimi się pochylają. Nie przeceniam sprawczej mocy literatury: wiadomo, że zmienia nieporównywalnie mniej, niż by tego oczekiwali jej twórcy. Jako czytelnik wolę, kiedy zachowuje w tej mierze skromność. A jako ten, który pisze, wiem, że moje słowa nikogo nie powstrzymają, nikogo nie uratują, niczego nie rozstrzygną. Ta świadomość przynosi mi ulgę. Odpowiedzi na pytanie, po co piszę, nie mam „pod ręką”. Na pewno piszę, żeby się dowiedzieć. I żeby zrozumieć. Czego się dowiedzieć i co zrozumieć? Nie idzie przecież o wiedzę, którą dają nauki szczegółowe, a której literatura szczęśliwie nie ma ambicji osiąść. Wiem, że kiedy piszę, czegoś mi przybywa. Świat, w którym się poruszam, obok pospolitego odsłania też nieoczekiwane oblicze. To znaczy, że wcześniej nie znałem go, nie wiedziałem o nim. Ten fakt mnie zastanawia i pobudza do refleksji. Bywa, że to, co piszę, daje mi chwilową radość. Dzieje się tak na przykład wtedy, gdy jakąś myśl, obserwację, zdarzenie czy zjawisko udaje mi się pokazać w sposób trafny. I piszę jeszcze, by ofiarować to Adrianie, Ani, Zygmuntowi, Darkowi i Lolkowi. To doprawdy wielki przywilej mieć przyjaciół, którym można powierzać swoje pisma. Tych kilka myśli zanotowałem pomiędzy płynącymi z płyty *July Morning a Paranoid*, o czym wzmiankuje „po to”, ażeby ukazać, że i takie bywają okoliczności, w których dochodzi do podobnych wyznań.

Piotr Szewc

Maciej Cisto

Wiem że o mnie myślisz



Bezwstyd oddania pierwotny płacz
Kocham twój zapach smak zapachu jego widok i nuty
Śluzówkę z cieniutkiej szyby za którą pływają ryby krwi
Przy tobie jestem bóg i zwierzę mikro-makro-kosmos-chaos
O uszczęśliwiający wgląd w światło świata przez bliską duszę!
Wiem że o mnie myślisz: gdybyś przestała znikłbym
To życie trwa tak długo krótko długo krótko

Kocham i nienawidzę

Ty jesteś mój potop i zbawcza arka
Ziemia święta i przeklęta
Pramatka świata co rozumie mowę zwierząt
Ptaków korzeni i kryształów
I kobietka która się zabawia
Kosmetyką kosmosu *leci wydawać pieniądze*
Dba o farbę włosów
Ty co jednym tchem mówisz tak i nie
Kocham cię i nienawidzę
Miłość jest jak ogień
W którym nawet śmieć gdy płonie
Zdaje się klejnotem

Maciej Cisto, ur. 1947 w Olsztynie. Absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. Wydał sześć tomików wierszy: *Plastyczne języki* (MAW 1979); *Okoliczniki są sprzyjające* (Czytelnik 1982); *Z domu normalnego*, (NOW-a 1985); *Widmo Europy* (wydanie bibliofilskie 1990); *Stan po* (Czytelnik 1986); *Było jutro będzie wczoraj* (Przedświt 1993). W 1994 roku wydał pierwszy tom jego sylwicznej książki *Razem osobno* („Pracownia”, Ostrołęka), a w 1997 następną pt. *Trio*. Laureat Nagrody Poetyckiej im. Barbary Sadowskiej. Mieszka w Warszawie.

Od stóp do słów

dla A.J.

Spojrzałem w niebo z dna morza powietrznego
I od razu z tą właśnie myślą że „z dna morza”

Aniu latarko boża którą spotkałem na bezdrożach!

Ciało zakończone językiem
Wszystkie Twe gesty są miłe

Mówię Ci „kocham” na wydechu i na wdechu
Spróbuj sama coś powiedzieć na wdechu

Maczam palce w Twojej ślinie święconej
Ciało miłości jest kościołem

Od każdej z gwiazd wybiegał ku nam dźwięczący promień

Jestem Twój od stóp do słów!

Maciej Cisto

Miroslaw Dzień

Dokładność



Ważna jest dokładność:
miotła oka zamiatająca krzak
i cierpką jarzębinę, a także alabastrową
wklęsłość liścia, który jak żagiel
pręży się na spotkanie wiatru, by spadać
w otchłań jego ramion, teraz tak niepokojąco
podobną do delikatnej tkaniny którą
przykrywa się martwe usta.

Drozd

Oto on, siedzi na puszystej
gałęzi przywiązany kolorem
do perspektywy. Nie musi
nic tłumaczyć, zmieniać przyjaciół,
ani dowodzić racji. Jest w cieniu
swoich skrzydeł, trwa w ciszy
wieczoru jak dobry duch.

Miroslaw Dzień, ur. 1965 w Bielsku-Białej. Poeta, eseista, krytyk literacki. Opublikował tomiki wierszy: *Trzy zdania z Lacana* (1991), *Jeżeli dobro* (1992), *Koła wewnętrznych kół* (1997), *Cierpliwość* (1998). Mieszka w Bielsku-Białej.

Zazdrozczę mu pyszczka i pazurków,
wypukłego oczka, które czyści
świat stojący w powietrzu.
Nie ma we mnie tak wiele uwagi.
Wystarczyć musi jednak drzenie,
śpiew skóry.

Bielsko 25.12.1998

Więcej niż inne

Niekiedy czuję, że jestem
przyprószony ciszą,

i że każda z jej nazw
znaczy więcej niż inne.

Miroslaw Dzień

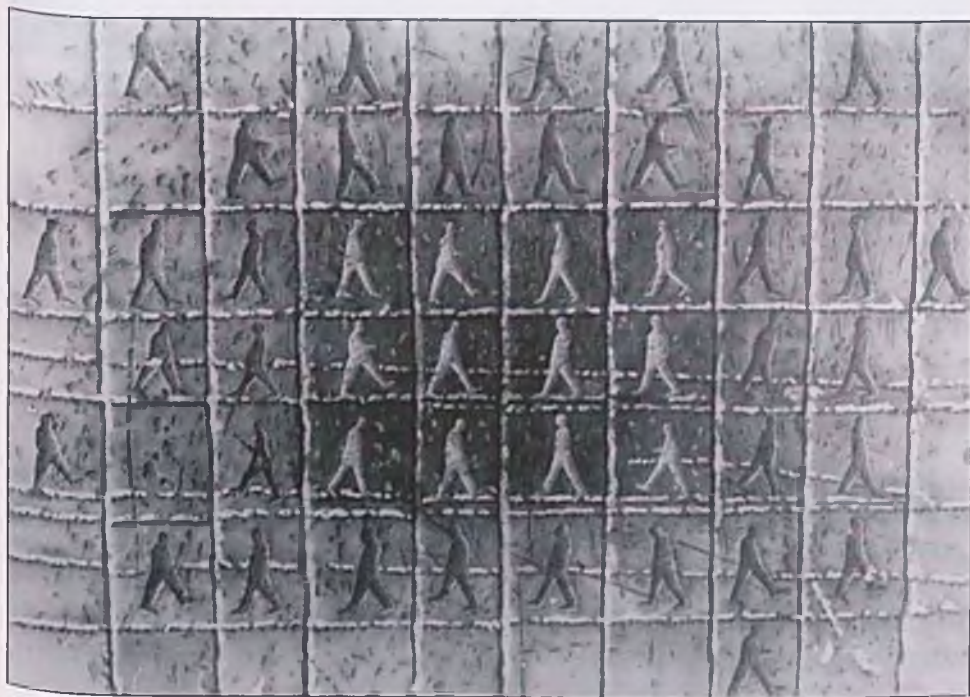
PLASTYKA

Prezentacje

Bogusław Kuraś

Subiektywna transformacja

Malarstwo jest dla mnie takim miejscem, gdzie rzeczy nie trzeba nazywać do końca. Sens i istota tworzenia obrazu nie zmieniły się od początku. Czuję się kontynuatorem tego, co wydarzyło się kiedyś w grotach, tak jakby to było wczoraj.



Wklęsły, wypukły, rysunek, ołówek HB.

Bogusław Kuraś, ur. 1955 w Bydgoszczy; absolwent Wydziału Malarstwa Grafiki i Rzeźby PWSSP w Poznaniu. Mieszka w Bydgoszczy.



Bykowi chwala, dyptyk, olej 140x80.

Malarstwo jest stwarzaniem przedmiotów z treścią. Malując przedmiot „coś” się do niego dodaje. Utrwalony moment jest wiecznością, zatrzymaną kliszą ujmowania czasoprzestrzeni, esejem i dialogiem z tradycją, subiektywną transformacją. Przekraczaniem zdeterminowanych obszarów, szperaniem na granicy „progu”. To miejsce, gdzie iluzja przecina się z rzeczywistością w oparciu o antynomię, ale gdzie dwa zjawiska niekoniecznie się wykluczają. Stanowią pewne uzupełnienie, tworzą zamknięty seans.

W konstruowaniu znaków i symboli kieruję się intuicją, a jej granice wyznacza pokora wobec porządku świata.

Obraz jest poszukiwaniem, zdarzeniem samym w sobie, samounicestwieniem i wyzwoleniem. Rozmazana plama czy konkretny przedmiot wywołują we mnie



Bykowi chwala, dyptyk, olej 140x80.

tyle samo emocji i znaczeń. Granica między nimi nie istnieje. Wątek przedstawiający opiera się na porządku abstrakcyjnym, abstrakcja nigdy nie jest wolna od skojarzeń i treści.

Podjęmowane przeze mnie tematy uzależnione są od aktualnej kondycji psychofizycznej i dotyczą symboliki uniwersalnej.

Od zawsze malarstwo pojmowałem jako wyrażanie własnych wizji za pomocą środków konwencjonalnych: farb i pędzli na płaszczyźnie papieru albo płótna. Konstatacje bez indywidualnego rysu nie interesują mnie.

Bogusław Kuras



Mówcy, rysunek, technika mieszana własna.

WYSTAWY INDYWIDUALNE:

- Dyplom '80 - Gniezno
- „Młoda Sztuka Poznania” - Berlin 1983 - pokaz indywidualny
- „X6” Malarstwo - BWA Bydgoszcz 1987
- Galeria „Brama” - Warszawa 1987
- Galeria '85 - Bydgoszcz 1988

Udział w wystawach zbiorowych w kraju i za granicą, m.in.:

- „Polskie malarstwo portretowe 1944-1984” - Zachęta, Warszawa 1984; Moskwa 1985
- „Każdemu czasowi jego sztuka” - Ogólnopolska Wystawa Młodej Plastyki, Arsenal '88 - Warszawa
- „Red & White” - Hala Gwardii, Warszawa 1989; Amsterdam; Bruksela
- „Krytycy o nas” - BWA, Sopot 1989
- „NY POLSK KUNST” - Lyngby, Kopenhaga 1993

Prace w zbiorach muzealnych w kraju i w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą.

Michał Głowiński

O pani, która nie chciała się narażać

W pociągu było luźno, w naszym przedziale usadowiło się tylko pięć osób. Jak zwykle, starałem się zająć miejsce przy drzwiach, bo ono daje mi poczucie choćby minimalnej swobody, to dzięki niemu w każdej chwili mogę wyjść na korytarz, nie depcząc po nogach współtowarzyszy podróży, lub przynajmniej nań spojrzeć i upewnić się, że gdy zechcę, będę się mógł w miarę łatwo poruszać, przechodząc z jednego krańca wagonu na drugi. Tym razem nie musiałem nawet pamiętać, by o to najbardziej dla mnie dogodnie miejsce prosić, gdy kupowałem bilet, był to bowiem zwykły pośpieszny pociąg bez miejscówek.

Przyznam od razu, że nie pamiętam, w jakim celu i z jakich powodów w drogę się udałem, ta niewielka wyprawa była z pewnością dla mnie niezbyt ważna, stanowiła spełnienie obowiązku, bo skoro już napisałem recenzję pracy doktorskiej lub habilitacyjnej, to muszę wziąć udział w obronie bądź w kolokwium, wymagają tego solidarnie i reguły gry, i dobre obyczaje. Była to zatem podróż rutynowa, krótki wyskok, po którym trudno się spodziewać niezwykłych wydarzeń czy szczególnych atrakcji. I rzeczywiście zabrakło i jednych, i drugich. Godzina była nieprzyzwoicie wczesna, rytm pociągu, jednostajny, niczym nie zakłócany, usypiał jak kołysanka. Już na samym początku, chyba natychmiast po wyruszeniu z Warszawy, zabrałem się do lektury zaległych tygodników, miałem też ze sobą dzisiejszą gazetę. Siedzący obok mnie mężczyźni również wyciągnęli prasę i usiłowali przystąpić do lektury. Panie, które uplasowały się przy oknie, także coś do przeglądania miały; szybko się zorientowałem, że były to kolorowe pisemka, przeznaczone dla kobiet, te, w których znaleźć można plotki o słynnych aktorach, jakieś historyjki z życia wyższych sfer, sentymentalne nowele – no i przepisy kulinarne. Nie wiem, czy zagłębiały się one w te strony, na których barwne ilustracje górowały nad słowem, myślę, że nie, bo od razu doszły do mnie dźwięki rozmowy, a raczej monologu jednej z nich, ponad potrzebę głośnego, świadczącego o pewności siebie i pełnej determinacji w przekazywaniu opinii, druga kobieta ograniczała się do roli słuchaczki, jedynie co pewien czas, zapewne sprowokowana przez monologistkę, wypowiadała jakieś jednosylabowe słówko, niewiele więcej niż „tak” lub „nie”. Nie wiem, czy była z natury małomówna i oszczędzała słów, jakby były reglamentowane, trzeba je więc zachować na ciężkie czasy, czy też poczuła się zdominowana przez gadulski zalew, wypływający z ust jej rozmówczyni. Od razu jednak zorientowałem się, że panie znają się od dawna, mówią do siebie po imieniu (a raczej jedna tak mówi do drugiej, trudno wszakże podejrzewać, by była to relacja asymetryczna), nie chodziło zatem o przypadek, który zdecydował, że obydwie damy usiadły przy oknie naprzeciw siebie.

Może dlatego, że nikt nie mógł się skupić nad tym, w co zaopatrzył się na drogę do czytania, może z tej racji, że wraz z ciemnością grudniowego poranka, stopniowo, powoli, zaczęła się wyczerpywać senność, w pewnym momencie wywiązała się rozmowa, najpierw obejmująca skupionych bliżej drzwi panów, a potem – choć z jednym wyjątkiem – ogarniająca cały przedział, bo włączyła się także dama, której organy mowne nie spoczywały ani na moment, gdyż wciąż o czymś perorowała do swojej znajomej. Niekwestionowanym inicjatorem tej konwersacji był siedzący naprzeciw mnie starszy pan, jak szybko wynikało z tego, co mówił, profesor politechniki, zbliżający się do emerytury (lub już na emeryturze). Najwyraźniej nie miał on ochoty na gadanie o byle czym, pragnął, by rozmowa dotyczyła tematów ogólnych i poważnych, spraw, które nie tylko go zajmowały, ale którymi – wszystko na to wskazywało – żył.

To były początki zmiany ustrojowej, niedawno odbyły się wybory, które sprawiły, że sejm przestał być wynikiem politycznego kontraktu, został powołany – jak na wolne demokratyczne państwo przystało – na mocy niczym nieskrępowanych decyzji tych, co zdecydowali się pójść do urn. Właśnie o wyborach Profesor zaczął mówić, ale od razu zrobił dygresję o totalitaryzmie w ogólności. Jakiś czas, bodaj kilka miesięcy, a może rok cały, spędził w Chinach jako doradca czy ekspert w swojej specjalności (jakiej konkretnie, nie dane mi było się dowiedzieć). Utrzymywał, że ten, kto Chin nie widział, kto nie zetknął się z nimi, kto nie przeżył w nich choćby krótkiego czasu, nie wie, na czym naprawdę polega totalitaryzm, nie wie, co znaczy niszczenie jednostki i sprowadzanie jej do poziomu robota, bezmyślnie wykonującego to wszystko, co władza poleci. I oświadczył, że choć widział ten lewicowy totalitaryzm w najgorszej, mao-istowskiej postaci, uważa się za człowieka o sympatiach lewicowych. Przed wojną, jako bardzo młody człowiek, sympatyzował z PPS-em; wyraził ubolewanie, że obecnie nie mógł na tę partię głosować, bo wydaje mu się niepoważna, toteż poparł – w ten sposób to sformułował – Bugaja.

Kończył swoją wypowiedź tak, jakby chciał usłyszeć, za czym w tej elekcji opowiedzieli się towarzysze podróży. Uznałem, że nie ma powodów, bym nie zaspokoił jego ciekawości, oświadczyłem, że głosowałem na Unię Demokratyczną. Poszedł w moje ślady młody człowiek, o którym już wcześniej dowiedzieliśmy się, że przed kilku laty skończył ekonomię i obecnie pracuje w wielkiej międzynarodowej firmie, instalującej filię w Polsce; wyznał, że głosował na Kongres Liberalno-Demokratyczny. Sądziłem, że rozmowa na ten przynajmniej temat się wyczerpała, nie przypuszczałem bowiem, że włączy się do niej pani siedząca pod oknem. W czasie naszej politycznej wymiany zdań straciłem ją z pola postrzegania, wydawało mi się, że nadal o czymś nieustannie nadaje do swej cichej i chyba nader pokornej znajomej, nie zauważyłem, że na pewien czas wzięła swoje tak wydajne narządy mowy w kluby, by słuchać tego, co mówimy – i za chwilę przemówić do nas wszystkich.

Skorzystała z tej okazji, ostro, nie przebierając w słowach i nie unikając surowych admonicji, potępiła nasze decyzje wyborcze, choć różniły się one zasadniczo. Potępiła po równi, bo wszystkie były w tym samym stopniu niesłuszne. Poparliśmy tych, którzy nie mają na względzie dobra ojczyzny, sami są komunistami lub przynajmniej z komunistami się kumają, nigdy im się w sposób zdecydowany nie przeciwstawiali i nie chcą komunistycznego zła wypalić gorącym żelazem. Nie jestem w stanie osądzić, czy dobrze orientowała się w nowym polskim życiu politycznym, w każdym razie muszę jej przyznać, że wyuczyła się pewnej retoryki i zapanowała nad sporą liczbą nazwisk. Wymieniała je w oskarżycielskim zapale, potępiła osoby znane z ofiarności, szlachetności i odwagi, psy wieszala na działaczach KOR-u, nie znajdowała niczego, co by usprawiedliwiała choćby tych, którzy spędzili w PRL-owskich więzieniach po kilka lat, nie zyskali w jej oczach laiki wybitni budowniczości „Solidarności”, jeśli nie znaleźli się po tej stronie, którą uważała za właściwą. Wszystko to byli dla niej komuniści, kryptokomuniści, kolaboranci, lub

przynajmniej różowi, a więc ludzie, którzy zasłużyli na jedno – zdecydowane i bezwzględne potępienie. Kończąc swój oskarżycielski monolog, skierowany tym razem nie do kobiety siedzącej naprzeciw, ale do wszystkich, których przypadek zgrupował na kilka godzin w jednym przedziale, wygłosiła apologię swojej osoby: jako patriotka, Polka, katoliczka głosowałam na... – i tu padła nazwa jednej z partii niewielkich, ale hałaśliwych, tych, której działacze i kandydaci na posłów nie czuli żadnych oporów w demaskowaniu konkurentów, w przedstawianiu ich jako zdrajców, agentów, obcych, czy w ogólności ludzi, co nie tylko nie mają żadnych danych, by budzić zaufanie u tych, którzy uważają się za dobrych czy prawdziwych Polaków, ale powinni wywoływać uczucie odrazy czy wręcz odruch obrzydzenia.

Sluchałem *expose* pani spod okna z narastającym zdziwieniem. Zdumiewała mnie nie tyle jego treść, bo do poglądów takich zdołałem się już przyzwyczaić, ostatecznie w czasie kampanii wyborczej, której bez zapału i systematyczności wprawdzie, ale jednak się przysłuchiwałem, tego rodzaju opinie głoszone bez tłumika i to wielokrotnie, zdumiewała mnie nawet nie tyle ostrość, bezwzględność, radykalizm wyrażanych ocen, bo i one nie były nowiną. Zaszokował mnie sposób mówienia tej kobiety, dobrze mi znany, bo miałem wciąż w świadomości (i w uchu), jak mówiono na różnego rodzaju PRL-owskich seansach nienawiści, jakich słów używano, jaka intonacja dominowała, jak oskarżano wrogów ludu, niezależnie od tego, czy w danej chwili przyjęli postać kulaków lub rewizjonistów, syjonistów lub warcholów. Ta kobieta posługiwała się mową w ten sposób, jakby w całym swoim życiu nie robiła niczego innego, jak tylko nieustannie uczestniczyła w spędach, zwanych zależnie od okoliczności zebraniem partyjnymi, wiecami, masówkami, jakby w ich trakcie określona została na zawsze – i w konsekwencji nieświadomie powieliła wzory, do jakich się przyzwyczaiła, wzory, które teraz, gdy nastal inny świat, są jej niemiłe, czy nawet – można się było domyślać – nienawistne. To, co ta kobieta wygadywała, budziło moją odrazę, nie miałem wątpliwości, że trzepie ona głupstwa, powtarzając bezmyślnie rzeczy i słowa od kogoś usłyszane. Pomyślałem, że ostrość wypowiedianych zdań w jakiejś mierze wynika z tego, że jest neofitką antykomunizmu, a więc przez wzmocniony radykalizm chce potwierdzić szczerą nową wiarę, zademonstrować w takiej postaci, by nikt w tej materii wątpliwości nie żywił. Mnie jednak sam sposób mówienia wydał się podejrzany, należała ona – pomyślałem – do partii, może nawet była aktywistką. I teraz – zgodnie z duchem czasu – radykalnie się przemodelowała. Chciałem jej powiedzieć, że styl, w jakim swe poglądy głosi, przypomina czasy dawnego reżimu, więcej, bezpośrednio z nich pochodzi, z pomysłu tego jednak zrezygnowałem, a uczyłem tak dlatego, że miałem już niemal pewność, iż uwagi mojej nie zrozumie. Zapytałem o coś bez porównania łatwiejszego i prostszego, zapytałem mianowicie, co ona dla obalenia komunizmu w Polsce zrobiła, że czuje się moralnie upoważniona do wypowiadania potępiających zdań o tych, którzy z poświęceniem z nim walczyli.

Spodziewałem się, że zacznie się rozwodzić o swoich zasługach, że wspominać będzie akcje i działania, w jakich uczestniczyła, choćby niewielkie, jak kolportaż prasy podziemnej w biurze, w którym była zatrudniona, czy współpraca z funkcjonującym w nim potajemnie solidarnościowym komitetem. Oczekiwałem, że wspomni przynajmniej o tym, że brała udział w mszach odprawianych w intencji ojczyzny i gorąco się modliła. Nic takiego wszakże się nie stało, padły słowa, które mnie zaskoczyły, choć potwierdzały zasadność mojego pytania: – A co ja miałam robić? TO JA MIAŁAM SIĘ NARAŻAĆ! TEŻ COŚ!

Niestety, nie potrafię odtworzyć swoistej intonacji, z jaką te krótkie zdania zostały wypowiedziane, oburzenie łączyło się w niej ze zdziwieniem. Sam pomysł, że miała się narażać, wydał się tej pani po prostu absurdalny, głupi, niedorzeczny. Jakże w ogóle można od niej wymagać, by ponosiła jakieś ryzyko! Dla mnie jej odpowiedź spontaniczna i bez-

refleksyjna nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Wiedziałem, że stanowi zakończenie rozmowy, jej nieoczekiwaną pointę. W przedziale zapanowała jednak konsternacja. Profesorowi politechniki wydawało się, że zamierzam kontynuować dyskusję, powiedział więc do mnie jakby na stronie: szkoda słów – i machnął lekceważąco ręką. Ale ja takiego zamiaru nie miałem. Sięgnąłem po gazety i zabrałem się do czytania, podobnie uczynili obydwaj panowie, też najwyraźniej zdegustowani tym, że kobietę ową choćby przez moment poważnie traktowali. Wszystko w przedziale wróciło do punktu wyjścia, bo i ona przystąpiła do tego, co robiła wcześniej: zaczęła od nowa monolog, kierowany do znajomej siedzącej naprzeciw, tej znajomej, która – jak poprzednio – słuchała bezgłośnie i – wydawało się – pokornie. Może zresztą milczenie było votum nieufności dla tej kobiety gadtliwej i pewnej siebie, kto wie.

Michał Głowiński

Aleksander Jurewicz

Zapiski ze stróżówki (4)

Maj '99

Początek maja na wsi. Po niecałych czterech godzinach jazdy momentalne przejście w inny rytm życia.

Słońce wstaje powoli, nieśmiało wychyla się zza wzgórz i lasu, jakby niepewne, czy już powinno wstąpić. Zaczynają pisać koguty, gdzieś z koszmarnego snu z chrypliwym szczeraniem odzywa się pies. I nadal cisza. Słońce zagarnia coraz większą część nieba i zagaża resztki gwiazd. Po raz wtóry rozchodzi się przeciągłe pianie kogutów. Budzą się łąki bez kaczeńców, sarny w brzozowym zagajniku, ptaki i kominy domów. Zrazu z kominów wypływa wąta smużka dymu, podobna do duszka z dziecinnych przywidzeń, później dym staje się bardziej gęsty, dzisiaj jest niebieski i idzie prosto do nieba.

Palenie w piecu – tym kuchennym i zimną w pokojach – to wciąż dla mnie archaicznosc-sakralny rytuał, zjawisko na granicy mistyki i cudu. Po kuchni rozchodzi się zapach suchych świerkowych gałęzi użytych na podpałkę, potem ogniem zajmują się grubsze polana, od czasu do czasu zaskwierczy w płomieniach wilgotne drewno i wtedy zdaje się, że drewno zasyczało z przenikliwego bólu. Ogień buzuje pod żeliwną płytą, pachnie dymem i zapamiętanym czasem; czasem zapamiętanym, już nie do odzyskania. Zaraz zagotuje się woda w poczeriałym od sadzy czajniku.

Otwieram drzwi na dwór i od razu czuję kwitnące jabłonie, wiśnie i bzy. Porykują liczne już we wsi krowy, czekające na poranny udój. Sąsiad odmyka drzwi obory i słyszę rżenie konia witającego gospodarza. Rosa mieni się w trawie jak kiście wilgotnych winogron. Gruchają dzikie gołębie, pomiędzy którymi próbuje przebić się z kukaniem kukul-

ka, więc trudno policzyć jej kukanie i pomyśleć wróżbę na dzień, co dopiero się zaczyna. Zadnego wizgu karettek pogotowia, klaksonów, odgłosów nagłego hamowania, samochodowego hałasu. Żadnych spalin i kurzu. Ptaki, dym z kominów, kwitnące sady i czarny ból w środku jest jakby trochę lżejszy.

Dokładam dREW pod palenisko, zaparzam kawę. Łyk neski i zaciągnięcie się camelem. Papierosy i kawa – dzień nicodwracalnie zaczęty. Wczesne rano. Wiadomości w radiu nie najlepsze. Wczoraj wyłączyłem telewizor, gdy dziennikarze zbyt nachalnie dopadali wyčerpanych uchodźców z Kosowa. To nie znaczy, że uchodźcy, że Kosowo, że mnie to nie obchodzi. Nie potrafię jednak tego oglądać bezpieczny w czterech ścianach pokoju, przy rozesłanym do spania tapczanie, ze szklanką mocnej herbaty na stoliku. Radio uruchamia koszmarną wyobraźnię, wystarczy. To, o czym słyszę powinno być niemożliwe. Ale jest. Bezradność i strach. Druga kawa i następny papieros, trzaska ogień w piecu, pachnie żywicą. Chciałbym choć na trochę uwolnić się od pewnej pamięci, ale ona ciągle jest cieniem zostawionym na piasku, którego niczym nie można zmyć. Poczekać, przeczytać, nie telefonować, nie napisać. Jednak myśli, jak niedopalone ćmy, wirują pomiędzy przelatywaniem kawy i papierosem w palcach. Ćmy – pamiętam je z tej kuchni z czasów życia przy filującej lampie naftowej. W tej chwili wszystko się miesza – dawniej z teraz, tydzień temu i wczoraj, urwane zdania, fragmenty życia, twarze, imię, imiona, skrawki z czytanych niedawno książek (Antonio Tabucchi: „ktoś stoi w oknie znanym sobie z dzieciństwa, ale to już nie jest ten sam ktoś i okno nie jest to samo, bo czas zmienia ludzi i rzeczy”), którąś z myśli chciałbym przeciągnąć jak najdłużej, którąś chciałbym raptownie stłumić, na dnie torby spoczywa trochę papierów w pomarańczowej teczce, ale nie wyciągnąłem ich rozpakowując się, jeszcze bez sił, by cokolwiek zaczęło układać się w jakiś ciąg i rytm, nie dotykaj, nie oswajaj mnie ze sobą, cierpki osad po kilkudobowym intensywnym maratonie alkoholowym trudny do splukania; zaczęło się niewinnie, od kilku kieliszków „beherovki”... Za oknem ćwierkają wróble, hałasują dzieci idące do szkoły, kot wskoczył na kościelny mur, dzisiaj będą zawieszać dzwon na nowej dzwonnicy, lyk kawy, papieros...

Klątką dzieciństwa i wczesnej młodości ten dom, już więcej niż połowa życia przeżyta poza nim. Brama, którą przekroczyłem, choć nielekko w życiu było, odjazdy i powroty, leczenie ran pod starym dachem, było trochę tutaj pisania, wykańczania, szlifowania, wyjeżdżania do Gdańska z gotowym tekstem lub skończonym maszynopisem (*Epoka Be- atlesów jeszcze trwa, W środku nocy*, druga część *Lidy*, połowa *Pan Bóg nie słyszy głuchych*), teraz na pisanie czeka to, co nietknięte spoczywa na dnie podróźnej torby, a co zabrałem raczej jako alibi i lek na skrócenie i uśmierzenie męczarni sumienia. Taki „maraton” odstawia od pisania na dłużej i choć ostatnia „trasa” była niezła, to jednak... Bo przecież nie da rady wytrzymać ciągłego siedzenia przy makulaturze, co jakiś czas trzeba uciec ze „stróżówki”, chociaż to mordercza alternatywa, po której zostają przede wszystkim zgryzoty moralne. Tyle już lat przywożę tutaj swoje kace, napoczęte rękopisy, zmęczenie miastem, życiowe i uczuciowe krachy, tutaj przeczekuję złe chwile życia, to ważne miejsce, jedyne, łagodna i ciepła otulina.

Choć czasami jakiś podszept odzywa się skądś niespodziewanie boleśnie retorycznym pytaniem: „dlaczego tutaj jesteś, skąd się tutaj wzięłeś, przecież od tak dawna tutaj Ciebie naprawdę już nie ma?” Jestem więc tutaj ani obcy, ani zadomowiony. Życie coraz wyraźniej przecięte na pół – na życie tutaj i życie po wyjeździe stąd. Mimowolne i stopniowe oddalanie się z tego miejsca, choć nigdy nie całkiem, choć coraz częściej tutaj, choćby w wyobraźni, uciekam z miasta. A przecież jest jeszcze pamięć, i gdyby nie pamięć... To ona cały czas podtrzymuje życie w tamtym życiu. Z fragmentów, strzępów, odprysków próbuje ułożyć jakąś całość albo ledwie zarys całości. Przywraca niepamiętaniu rysy twa-

rzy, głosy, dawne widoki, zmartwychwstają nieistniejące domy i przedmioty, drzewa i domowe zwierzęta; w ciszy usłyszeć można szczekanie psa z dzieciństwa, przesuwanie pierwszego kupionego krzesła, poczuć jedyny zapach, więcej – aromat skoszzonej tamtej łąki, po polickich spływają krople umarłych deszczy...

Lęki dzieciństwa – rozpacze – osamotnienie – uczucie wiecznego żalu – nieustanne poczucie winy – wiara w duchy i zabobony – znak krzyża czyniony pochliwie przed północnym snem – żarliwe odmawianie „Aniele Boży Stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój”... – praki – chmury – tajemnicza linia horyzontu – pięciogroszówka zakopana w ogrodzie, żeby wyrosły pieniądze – nieśmiałość i poczucie zbędności. Dorosły odnajduje w sobie żyjące kiedyś dziecko. Staje się ojcem tamtego dziecka, kiedy sam Ojca już nie ma...

Kiedyś to wszystko, tamten świat, przepadnie na zawsze. To, co zapamiętałem i to, czego nigdy nie przypomnę. Zostaną jedynie słowa na papierze, ale i one staną się, w jakiejś bliższej lub dalszej przyszłości, tylko zatartymi śladami.

Kwitnie sad. Ten nasz sad... Zdziczały teraz i zapuszczony, w którym trzeba mi zrobić porządek. Ileż przez niego przypomnień nagłych i ciągłego pamiętania – na przykład koniec lipca w 1979 roku. Jem wiśnie rwane prosto z drzewa, zbliża się wieczór. Poprzedniego dnia (a może tego samego?) otrzymałem zawiadomienie o przyznaniu mi mieszkania w Gdańsku. Rozmyślam o czekającym mnie niedługo nowym etapie życia i końcu bezdomności, jestem w łagodnej euforii, wiem tylko, że będę musiał napisać o tym Stachurze, że teraz już może przyjechać pod stały adres. I w tym momencie, gdy w myślach rozmawiam ze Stedem, zobaczyłem ojca otwierającego furtkę. Nie skręcił do drewni, ale szedł do mnie. Ojciec podszedł i mówi: „ – ten wasz Stachura nie żyje, podali teraz przez radio”. Nieważne, co było za chwilę lub później, jak szukałem potwierdzenia tej strasznej i nie do uwierzenia wiadomości. Piszę o sadzie, który porządkowałem (bezduszne i okrutne zajęcia). „Stachurowa wiśnia” już coraz marniejsza, może jeszcze rok albo dwa przetrzyma, ale wokół niej są już młode, wyrosłe dziko wisienki. Choć kto wie, bo jabłoń, która ma całkowicie wydrążony pień, już kilkanaście lat nie daje się tutejszym silnym zachodnim wiatrom, jej największa gałąź wciąż jest podparta specjalnym drągiem przez ojca, bodajże na tydzień przed śmiercią, każdej wiosny zakwita i obficie owocuje jesienią. Ta jabłoń już rosła, kiedy przyjechaliliśmy tutaj żyć. Z kilku wysokich, dorodnych sosen zostały jeszcze tylko dwie.

Właśnie teraz, w sadzie, którego niektóre drzewa pamiętają mnie innym, po kilkunastu latach poczułem dotyk wiersza, a raczej wierszy. Przez lata lepiej lub gorzej znosiłem narzuconą sobie poetycką abstynencję, mając (przede wszystkim) świadomość, że już nigdy nie spotkam ani nie doścignę tamtego chłopaka, który kiedyś pisał wiersze, że poezja to już rozdział w moim życiu zamknięty, którego się nie wypieram ani nie wstydzę, ale już inna tonacja i fraza wypełnia moje literackie głody. Przez kilkanaście lat (od jesieni 1987 roku) dławilem w sobie wszystko, co układało się w wiersz. I nagle poczułem osaczenie wierszami, bo nie potrafiłem znaleźć żadnego innego sposobu na pewne niedawne sprawy, jak tylko poprzez ułożenie je w wersy. Jakby jakiś drugi głos dyktował mi gotowe obrazy i słowa, słyszałem wyraźnie ten głos, co prawie zamianiał się w wewnętrzny krzyk, słyszałem go w krwiobiegu, przyspieszonym pulsie i mrowieniu skóry; przdziwny stan, jakby całe ciało podłączono niespodziewanie do prądu. Ale nie poszedłem do domu, żeby od razu, tak jak je słyszałem, zapisać, ciągle miałem nadzieję, że jednak zaraz albo za jakiś czas je zgubię z pamięci, i że już w resztkach mojego życia nigdy wierszy nie będzie. Lecz nie udało mi się odczepić ich od pamięci, choć na wsi nie zapisałem ani linijki. A one, wiersze, już odejść nie chciały, jeszcze bardziej zaczęły przypominać, że znowu chcą być częścią mojego życia, nie dawały spokoju podczas nocnego powrotu samochodem do Gdańska i w „stróżówce” już nie miałem ani wyboru, ani wyjścia. Przez

parę dni leżalem na tapczanie rekonstruując, spisując, poprawiając. Czy je kiedykolwiek opublikuje? Złożyłem je do specjalnej teczki i ukryłem na dnie jednej z szuflad biurka. Niby nie takiego się nie stało, ale od tamtej pory czuje, że w „stróżówce” jest o coś więcej, o kilka kartek papieru za dużo, nie, nie za ciasno, ale za dużo i niczego by nie zmieniło wyniesienie ich do pojemnika na śmieci na podwórzu; może trafiłyby do przepastnych toreb Władka? Już są i pewnie przyjdą po nich inne. Nie będę się bronił, może kiedyś złoży się z nich książeczka, dla której tytuł też „wymyślił mi się” w sadzie. To jednak jest już inne pisanie niż tamto z wczesnych lat, bardziej zmęczone, zrezygnowane. To druga nauka poetyckiego chodzenia. Druga nauka chodzenia, pisania, życia...

(Irena Jurgielewiczowa, *Byłam, byliśmy*: „Przeszłość, choć tak kaleka i zniekształcona, jest najwierniejszym partnerem naszej teraźniejszości: utwierdza naszą ważność, z każdym dniem coraz kruchszą. I naszą niepowtarzalność, którą coraz mniej świadków może potwierdzić. Nikomu innemu, tylko temu właśnie partnerowi zadajemy nieuniknione, a jałowe pytanie, jak to się mogło stać, że właściwą nam naturę, czyli młodość, skazano na obcą nam starość i że przy takiej odmianie ciągle jesteśmy tymi, którzy byli. A może nie jesteśmy? Przeszłość nie odpowiada.”)

Punktualność i precyzja z jaką Krzysiek „Burza” trafia, za dwie dziesiąta przed południem, w drzwi swojego domu jest wprost niewiarygodna. Na trzeźwo, nawet przy lekkim podehmieniu, byłoby to niewykonalne. Takie akrobacje możliwe są tylko w stanie kompletnej nieważkości, przeczą wszelkim regułom aerodynamiki i zdrowego rozsądku. Do tego dochodzi niesamowicie wyćwiczony wieloletnim, wręcz katorżniczym treningiem organizm, który z dokładnością do dziesiątej sekundy reguluje przerwami w jego biesiadowaniu. Odcinek drogi do pokonania ma co prawda niedługi, między sklepem a jego domem jest zaledwie kilkanaście kroków, choć z domieszką pewnej niedogodności, jaką jest jezdnia. Ale i to prawie nie jest problemem ani przeszkodą, bo kiedy „Burza” lewituje w stronę rodzimej chałupy, ruch samochodowy na ten czas zamiera i nikt nie ma prawa okazać, choćby delikatnym klaksonem, swojego zniecierpliwienia, bo koledzy Krzysia bardzo łatwo takiego nerwusa za kierownicą wyłowią z rządka czekających aut i sprowadzą do równowagi. Albowiem „Burza”, gdy przyjeżdża z Hamburga na tydzień, by zorientować się, co rośnie na jego polu, zapisanym mu nieświadomie w testamencie przez starego, jak chowa się jedyne dziecko i zdesperowana żona, jest przez siedem dni pod szczególną ochroną, więcej – jako jedyny posiadacz gotówki jest wśród miejscowych pod wzmożoną ochroną i kontrolą.

Wraz ze zniknięciem Krzysia w czeluściach sieni, jego kompani też gdzieś znikają, by później, też z nieprawdopodobną punktualnością (choć swoje zegarki, od chrzestnych na pierwszą komunię, już dawno przepili), oblizując spieczone wargi i usilnie powstrzymując upiorny dygot rąk, czekać kilka minut przed czternastą, koło starej lipy, co jest najbardziej eksponowanym miejscem we wsi, gdyż pełni rolę słupa ogłoszeniowego – przybija się do niej klepsydry, ogłoszenia o dyskotekach w sąsiednich wsiach czy zawiadomienia o obowiązkowym szczepieniu psów. Czekają aż „Burza” znowu objawi się w świetle wczesnego popołudnia i z harmonią banknotów w kieszeni, krokiem pewnym, acz pośpiesznym, przebędzie trasę odwrotną niż przed południem, i nawet zaczeka, kiedy jezdnia będzie wolna.

Może kiedyś zbiorę w sobie tyle siły i wykombinuję trochę wolnego czasu, by opisać tych chłopaków, a raczej moich rówieśników czy kumpli z boiska, co właśnie stoją przed sklepem i za chwilę, i już za momencik, ich wzrok stanie się nie taki niespokojny, ręce przestaną się trząść jak gałąź na wietrze, odzyskają mowę i śmiech. Ale na taki pisarski wyczyn trzeba się nieźle przygotować, tego nie da się załatwić byle jaką frazą, podeprzeć kulejące zdanie jakimś poetyckim ornamentem czy finezyjnym przymiotnikiem. To musiałyby być wydestylowane jak najszlachetniejszy bimber, subtelne jak japońska przer-

watywa, zapierające dech jak zimna seta na drugi dzień. Może kiedyś pokuszę się o to, grzechem byłoby zaniechać takiej epiki albo ballady o ułamku Wszechświata, o cytacie ze zwykłej, codziennej historii ludzkości, co gdzieś jest, ma swoje miejsce i trwa. Są bowiem tematy „nie do odpuszczenia”. Bo jakże nie spróbować zmierzyć się z opisaniem szaleńczej, wręcz kinowej eskapady czwórki z tych, co teraz prowadzą w orszaku (on też był w tamtym kwartecie) Krzysia do sklepowej lady, na winobranie do Francji któregoś lata, starym zdezelowanym Fiatem? Założę się, że do dzisiaj we francuskich winnicach, na stacjach benzynowych i parkingach w Niemczech, absolutnie nie z rozbawieniem wspominają czwórkę muszkietierów z mojej wsi. A oni pojechali, dojechali, pobyli w prawdziwej Europie i w niezłej formie, choć bez pieniędzy, powrócili. Jest to niebanalny materiał literacki, w zdobycie którego już włożyłem trochę kasy i ubytku na zdrowiu, a raczej uszczerbku i tak sponiewieranej wątroby.

Czasy się zmieniają i nawet popolite wino, co zwało się jabołem, beltem, patykiem piśnianym, sikaczem, czarem PeGeeRu, łzami soltysa, cycem Marioli, mózgotrzepem i dzieciątkami innych smakowitych określeń, też dostąpiło udziału w tzw. transformacji społeczno-gospodarczej, przemieniając się w napój winopodobny (zaw. alk. 9-11%), o różnorodnym bukacie smakowym: wiśniowym, malinowym, brzoskwiniowym, pomarańczowym. Proszę nie myśleć, że moim dawnym koleżkom jest wszystko jedno i że ich kubki smakowe już dawno przestały reagować. Ależ, gdzie tam. Zaczynają od wiśni, napój winopodobny o smaku wiśniowym ma największe wzięcie i poważanie.

I tak to się tutaj toczy. Chyłkiem przemykam obok sklepu i tylko z daleka pokiwamy sobie rękoma. Chorymi, abstynenckimi oczami widzę ich, jakby czas się na moment cofnął, widzę obecnego soltysa, co siedział w klasie dwie ławki przede mną (akurat przerwał sześćioletni post), Ignaca, co najczęściej stawał się ofiarą pomeczowych bójek, niezależnie w której drużynie grał, Kazika, którego zdanie na lekcji historii w podstawówce („Na Sejmie w Lublinie było ludzi aż pod sufit”) jak widać pamiętam do dzisiaj, Czeška – Jąkałę, co nadal klnie wielopiętrowo nie zacinając się ani przez chwilę, i jeszcze stoi ich kilku, albo właśnie dochodzi, wylaniając się z rowów, krzaków jaśminu, spod płotów, z nieużywanych szklarni i staje do kółeczka, w którym butelki o znajomym kształcie, znakomicie dopasowane do każdych dłoni, krążą pomiędzy nimi jak w sztafecie. Nie popełnię żadnego błędu ani nietaktu, gdy powiem, że w taki oto sposób w mojej wsi realizowana jest nieśmiertelna idea sztafety pokoleń.

Pamięć – jedna z najtrudniejszych (lecz czasami jakże pięknych i często okrutnych) zagadek naszego życia, naszego ziemskiego losu, jedna z wielu dziwności, którą jest człowiek. Ileż czasu musi minąć, upłynąć, przeminąć, byśmy dowiedzieli się, co pamiętamy, co po naszym przeszłym życiu pozostało już tylko w pamięci. To ona dobiera barwy do naszej przyszłości – smutną, weselszą, radosną, bolesną... Ona wychodzi ze ścian domu, w którym od dawna nas nie ma, zaszeleści gałęzią starej jabłoni, pod którą skrywaliśmy dziecięce tajemnice, marzenia i grzechy, pojawia się w kształcie przypadkowej chmury, która rzuciła cię na drogę, którą akurat szliśmy i podnieśliśmy oczy do góry zaintrygowani nagłym cieniem w środku pogodnego dnia, zaskrzypi zardzewiałą sieczkarnią zapomnianą w kącie stodoły, przetoczy się po podłodze cichym łoskotem naporstka, co osunął się z palca nieżyjącego od piętnastu lat ojca, błysnie zapamiętanym młodym uśmiechem na postarzałej twarzy mamy, odezwie się nocnym płaczem maleńkiej siostry, której dzieci właśnie przyjechały w niedzielne odwiedziny do babci (mała Lena na tępy nóż powiedziała „potępiony nóż”), strąci z półki książkę, a ona otworzy się na *Małym pisarczyku z Florencji* Edmunda de Amicisa.

Pamięć – nasze drugie „teraz”, przekleństwo i otucha; „jesteśmy tymi, którzy byli...”
(Danilo Kiš: „Swego ciepłego pokoju nikt by nie opuścił dobrowolnie, podobnie jak

nikt by dobrowolnie nie opuścił wnętrzości matki. W tym właśnie tkwi problem. Bo jeśli już pod przymusem okrutnego losu opuszcza się ognisko rodzinnego spokoju, ciepły pokój dziecienny z obrazkami pełniącymi funkcję Anioła Stróża – to jak wrócić i zacząć od nowa? Wymienić obrazki, stać się strzegącym, a nie strzeżonym? Wziąć na siebie rolę demiurga i aranżera świata, znajdującego się w pół drogi między mikro – a makrokosmosem? (...)

Nawet i ci, którzy – zbiegiem jakichś feralnych, obiektywnych i subiektywnych okoliczności – musieli opuścić ciepły pokój dzieciństwa, nieczęsto potrafią, bo nie mają odwagi, wrócić do innej celi, najczęściej nie tak ciepłej jak tamta, ogrzana płomieniem kominka wspomnień.

Tu zaczyna się odyseja człowieka pozbawionego pokoju. Ściany, wszystkie przedmioty nie są tak piękne, tak doskonale, jak tamte dawne lub wymarzone. Pokój staje się piekłem wklęsłych i wypukłych lusterek, w których odbija się fałszywie obiektywna maska nieogolonej twarzy z podbitymi oczami zmąconymi bezsennością czy alkoholem.

Wtedy dochodzi do ucieczki. Ryle nie zostać sam na sam z sobą, który jesteś i nie jesteś taki, jaki jesteś. Nie możesz uciec od zgiełku świata, przeciwnie, szukasz go, gdyż cisza samotności to piekło; piekło to ty sam.

Pokoje dzieciinne (jeżeli w ogóle były) ogrzewała dobroć i ciepłe słowa. Dlatego trzeba próbować wnieść w cztery nagie ściany uśmiech przyjaźni, uściski, ciepłe oczy kobiet – a coś z tego pozostanie na chwile samotności, słowa i uśmiechy pozostają. Wilgoć wtedy znika, wesoło wije się dym z komina.”)

Młode jaskółeczki kwilą w gnieździe pod okapem dachu, stara jaskółka, jak strzępek żalobnej wstążki frunącej w powietrzu, nie znajduje sposobu na ich ucieszenie. Kot w trawie wodzi sennymi od południowego słońca oczyma za rozhisteryzowanym ptakiem. Czyjaś postać o zamglonych rysach twarzy przypomina się z niedawna, ale nie mam pewności, czy ona naprawdę jest, czy jest może tylko siedmiocyfrowym numerem telefonu...

Na podwórko dobiegają z kościoła śpiewy z majowego nabożeństwa, młode i stare głosy ciągną nierówno – „Po górach, dolinach rozlega się dzwon...”, a za chwilę – „Chwalcie łąki umajone, góry, doliny zielone. Chwalcie cieniste gąki, źródła i kręte strumyki...”. Siadam na pieńku i chciałbym cicho, jak najciszej dołączyć się do kościelnego śpiewu, ale nie mogę, choć nie potrafię zasłonić się przed krótkim powiewem wzruszenia, co na moment otarł się o mnie – i odplynął. Wracam do przerwanej roboty, którą jest rąbanie desek starej podłogi z pokoju, w którym przez całe tutejsze życie szył ojciec. Rąbię przeżartą przez czas i korniki zniszczoną podłogę i z każdym pęknięciem czy rozlupaniem deski czuję, jak zacieram ślady po dawnym życiu, jak z tego domu coraz mniej „dawności” pozostaje, już doprawdy tak niewiele. Najgorsze, że na mnie trafiła ta barbarzyńska robota. I rąbię pomarłe na niej nasze kroki, niewidoczne drobinki nici i materiału na pewno wczepione w krawędzie desek, odcisnięte ślady, gdzie stała maszyna do szycia „Singer” i ciężka dębowa szafa, wdeptane okruczki krawieckiego mydła, blizny po rozżarzonych węglach, które czasami wypadały na nią z pieca. Niedługo zostanie z niej tylko kilka smużek dymu, szybko rozpuszczających się w powietrzu lub mieszących się w przepływającym właśnie obłoku i kubełek popiołu, który mama rozsypie po ogrodzie warzywnym. A jeszcze dodatkową trudność sprawia tępa siekiera i nie wiem u kogo ją teraz naostrzyć, bo zawsze ostrzyłem ją u Władka C., ale na niego nie mogę już liczyć.

Bowiem kilka domów dalej, po przeciwnej stronie ulicy (już dawno temu wyasfaltowanej, choć ja ją ciągle widzę wyłożoną „końskimi łbami”; skąd taka nazwa?), już drugi rok Władek C. nie wstaje z łóżka, zarygłował się w swoim domu, wpuszcza do niego tylko córkę i zięcia, którzy sprawują przy nim najniezbędniejsze czynności jak dożywianie, mycie czy golenie, na furcie wisi odstraszący napis: „Uwaga, groźne psy!”, mimo że po

jego obejściu nie biega najmniejszy choćby kundelek. Nawet listonoszka Iza nie jest wpuszczana z comiesięczną emeryturą. Elektrownia już dawno wyłączyła mu prąd. Kiedy akurat wypada mi przejść obok jego domu, z oknami zasłoniętymi starymi prześcieradłami albo poszwami od poduszek, obrośniętego dziką winoroślą, z omszałym, podziurawionym dachem i rozsypującym się kominem, czuję się nieswojo, jakbym przechodził obok zakażonego miejsca, choć – jako osobnik śmiertelnie zainfekowany literaturą – powinienem być raczej dumny i pokrzepiony na duszy, że oto w mojej rodzimej wsi, w moim drugim życiowym „powiecie”, pojawiła się swojska odmiana Oblomowa. Tej literackiej stronie wyboru Władka C. kibicuję, ale powtarzam – tylko z powodu własnej książkowej skazy. Druga strona tego wyboru jest trudna do zrozumienia, chociaż... Ciężko wyobrazić sobie taki styl życia, dzień po dniu, noc po nocy, już dwa lata, a nic nie wskazuje, że to prędko się skończy. Od jego córki wiem, że nic mu nie dolega, nie skarży się na żadne bóle, jest myślowo sprawny i nawet nie odmawia napicia się z zięciem gorzalki, choć i tę wybitnie męską czynność, wymagającą przy konsumpcji spełnienia choćby uświęconego tradycją rytuału, dokonuje na leżąco. Naprawdę – tak mi się zdaje, choć nie jest to stuprocentowa pewność – mało już jest spraw na tej ziemi, które by mnie zdumiewały. Dlatego przypadek Władka C. wydaje mi się warty zapisania, *ergo* upamiętnienia. Nie tylko dlatego, że przez tyle lat, podczas przyjazdów do mamy, korzystałem z jego pomocy i usług, bo on potrafił zrobić i naprawić absolutnie wszystko – on ostrzył wszystkim siekiery, dorabiał do nich nowe trzonki, robił brzoźowe miotły, kiedy ktoś zgubił klucz Władek w mgnieniu oka otwierał niedostępne drzwi, umiał postawić mur i ołtarze na Boże Ciało, uszyć flagę na państwowe święto, przetkać komin, przybiec do cielącej się krowy albo podkuć konia. Teraz miejscowi w wielu wypadkach są bezradni, pozbawieni pomocy i pewnie czasami zakną szpetnie na Władkową fanaberię. No bo jak tak można – położyć się w łóżku i z niego nie wstawać, zniknąć z wiejskiego pejzażu, choć przecież wiadomo, że żyje? Jednak najglówniejszym jego zajęciem, arcy mistrzowskim popisem i powodem okolicznej sławy, było szlachtowanie przed Bożym Narodzeniem, Wielkanocą albo weselami wieprzków, co robił – przy swoim okazałym, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostem i słusznej tuszy – z wdziękiem i gracją primabaleriny. Dla mnie, od dziecka, wydawał się mężczyzną nie do pokonania, który wszystko potrafi i niczego się nie boi. Właśnie ten ostatni element – że Władek C. nikogo i niczego się nie boi, w moim podziwie dla niego miał decydujące znaczenie, był jednocześnie fascynacją i zazdrością, bo poczucie lęku jest moim stałym utrapieniem.

I nie tak dawno dowiedziałem się o jego jednej i na pewno jedynej słabości, w co nie mogę do końca uwierzyć, że zdumienia chodzę jak znokautowany, jakby to, w co wierzyłem okazało się stokrotnie wierutną bzdurą i makabrycznym oszustwem. Kiedy mi o tym powiedziano poczułem, że ziemia pod moimi stopami aż zadygotała. Otóż okazało się, otóż dowiedziałem się, że ten nieustraszony Władek C., którego jako pewniaka można byłoby obsadzić w filmowej roli Wyrwidęba, odczuwał niemiłosierny, nie do pokonania strach – strach przed cmentarzem! Jakbym patrzył na niego, gdybym wiedział o tym dużo wcześniej, kiedy byliśmy w jako takiej komitywie, nie wiem? Czy mój podziw byłby mniejszy? Chyba tak. Bo cmentarz, jeszcze tylko z niemieckimi grobami, tutejszych zmarłych chowano na cmentarzu w mieście, to było w dzieciństwie nasze magiczne miejsce, o czym już kiedyś pisałem.

Kiedy na trochę ochłonąłem po tej niedorzecznie prawdziwej wiadomości, zacząłem rekonstruować ostatnie lata Władka C., zanim on dobrowolnie i bez przymusu postanowił żyć tylko i wyłącznie na leżąco. Przed dwoma laty zmarła na raka jego żona, którą zachowuję w dozgonnej i wdzięcznej pamięci, była bowiem bibliotekarką, więc duża część mojego dzieciństwa i wczesnej młodości upłynęła w jej obecności, a jeszcze dodatkowym

plusem przebywania w bibliotece była możliwość palenia papierosów, nie ukrywam, że często były to jej papierosy (tam na regałach odkryłem, jeszcze ucząc się w liceum, *Grę w klasy*, a ona widząc moje oczarowanie powieścią Cortazara, podarowała mi biblioteczny egzemplarz, który mocno postrzępiony i ledwo trzymający się całości, mam do teraz). Wladek nie uczestniczył w pogrzebie żony, podobno stał przy furcie i patrzył na oddalający się, a potem niknący za zakrętem, żalobny kondukt. A kiedy rodzina powróciła z cmentarza po spełnieniu smutnego obrzędu, na stypie brał udział już na leżąco – i leży tak od tamtej pory. Wladek C. leży w łóżku i nie czeka tylko i wyłącznie na śmierć. Leży w panicznym strachu przed cmentarzem, na który wie, że w końcu trafi. Leży i kombinuje, w jaki sposób ominąć ten przytułek dla nieboszczyków, co zrobić, żeby tam się nie dostać. Nie boi się śmierci, to dla niego nie stanowi problemu, boi się tylko, że kiedyś poniosą go w tamto miejsce na skraju wsi, które przez całe życie omijał z daleka, które było dla niego źródłem niepojętego strachu.

Wbijam mocno stępią siekierę w deski podłogi, ucihły śpiewy majowego nabożeństwa, znowu powraca dawny czas i czuję, że moje życie, niezależnie gdzie jestem i co robię, rozdziela się już tylko na dwie części: na pamięć – i resztę. Więcej nie mam nic i chyba już niczego innego nie potrzebuję...

Nastal wieczór. Z cmentarnej ławeczki przy ojca mogile rozglądam się dokoła i jakbym w kalejdoskopie oglądał swoją dawną wioskę i moją w niej przeszłość, obraz czasami wydaje się zamglony, czasami wyostrza się, chwilami zanika zupełnie. Wspominam jadące kolorowe cygańskie tabory, które czasami zatrzymywały się pośrodku wsi, więc prawie obok naszego domu (mój cygański rówieśnik, z którym zakolegowałem się na parę godzin, i który zaprosił mnie do cygańskiego wozu, miał na imię Gorek; co się z tobą teraz dzieje, gdzie jesteś i czy żyjesz, Gorku?) i włączających się wariatów, którzy uciekali z niedalekiego zakładu dla umysłowo chorych (mój ojciec, kiedy w pewnym momencie miał kłopoty z tzw. państwową pracą, zatrudnił się tam w charakterze opiekuna, ale uciekł spanikowany po kilku pierwszych godzinach – to jeszcze jeden temat, który czeka, i który już coraz mocniej kopie w brzuchu), wspominam niebanalnie dramatyczne albo banalnie dramatyczne związki uczuciowe, bratobójcze porachunki i międzyregionalne właśnie finalizowane na sobotnich zabawach ludowych (grała kapela pięciu braci Wesołowskich), gwałtowne śmierci i cudowne ozdrowienia, pożary i seanse w objazdowym kinie, zapach pomarańczy w sklepie przed świętami; jak w wierszu Johna Ashbery'ego – „Czas wszystkich zapomnianych rzeczy jest pod ręką.”

Zaróżowiła się, jakby dopalała się po kolejnym dniu, dolina. Słońce opada za wzgórzami, by jutro zbudzić nas znowu, a tej nocy nad naszymi snami będzie wisiało zimne niebo.

Wracam z cmentarza, z daleka rozpoznaję dym snujący się z naszego komina, będąc przy kościele widzę okna domu, zdaje mi się, że w dawnym, już nie istniejącym (istniejącym inaczej, wskrzeszonym, bo zająłem go na nowo zbliżając się do pięćdziesiątki) pokoju dziecinnym zafalowała firanka, jakby ktoś ją odchylił, żeby popatrzeć na drogę i zmierzch.

Aleksander Jurewicz

Poeta i wyspa

Kręgi samotności Stanisława Balińskiego

Wydany w 1978 roku niewielki wybór felietonów Stanisława Balińskiego publikowanych systematycznie od lat kilkudziesięciu na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego”, otwiera tekst z 1948 roku, którego dosłowny sens przeistacza się w pewnym momencie w metaforyczny skrót losu emigracyjnego poety. Rzecz dotyczy wakacji letnich spędzonych owego 1948 roku w nadmorskim miasteczku Minehead i turystycznej wyprawy na trudno dostępną wyspę Lundy otoczoną zawsze wzburzonym morzem.

„Wysepka od strony Atlantyku – pisze Baliński – otwiera się jak obnażone, kamienne urwisko skalne, o którego brzegi biją z furją fale. (...) Siedzę przykucnięty jak na przelęczy, skąd krajobraz rozpada się na dwa kontrasty. Od strony Anglii i Walii: łagodny błękit nieba i zatoki, a w oddali zarysowany z lekka, jak na mapie, kontur zachodnich hrabstw angielskich. A tu, od strony oceanu: mroczność i stalowość przestrzeni i ciemne fale bijące o brzeg bez litości. (...) Jeden świat: spokój, łagodność, ufność. Drugi świat: sztorm, niepokój, gniew. Wycieczka turystyczna nabiera przez moment napięcia wewnętrznego dramatu, w którym się gubię”.

Obraz ten jest emblematem sugestywnie i plastycznie streszczającym porządek życia emigracyjnego poety i tak też musiał być przezeń postrzegany, skoro – jak wynika z dopisanego w trzydzieści lat później *Post scriptum* – nie mógł się odeń uwolnić i „uciszyć rozdartą troskę życia”. Elementy składowe owego emblematycznego obrazu świata, gdzie samotna wyspa dzieli i łączy zarazem *j e d n o c z e s n o ś ć* dwóch skrajnie różnych projekcji rzeczywistości, łagodnej i mrocznej, budzącej ufność i lęk, są też trwale wpisane w twórczość Balińskiego. Wyspa interpretowana jako obrazowy synonim odosobnienia, oddalenia i samotności pojawia się u Balińskiego niejednokrotnie, stanowiąc jedno z ważniejszych słów jego poetyckiego słownika.

A on na wyspie emigrant, eklektyk i egoista,
Nie wiedzący w jaką iść stronę, niby-artysta,
Latarnik bez latarni, z paszportem wspomnień pod pachą,
Sam był jak wyspa.

Rozbitek

Wyspa i związane z nią pole semantyczne pozwalające swobodnie operować pojęciami – figurami losu (rozbitek, latarnik, wygnaniec, wędrowiec itp.) należy od dawna do charakterystycznego dla emigrantów leksykonu tożsamościowego.

Wielka zmiana, jaką jest emigracja dezorganizująca wszak projektowany wcześniej porządek życia, przynusza przede wszystkim do zasadniczej korekty obrazu własnej osoby. Rwie bowiem emigracja związek z przeszłością, burzy poczucie ciągłości i identyczności własnego „Ja”. Kryzys ów zagarnia sobą jednoczesność różnych wymiarów doznawania świata. Przestrzeń rozkłada na dwa konfrontacyjnie rysowane obszary ojczyzny i obczyzny, czas radykalnie dzieli na zróżnicowane aksjologicznie interwały stanu przed emigra-

cją i stanu aktualnego, wreszcie też rozchwiewa jednolitość i spójność dotychczasowej narracji o sobie samym, gdyż wyobrażenie własnego Ja, podminowane doświadczeniem przypadkowości i nieobliczalności losu, z coraz większym trudem zachowuje poczucie naturalnej ciągłości i identyczności; co dotąd było linią ciąglą przekształca się w luźny zbiór niezależnych od siebie epizodów. Stąd w literaturze emigracyjnej częstość wyznań podobnych temu, jakie w jednym z wierszy zapisał Wacław Iwaniuk:

Nie mogę zaświadczyć, że jestem kim byłem
Bo każdy dzień oddała mnie ode mnie.

Da capo al fine

Z podobnym dystansem obserwuje siebie dawnego Baliński, co wyraźne jest zwłaszcza w poematach zamykających ostatni zbiór *Wiersze emigracyjne* (Londyn 1981).

Język wygnania zawiera więc przede wszystkim takie słowa i pojęcia, które ułatwiają przyjęcie nowego wymiaru tożsamości, budują od nowa sens ludzkiego życia i zarazem osadzają ów sens w kulturowym i historycznym continuum. Przywoływane przez Balińskiego obrazowe figury losu są częścią tego słownika, którego podstawowy zasób leksykalny wywodzi się z polskiej i europejskiej tradycji exulów. Korzystanie z tego słownika ułatwia autoidentyfikację, pozwala na nowo określić swój status po Wielkiej Zmianie, jaką jest decyzja o emigracji, a jednocześnie też stwarza możliwość przewyciężenia doskwierającego poczucia izolacji i samotności, wyłącza z anonimowości i wpisuje jednostkowy los w długi szereg poprzedników równie boleśnie doznających bólu wygnania. Kultura, wpisane w nią figury losu, odślania swą moc terapeutyczną, łagodzi pierwszy szok oddalenia.

Poczucie izolacji i osamotnienia znajdujące wyraz w preferencjach obrazowych twórczości Balińskiego, w nieustannych powrotach pamięci do przeszłości „pośród ludzi swobodnych, w przyjaznej epoce”, było dlań doświadczeniem szczególnie dotkliwym. A wewnętrzny dramatyzm tego doświadczenia krył się w jego szczególnej intensyfikacji powodowanej nałożeniem się na siebie trzech zasadniczych kręgów samotności.

Krąg pierwszy to samotność egzystencjalna w miarę upływu lat z coraz większą siłą determinowana przez nieuchronne prawa biologii, ostatecznie czyniąca z podróżnika i obywatela świata człowieka upokorzonego własną niemocą.

„To życie w Londynie... w tym domu... nie mogę wyjść, krzyż mnie boli, artretyzm gnębi, nerwy mnie dręczą... Jestem w niewoli... choroby, samotność straszliwa. A przecież żyłem w domu piekielnie ruchliwym (...) i n a g l e z tego wszystkiego opadłem na dno samotności. Kontrast straszny, żyję w kontraście do mego poprzedniego życia”.

Krąg drugi to samotność emigranta świadomego niemożności powrotu, czerpiącego swą gorzką o tym wiedzę z rozpoznania przeszłości, która dowodzi, że emigracje nie wracają. Konflikt między emocjonalną potrzebą powrotu a chłodną i racjonalną świadomością daremności marzenia każe Balińskiemu sięgać wprawdzie nader często do obrazów utraconej przestrzeni dzieciństwa i młodości, ale i obrazy te, jak pisała w monografii pt. *Poetyckie podróże Stanisława Balińskiego* Ewa Jaskółowa, „remodelować”, to znaczy poddawać je prawom czasowego, fizycznego i psychicznego dystansu. Dystans ów nie niweczy emocjonalnych więzi z przeszłością, ale też nie pozwala bez reszty poddać się czarom sentymentu, uświadamia bowiem, że każdy powrót byłby spotkaniem z nowym rodzajem obcości. Otwiera też szczelinę, poprzez którą dojrzeć można nowy wymiar swoistej teatralizacji życia emigracyjnego, teatralizacji rozumianej jako aktorska gra z samym sobą, gdzie pustą przestrzeń między emocją (tęsknotą) a świadomością wypełnia dobrze wyuczona rola b y c i a e m i g r a n t e m, somnamboliczny teatr cieni, jak ma to miejsce w *Albumie z podróży* czy wierszach *De passage á Paris* i *Ptaki we śnie*.

Kołyscie mnie szumem, pocieszacie śpiewem,
Mówicie, że wrócimy i ja z wami wrócę,
Dziękuję wam, powtarzam za wami, że wrócę,
Choć wiem, że nie ma powrotu.

Ptaki we śnie

Dla Balińskiego emigracja była świadomym wyborem, racjonalną decyzją motywowaną sprzeciwem wobec pojaltańskiego świata, decyzją wspartą na ufności i wierze w polityczny i etyczny sens emigracji, wreszcie też decyzją uzasadnianą lękiem przed duchowym zniewoleniem. Na takim podłożu racjonalności budował Baliński swą aktywność w społeczności emigrantów jako publicysta, twórca, współorganizator instytucji życia kulturalnego. Nie przyjął nigdy brytyjskiego paszportu, miał tylko tzw. dokument podróży (*Travel document*), co automatycznie uniemożliwiało wjazd do kraju, konsekwentnie też odmawiał (do 1982 roku) zgody na publikacje swych książek w wydawnictwach krajowych, bo jak powiadał „pierwsze pokolenie emigrantów musi zachować twarz”, co oznaczało wierność przyjętemu etosowi emigracji politycznej.

Ale jeśli traktować emigrację jako antonim wspólnoty, to zerwanie więzi z losem zbiorowości siłą rzeczy też uruchamia wówczas problematykę kary, ofiary i zadośćuczynienia. Nieuchronności tej problematyki był Baliński szczególnie świadom w latach wojny. Wydany w styczniu 1942 roku poemat dramatyczny *Rzecz sumienia* w całości rozważał zagadnienie moralnego wymiaru oderwania:

Czy miałem prawo z kraju wyjechać bezpiecznie,
Gdy cały kraj w śmiertelnym był niebezpieczeństwie,
Czym tego prawa nie miał – a mą powinnością
Było zostać i wspólnie ponieść ciężar klęski?

Na tak sformułowane pytanie odpowiadał Baliński szeregiem argumentów mających potwierdzić słuszność decyzji, ale właśnie w t u l a c z e rozumianej jako ofiara i przyjęcie mściwego ciężaru losu upatrywał możliwość zadośćuczynienia. W latach powojennych ów niepokój sumienia czyniący z uchodźczej tułaczki słuszną karę za grzech oderwania, przerodził się w takie rozumienie sensu emigracji, które domagać się będzie zgody na widzenie własnego życia w kategoriach dobrowolnie przyjętego wyrzeczenia i ofiary. Zrzekł się Baliński możliwości turystycznego przyjazdu do kraju, podobnie odpowiadał na oferty krajowych wydawców. W liście do wydawnictwa „Czytelnik” pisał:

„(...) miałbym moralne prawo wydać swe wiersze w kraju tylko wtedy, gdybym na stałe do kraju wrócił. Pisarz – w moim przekonaniu – może drukować w kraju wtedy tylko, gdy w kraju przebywa na stałe i dzieli z innymi trudy i obowiązki pracy literackiej. Za emigrację pisarz musi ponosić ofiary. Niedrukowanie w kraju jest tą ceną, którą płaci”.

Podobnymi słowami akcentującymi „wielką osobistą ofiarę” odpowiadał odmownie Wydawnictwu Literackiemu w Krakowie.

A zatem rezygnacja z uczestnictwa w krajowym systemie komunikacji literackiej była, jak można wnosić z powyższego, decyzją nie tylko polityczną, zgodną zresztą z głośną uchwałą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, ale i rodzajem dobrowolnie przyjętego wyrzeczenia mającego walor pokuty za grzech oderwania. I tu otwiera się trzeci krąg samotności. Samotność moralnego rygoryzmu i samotność pisarza, którego wybory i preferencje estetyczne nieuchronnie tracą styczność nie tylko z krajowym systemem literackim, ale i ogólnie akceptowaną normą literackiej współczesności.

Baliński, świadomie lokujący się ze swą estetyką momentalnych wzruszeń w obszarze tradycji postromantycznej i wczesnoskamandryckiej, mógł w perspektywie powojennej, zmieniającej paradygmat literatury, wydawać się talentem li tylko odtwórczym, naśladow-

czym, epigońskim. Sam miał jasne widzenie własnej nieprzystawalności do reguł epoki i było to tematem sporej grupy wierszy zamieszczonych w ostatnim tomie. Jednakże metapoetycka refleksja, dyskurs estetyczny zajmują w nim dostatecznie wiele miejsca, by nie ulegać pokusie czytania tej twórczości li tylko w kategoriach postromantycznych imitacji. Baliński chciał być strażnikiem elementarnych wzruszeń, pogodnych pejzaży dzieciństwa, zatartych śladów przeszłości, bo w tym widział antidotum na schorzenia współczesnego świata. To jakby oczywiste. Ale diagnoza taka nie wyczerpuje bynajmniej rysującej się złożoności zagadnienia. Tym bardziej, że przykład Balińskiego nie jest w literaturze emigracyjnej zjawiskiem jednostkowym. W podobnej sytuacji oddalenia estetycznego, emigracji ze współczesności literackiej, znajdowali się wszak i Józef Łobodowski, i Jan Lechoń czy Tadeusz Sułkowski (by wymienić najważniejszych), poeci eksploatujący przede wszystkim poetyckie style przeszłości, wzorce wydawałoby się nadto już skonwencjonalizowane. O każdym z nich można by powiedzieć słowami Balińskiego: „Był oddalony od innych piszących wiersze poetów” (*Rozbitki*), a o wierszach ich, że były „obce realiom, wierne metaforze” (*Sonet* 1970).

Zatem zjawisko rygorystycznej lojalności wobec własnych poetyk i estetycznych preferencji, niezgoda na transformację, wnosi, jak można mniemać, problematykę bardziej złożoną niż sugestie inercyjnego samonaśladownictwa czy epigoństwa. Można tu bowiem znaleźć zarówno motywację *k u l t u r o w e* (obrona zagrożonych wzorców kultury poddawanych gwałtownej rewizji ideologicznej), *s o c j o l o g i c z n e* (użycie klisz wzmacnia poczucie wspólnotowości), jak i *p s y c h o l o g i c z n e* (dbałość o zachowanie spójności obrazu własnego ja). Konsekwencją tak pojmowanej wierności może być jednak tylko samotność. Ale ta, jak chciał Baliński, słusznie była wpisana w etos emigranta.

Janusz Kryszak

Leszek Szaruga

Wodna pieczęć (2)

10.

Czytasz w artykule Stanisława Mrówczyńskiego o nowym odkryciu fizyków: „W Zjednoczonym Instytucie Badań Jądrowych w Dubnej przeprowadzono we współpracy z kalifornijskim Lawrence Livermore National Laboratory niezwykle trudny eksperyment, w którym sztucznie otrzymany pluton 244 bombardowano bardzo rzadkim izotopem wapnia 48. Uczestnicy eksperymentu twierdzą, że w ciągu wielotygodniowych pomiarów udało im się zaobserwować pośród miliardów produktów najróżniejszych reakcji pozostałości po rozpadzie jądra o 114 protonach i 175 neutronach. Najbardziej zdumiewające jest, że owo jądro nowego pierwiastka żyło aż 30 sekund, nim wyemitowało pierwszą cząstkę alfa. Dla porównania odpowiedni czas dla jąder 112 elementu tablicy Mendelejewa

jest sto tysięcy razy krótszy. (...) Istnienie jądra o tak dużym czasie życia każe przypuszczać, że we wspomnianym obszarze stabilności mogą istnieć jeszcze trwalsze, czy też zupełnie trwale izotopy. A wtedy można już fantazjować o wytwarzanych sztucznie superciężkich materiałach, których własności trudno sobie nawet teraz wyobrazić”.

Jak zwykle, takie doniesienia uruchamiają twoją fantazję, pobudzają zmysł spekulacji. Już wyobrażasz sobie te niewyobrażalne produkty powstałe z tego, co jeszcze nie powstało, ale o czym wiesz z całą pewnością, że niebawem powstanie. Fascynuje cię to podglądanie nicistniejącego, zagłądanie w obszary, których nie ma, dotykanie czegoś, co jeszcze się nie zdołało zmaterializować, ale co, to nie ulega wątpliwości, już czeka na ciebie, nawet jeśli ty tego nie będziesz mógł doczekać.

11.

W drukowanym na łamach „Rzeczpospolitej” kolejnym odcinku „Dziennika pisanego nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego odczytujesz pochwałę postawy Gombrowicza, którego „niepowaga” uratowała przed popadnięciem w zupełną już śmieszność i zapomnienie byłych socrealistów, którzy, imając się za Mistrzem groteski i absurdu, jakoś się z pułapki ideologicznego kapłaństwa wydobyli. Czy się wydobyli naprawdę, o tym nie jesteś, przynajmniej w wypadku niektórych z nich, przekonany.

Przy okazji zauważasz, że po raz kolejny w *Dzienniku* Herling uszczypnął Kazimierza Brandysa za stalinowskich *Obywateli*: „Brandys swoimi *Wariacjami pocztowymi* do pewnego stopnia oczyścił się z żalonych *Obywateli*”. Do pewnego stopnia... Nie całkiem więc, nie do końca. Jakoś tak jakby się jednak nie oczyścił, pozostał oblepiony tym strasznym nawozem historii, w którym się był utyłał...

I chwilę potem – popatrz, co za przypadek! – odczytujesz w najnowszej książce Brandysa, *Przygody Robinsona*, stosowny fragmencik o Herlingu. No, nie tyle o Herlingu, ile o jego bracie. Ale jednak, dodajesz zaraz, mimo wszystko o Herlingu: „Odwiedzał mnie wuj Janek Rajgrodzki, który wkrótce potem zginął od szrapnela w domu na Okólniku, a raz pojawił się znany mi sprzed wojny adwokat Maurycy Grudziński, rodzony brat pisarza Herlinga-Grudzińskiego. Był to człowiek prawdziwie odważny. Sam będąc z pochodzenia Żydem działał w akcji «Żegota», niosącej pomoc ludziom ukrywającym się poza gettem. W czasie Powstania był oficerem AK w załodze elektrowni, a później w PRL sędzią Sądu Najwyższego”.

Fajny „kawalek”, myślisz i nagle w trakcie lektury uświadamiasz sobie, że to tyleż prawda, co nieprawda, gdyż narrator *Przygód Robinsona* mający wiele cech Kazimierza Brandysa, zapowiada od początku, że będzie w tej książce mowa o zwidach i majakach, jakie go, pogrążonego w chorobie, nawiedzały. I nie wiadomo, myślisz, czy ten Maurycy Grudziński z jaw czy z mar tu powstał. Dziwne to wszystko, myślisz, bo niby dlaczego to takie wyciąganie tego sędziego Sądu Najwyższego PRL. I kiedy w PRL? W latach pięćdziesiątych może? A może później, gdy to już nie było tak jednoznacznie obrzydliwe? I czy ten Grudziński to rzeczywiście brat rodzony. A jeśli nawet, dodajesz, to co w tym złego? A z drugiej strony jakby nie przypominasz sobie, by w *Dzienniku* Herling kiedykolwiek coś o tym Grudzińskim wspominał, czy choćby o bracie.

I czujesz, że ta seria pytań, że pojawiające się tu podteksty i konteksty zaczynają cię irytować, że irytuje cię ten – mimochodem jakby, po drodze, jakby nigdy nie – podrzucony Herlingowi przez Brandysa brat, istniejący czy nie istniejący, o to mniejsza, otóż że zaczyna cię on denerwować tak, jak wylaniający się nagle na planie sztuki aktor, którego obecności nigdy byś nie przewidywał i którego rola jest napisana z jakąś zjadliwą podstępnością wobec reszty uczestników spektaklu, wobec widzów również. Brandys (narrator Brandysa) powiada oto, że Herling ma brata Grudzińskiego. Po pierwsze:

„z pochodzenia Żyda”. Po drugie: „sędziego Sądu Najwyższego PRL”. Może narrator Brandysa, myślisz, nie wie, co mówi, ale Brandys, i owszem, wie nad wyraz dokładnie, bo przecież głupi nie jest, inteligentny, a namotał w strukturze narracji tak, że dobrać się do rzeczywistości skrytej pod „tekstem” nie sposób: postmodernistyczny ten Brandys w tym *Robinsonie* aż do bólu, myślisz sobie, a nikt ci tych myśli przecież prostował nie będzie, bo nie po to tą narrację się tu oto wysnuwa, by jej bohater miał mieć ułatwione życie. A niech się to wszystko pomiesza ze szczerem, odpowiadasz na podobne uwagi, w końcu mnie to nie dotyczy, a jeśli nawet, to wyłącznie w tym tekście, z którego mnie i tak nikt żywego nie wydobędzie.

12.

Czytasz w „Tygodniku Powszechnym” (1999 nr 18) omówienie *Listów do przyjaciół* Marii Kossak-Jasnorzewskiej, w którym Anna Nasiłowska pisze m.in.: „Oto 1 maja 1942 roku poetka pisze do męża tak: «Wpadłam na znakomity dowcip: że ksiądz nasiąkł Skorupką za młodu. To był, pamiętasz, ten waleczny ksiądz Skorupka, który był więcej żołnierz niż duchowny». Taka sobie gra słowna. Zresztą do podchwycenia, niejeden w Polsce ksiądz «Skorupką nasiąkł» i za młodu, i na starość. Jedni się uśmiechną, inni – nie. A co robi w tym momencie edytor? Jego obowiązki są jasne: powinien wyjaśnić, kim był ksiądz Skorupka, podać daty życia i encyklopedyczne dane, ewentualnie, dla mniej lotnych, przytoczyć przysłowie: „Czym skorupka za młodu nasiąknie...”. Pan Olszański zamieszcza taki przypis: „Miał to być dowcip (czyli jak mówiono – wic) pod adresem księdza Ignacego Skorupki, poległego pod Ossowem 14 VIII 1920. Śmierć za Ojczyznę na polu bitwy uważała Poetka pod wpływem żydowskich skamandrytów za bezsensowną”. Koniec cytatu omówienia, nie koniec, myślisz, sprawy, która się tu pojawia.

Zastanawiasz się, jak to możliwe, że w roku 1998 podobnie antysemickie wypowiedzi wciąż jeszcze są możliwe. Zastanawiasz się czy przypadkiem Kazimierz Olszański, który ów komentarz napisał, nie jest jakimś niezbyt dalekim krewnym Jana Olechowskiego, który w roku 1937 na łamach „Ruchu Młodych” pisał: „Poezja Tuwima nie jest i nie będzie klejnotem poezji polskiej. Może być tylko klejnotem poezji żydowskiej – nigdy polskiej, a to dlatego, że przynależność poezji to nie tylko talent, język, ale duch, sposób odczuwania wszelkich zjawisk, a w poezji Tuwima duch jest żydowski. Wiersze jego, podbijające talentem, budzą zawsze w Polaku wstręt psychiczny”. W Kazimierzu Olszańskim, jesteś tego pewien, wszelka poezja Skamandrytów – no, może poza poezją Jarosława Iwaszkiewicza, ale i to nie jest pewne, gdyż zapewne i ta twórczość przesiąkła „żydowskością” – choć być może nawet znamionująca talent, a nawet owym talentem podbijająca, daleka jest od polskości, cokolwiek przez polskość rozumieć, budzić musi wstręt i odrazę. Zastanawiasz się, w ilu jeszcze „badaczach” polskiej literatury drzemią, a nawet budzą się dziś z drzemki podobne uczucia. Biedna, myślisz, Poetka, niestety z owymi Skamandrytami powiązana, u której teraz owi „literaturoznawcy” tropić będą wpływy „żydowskich mizamatów”. U kogo jeszcze? – pytasz przerażony. Będziemy niebawem mieli, dodajesz, bycze literaturoznawstwo. I już układasz listę tych, którzy „z ducha żydowskiego”, których należałoby czym prędzej z Literatury Polskiej wygnać na Madagaskar.

Być może warto, zastanawiasz się poważnie, wzmocnić literaturę Madagaskaru. O Leśmiana choćby. O Tuwima. O Wierzyńskiego. O... O... O...!

13.

Wiesz dobrze, że w Polsce Żydem się zostaje z nominacji. Rzecz w tym, że nominacje te bywają dwójakiego rodzaju i to w jakiś sposób cię nawet bawi. Oto jedni wskazują cię palcem krzycząc „Żyd! Żyd!” i znaczy to tyle, co obcy, podczas gdy inni krzyczą

o tobie „Żyd!”, lecz w ich ustach oznacza to, żeś nasz, to znaczy ich. Najciekawiej się czujesz wtedy, gdy słyszysz to wezwanie-wyzwanie z obu stron jednocześnie. Wiesz bowiem doskonale, że w tym pierwszym wypadku ma ono charakter oskarżający i agresywny, gdy w drugim przeciwnie – stanowi akt samoobrony i samoorganizacji. Gdy ci dwaj Żydzi zostają ci wzmówieni, gdy obaj zatem zamieszkają w tobie zmieniając cię we własnego sublokatora, jesteś Żydem podwójnie i problem jedynie w tym, że owa podwójność, owo spotęgowanie, że wszystko to, nawarstwiając się i splatając nawzajem, przenikając i zespalając sprawia, iż zanika ta różnica, która dzieli te dwa zaimki dzierżawcze: nasz i ich – jesteś nasz i ich jednocześnie, a zatem tak czy owak jesteś nieswój.

14.

Nie życzysz sobie, by to powtarzano:

A GDY ZWYCIĘŻY OPCJA NARODOWA,
ZACZNIEMY POLSKĘ BUDOWAĆ OD NOWA!

15.

Z napięciem słuchasz wiadomości z wojny bałkańskiej. To, zdajesz sobie z tego sprawę, drugi podrozdział, drugi epizod „sterylnych wojen” – pierwszym była wojna w Zatoce. Oto obserwujesz, że w lokalne konflikty, rozgrywane tradycyjnymi środkami, wkracza ten trzeci, czy USA czy NATO to w istocie jedno, i „zaprowadza porządek” – posługując się bronią nie wymagającą bezpośredniego uczestnictwa tysięcy żołnierzy – elektroniczne środki, jakimi dysponuje lotnictwo, pozwalają niszczyć obiekty wybrane w zgrupowaniu wielu innych. Wiesz, oczywiście, że jeszcze nie jest to precyzja chirurgiczna, ale w porównaniu z tym, co było dawniej, jest to niewyobrażalna zmiana. Wciąż jeszcze jednak miesza się tu „czynnik ludzki”, czasami, jak to się teraz stało, zawodny: rozpoznanie wywiadowców wskazało jako obiekt ataku ambasadę chińską i w efekcie świat cały kilkanaście godzin nie był pewien czy Chiny nie zareagują w sposób nieprzewidywalny, a choć skończyło się, przynajmniej na razie, na gniewnych manifestacjach i jedynie politycznych gestach, rzecz godna jest zapamiętania, gdyż wskazuje, jak dalece przypadek może zmienić stabilną, wydawałoby się, sytuację i jak to, co przewidywalne, zmienić się może w niewiadome. Zdajesz sobie przy tym sprawę z faktu, iż to na razie tylko wstęp, tylko ćwiczenia próbne, testowanie nowych środków i możliwości. Pełen podziwu dla tego, co niesie ze sobą rozwój technologii, zaczynasz się jednak obawiać o przyszłość, o to, kto, kiedy i dlaczego będzie decydował o tym, iż w dany lokalny konflikt wolno się wtrącić, by dokonywać „korekt demokratyzacji”. Zastanawiasz się, jak wobec tych możliwości technicznych, jakimi dysponują wielcy tego świata, małe kraje mogą zachować choć minimum niezależności, suwerenności. Tak, wiesz dobrze, że organizacja państwowa jest tworem przejściowym, że prędzej czy później te struktury ulegną jeśli nie likwidacji, to przemianie – już zresztą ulegają – ale wizja Wielkiego Brata regulującego wszystko, od rytmu oddychania po procesy trawienne, nieco cię przeraża.

16.

Przeczytałeś *Madame* Antoniego Libery, powieść, która została nominowana do najważniejszej nagrody literackiej w Polsce i która pobudza krytyków różnych szkół i orientacji – co chyba dobrze – do okrzyków zachwyty: zachwyca się Tomasz Burek i zachwyca się Mirosław Dzień. Zachwyt tego ostatniego nieco cię zdumiał, gdyż pisze on, dążąc chyba do odfabularyzowania powieści: „W końcu pojawia się opowieść o KPP i wojnie w Hiszpanii, dla mnie osobiście trochę niepotrzebna, choć staram się zrozumieć racje kon-

strukcyjne autora przemawiające za jej umieszczeniem”. Zaskakujące to „trochę niepotrzebna” i zaskakujące, dodajesz, owe „racje konstrukcyjne”, ale starasz się zrozumieć racje Dzieńca, poety urodzonego w roku 1965, dla którego cała sprawa wojny hiszpańskiej – zapewne też nudzi go *Komu bije dzwon* Hemingwaya oraz Orwell – jest jakąś niebywałą prehistorią, w dodatku owej prehistorii nic nie znaczącym epizodem. Dzieńca w ogóle chyba nie interesuje, myślisz, społeczna i historyczna tożsamość wykreowanego przez Libere bohatera i czas akcji też jest mu obojętny. To dla niego, dodajesz, książka o chłopcu, który chce być Artystą, a nie o młodym, w jakiś tam sposób zainteresowanym terazniejszością i poprzedzającymi ją wypadkami, a zarazem trochę zbuntowanym chłopcu. Zabawne to niebywale – odnotowujesz swe wrażenia z tej inteligentnej recenzji – i jednocześnie w jakiś sposób przerażające: owa niewrażliwość na materię, jaką wypełniony jest czas, na owo mięso życia, jakim wszak musi obrosnąć wszelka „racja konstrukcyjna”.

Czytając różne omówienia książki Libery (która to książka podobała ci się dość średnio: owszem, dobrze napisana, lecz jednocześnie rażąca koturnem, artystycznym patosem, wysileniem, pozą, eksponowaniem literackich „szwów”, może nawet nadęciem) natrafiasz nagle na felieton Jana Gondowicza w „Nowych Książkach”, w którym czytasz co następuje: „Narrator wspomina odległe już lata szkolne, gdy jego wyobraźnią zawładnęła nauczycielka francuskiego. Nagle, w obłoku perfum, szumie świetnych kreacji tudzież zmysłowym warkocie najpiękniejszej mowy, wprost z serca wytęsknionej Europy wkracza w chłopięcy świat prawdziwa dama. Tajemniczą pół-Polkę otacza, co oczywista, jawna niechęć środowiska; już wkrótce narratora ogarnie za jej sprawą groźny cień spraw politycznych. Uderzająco piękna, tuż po trzydziestce, Madame rozacza urok dojrzalej kobiecości, zdając się nie dostrzegać wlepionych w nią oczu zakochanego chłopca. Tocząc przegraną z góry walkę o jej wzajemność (albowiem odejdzie z innym), narrator uświadamia sobie powołanie: zostanie pisarzem. Młodzieńcza miłość da mu klucz do świata uczuć wzniosłych i wyżyn kultury romańskiej, do spraw ludzi dorosłych. Jednakże i szorstki sposób bycia nauczycielki nie oznacza obojętności. Świadczy o tym incydent na próbie szkolnego spektaklu *Cyda*. Nastąpi też kilka zawoalowanych lekcji pisarskiego fachu. Po długo oczekiwanym spotkaniu w cztery oczy, gdy odważył się na wyznanie, pozostanie mu chusteczka, z której po latach ulotnił się niemal zapach francuskich perfum... Powieść nosi, rzecz jasna, tytuł *Madame*. Nie jest to jednak powieść Antoniego Libery, wyróżniona główną nagrodą w zeszłorocznym konkursie Wydawnictwa «Znak». Ta *Madame* ukazała się w roku 1963, a jej autorem był znany krytyk filmowy, Aleksander Jakiewicz”.

Pomyślałeś sobie, że chyba za dużo czytasz.

17.

Jesteś jednak fanatycznym lekturnikiem. Czego szukasz w tych książkach i gazetach, w broszurach i ulotnych pismach, w arkuszach poetyckich i grubych, zakurzonych foliach? Siebie szukasz? Szukasz wiedzy o świecie, niewiedzy o świecie? Szukasz słów odpowiednio dodanych do rzeczy, pięknych zdań, magicznych formuł?

Nie wiesz czego szukasz. I wiesz o tym, że nie wiesz czego szukasz. Ale że szukasz, to wiesz. Ale że znajdujesz, tego nie wiesz. A znajdujesz przecież. Tyle, że to, co znajdujesz, jest niepochwytne, niepojęte, nienazwane choć zarazem jest ono przecież aż boleśnie odczuwalne i zdumiewająco konkretne.

Zastanawia cię własna bezradność – czy to dobre słowo? – wobec tego czego szukasz i wobec tego co znajdujesz nie wiedząc o tym, że to odnalazłeś gdyż być może było inaczej i to czego szukałeś samo cię odnalazło, obezwładniło, spętało, zaplotło w sieci nie-domówień, niedopowiedzeń, niejasności.

I oto mówisz coś niejasnego choć zarazem realnego w akcie mowy, w dźwięku zgłoszek, w rytmie melodii i to coś cię niesie w przestrzenie, których istnienia nie umiałeś wcześniej a i teraz nie bardzo potrafisz rozpoznać, a które są przestrzeniami, które zawsze cię przenikały, które związywały cię w sobie.

I oto zapisujesz – swoimi słowami, cudzymi słowami – świat, który nie jest światem gdyż się światu wymyka i który jest światem gdyż świat w sobie więzi, tworzysz świat słów przez słowo świata, w słowie świata w słowa niepochwytnego, by się dowiedzieć, że to słowo wymyka się słowu i słowo słowo więzi.

18.

Wodna pieczęć słowa rozplywa się w strumieniu mowy – wiesz o tym: w życiu, w rzeczy Heraklita, dopływie Lety.

19.

Ze zdumieniem dowiadujesz się o istnieniu memetyki, nauki o rozprzestrzenianiu się informacji kulturowej. Powiada w „Polityce” specjalista, Mariusz Biedrzycki: „Zespół neuronów to fizyczny nośnik informacji, *mem* – sama informacja, która się powieli (...). Przyjęło się uważać, że człowiek jest istotą twórczą i *de novo* tworzy jakieś informacje. Ale jeśli dokładnie przyjrzeć się dziedzinom, które uchodziły za domenę twórczości, np. wynalazczości czy formułowaniu koncepcji naukowych, to okazuje się, że działa tu dobór naturalny, że następuje rekombinacja starych idei i najlepsze z tych zrekombinowanych idei przechodzą do następnych pokoleń”. Dowiadujesz się przy okazji, że „najlepsze” to nie znaczy „najdoskonalsze”, że i tu, jak wszędzie, gorszy towar wypiera lepszy, że w gruncie rzeczy **kultura jest postępem regresu** (to twoja teza!). Dziwne to wszystko, myślisz, i warto się zastanowić, skąd się wzięły te wcześniejsze idee, te „stare idee”, które ulegają rekombinacji, czym były więc „pierwsze idee” i czy istnieje w przestrzeni tych rozważań jakaś *prote hyle*, „pierwsza materia”, która byłaby początkiem, czy też tylko tak się dzieje, że idee kultury powstały w długim procesie rekombinacji z genetycznego materiału informacyjnego zakodowanego w kwasie dezoksyrybonukleinowym. Jak z tego powstały sonety Szekspira czy IX Symfonia Beethovena, trudno sobie wyobrazić, lecz zapewne tak właśnie rzeczy się mają, tak zapewne jest, że ziarna sonetów Szekspira wpisane są w materiał informacyjny tego znikomego niczego, co ujawniło się w Wielkim Wybuchu – sonety Szekspira są zatem i zawsze były wpisane w istnienie Wszechświata, stanowiły jego niezbywalny element i być może, myślisz sobie, takiego faceta jak Szekspir mogłoby nie być, gdyż i tak byłby taki facet jak Szekspir. Ale jeśli tak, kontynuujesz swe rozważania, to w porządek wszechświata raz na zawsze wpisane są wszystkie zachowania, twoje obecne stukanie w klawiaturę tego właśnie a nie innego komputera, twoje zaprzestanie stukania, twoje chce i twoje nie chce mi się. Wszystko jest raz na zawsze zapisane i cokolwiek byśmy robili, i tak wcielić będziemy w życie jakiś niezależny od nas plan istnienia. A z tym, prawdę mówiąc, nie bardzo potrafisz się zgodzić, choć wiesz, że ta twoja niezgoda jest tylko kolejną rekombinacją starych idei.

20.

Bardzo to niebezpieczne, myślisz, przekraczać granice, poza którymi ucukrowany do robek wicków rozmywa się w smudze nieuporządkowanej, niedojrzałej współczesności. Każda współczesność, wiesz o tym, jest niedojrzała, a już na pewno współczesność młodości, objawiająca się często w formach półpłynnych, niepochwytnych, dopiero się kształtujących. Lecz z drugiej strony, dodajesz, właśnie owa współczesność jest rzeczywistym, żywym punktem odniesienia dla przeszłości, dla tego, co dzisiaj z niej odczytujemy, na

co w niej jesteśmy uwrażliwieni. Widzisz więc ryzyko, ale też i zalety konfrontacji tego co minione i ukształtowane z tym, co się dopiero staje, co dopiero poszukuje formy, co – wyrastając z podglebia dziejowych dokonań – jest jednocześnie manifestacją wrażliwości nowego czasu. Zdajesz sobie sprawę z faktu, że zderzenie tych dwóch stanów rzeczy – w tym wypadku tych dwóch tonacji poetyckich – na swój sposób zarazem pomniejsza i powiększa to, co nowe odejmując mu wartości i jednocześnie wartości dodaje. Bo jakże – zastanawiasz się – ma wytrzymać konfrontację z Kochanowskim czy Leśmianem, a choćby nawet z Zagajewskim czy Pawlakiem ktoś, kto niemal nie posiada poetyckiego dorobku, kto, urodzony, jak Ewa Zielińska, w roku 1970, nie wykształcił, bo niemal nie miał szansy wykształcić (tacy jak Wojacek należą do wyjątków już w chwili startu są ukształtowanymi) własnej dykcji. I jakże to ryzykowne dwa – tylko dwa – wersy wierszyka „Miłość” Zielińskiej dołączyć, jako puentę, do ciągu poetyckich miłosnych wyznań rozpoczynającego się w XV stuleciu. Te dwa wersy:

klujesz mnie jak osa
nie więcej.

Jaką szansę mają te dwa wersy – pytasz – jaką szansę daje im antologista, Włodzimierz Bolecki, który właśnie ułożył tom *Snuć miłość... Polska poezja miłosna XV-XX w.*? Kim będzie za lat dziesięć, za lat dwadzieścia autorka tego dystychu (haiku?) wieńczącego pięć wieków lirycznego dyskursu o miłości – zadajesz to pytanie wiedząc, że jest ono pytaniem retorycznym. Ale zadajesz je nie poezji, która tu została ukazana, lecz antologiiście, którego kryteria nie wydają ci się do końca jasne i czytelne. Pytasz dlaczego znalazł miejsce dla autorów, których byt w polskiej poezji wciąż jeszcze jest niepewny, niepochwytny, nieokreślony, a nie znalazł miejsca dla tych, którzy, jak Stanisław Piętak czy Arnold Ślucki, jak Joanna Pollakówna czy Barbara Sadowska, należą do twórców nie tylko uznanych, lecz także oryginalnych, w pełni ukształtowanych.

Wiesz, oczywiście, że z każdym antologistą można się spierać do upadłego, że każdy inaczej wyznacza granice współczesności i każdy w doborze współczesnych kieruje się już tylko własnym gustem, bo przecież ma do czynienia z materią wciąż jeszcze nieukształtowaną i wiesz też, że jedynym argumentem, jaki możesz przeciwstawić antologiiście jest zaprezentowanie własnego wyboru. Ale też burzy się w tobie wszystko przeciw temu, by – mimo wszystko, mimo relatywizm współcześnie obowiązujący i swoistą nonszalancję w traktowaniu utworów literackich przezywanych „tekstami” – tak już zupełnie zamazywać granicę między tym, co jest niekwestionowanym dorobkiem piśmiennictwa a tym, co dopiero stanowi pisarską próbę. Wiesz bowiem, że dystychowi Mickiewicza ufać możesz nie tylko dlatego, iż cię po prostu zachwycił, lecz także dlatego, iż za tym dystychem stoi cała jego, znana ci lub tylko ci oznajmiona, poetycka wielkość. Dystych Zielińskiej, jeśli sam się nie uzasadnia – w twoim przekonaniu nie broni się on ani sam, ani w kontekście, w jakim został przytoczony – niszczy, zwłaszcza przez swe miejsce w tomie, całą książkę. Szkoda, myślisz, bo pomysł był znakomity – wystarczyło jedynie zatrzymać się dwie generacje wcześniej.

21.

Jak dasz sobie radę z drugą osobą? Druga osoba pozostaje dla ciebie tajemnicą, jest tajemnicą dla każdego. Jak więc możesz sam siebie stawiać w położeniu drugiej osoby, tą drugą osobą oddzielać się od pierwszej, poddawać siebie samego próbie dystansu? Jak dojdiesz do siebie przez tą drugą osobę? I czy ona się w tobie odnajdzie? Stawiasz te pytania nie wiedząc w istocie komu je stawiasz, gdyż będąc tą drugą osobą jednocześnie nią nie jesteś. I jeśli mówisz przez drugą osobę, mówisz do siebie przez siebie nie do końca rozumiejąc do kogo i przez kogo mówisz. Nie rozmawiasz z sobą, lecz jedynie sobą mó-

wiesz do siebie, a zarazem nie bardzo rozumiesz, co to znaczy mówić sobą. I kiedy tak pytasz i nad tym wszystkim się zastanawiasz, przestajesz być sobą, dochodząc do siebie jednocześnie od siebie odchodzisz. Tracisz z sobą kontakt, wymykasz się sobie samemu. Twoje słowa przestają być twoimi słowami, odzyskują swą autonomię, dziwią się tobie i ty im się dziwisz. Wiesz zatem, że nie wiesz, co mówisz, lecz jednocześnie wiesz przecież, że mówisz o tym, iż nie wiesz, co mówisz. Zaczynasz się plątać w formułach, w coraz bardziej skomplikowanych konstrukcjach, w których mieszają się poziomy językowe, w których twa własna mowa zastawia na ciebie pułapki, wplątuje cię w grę, której reguły, wciąż zmienne, stają się niejasne, niepochwytne, niezrozumiałe. Odnajdujesz sam siebie, gubiąc się w tym wszystkim, w jakiejś nowej, nieznaney ci dotąd przestrzeni, wchodzisz do gry, której stawka nie jest ci znana, w której być może nie ma żadnej stawki, ale która zaczyna cię bawić, wciąga cię w obszar wzajemnie przekazujących cię sobie luster ustawionych tak, iż odbicie odbicia odbija się w kolejnym odbiciu poprzednich odbić, w którym więc nie wiadomo, gdzie ty sam, będąc wszędzie, się znajdujesz. Będziesz się tu szukał bez końca.

Dramat zatem powstaje, w którym szukasz siebie przez jakieś „ja”, owo „ja” zaś zostaje niepochwytne w powtarzanych bez końca, nakładających się na siebie i z sobą zderzających echach twego własnego głosu, który, wiesz o tym dobrze, jest twoim głosem i zarazem twoim głosem nie jest, gdyż „ja” tego „ty”, jakie się w przestrzeni tego tekstu pojawia jest z owym „ty” tożsame i jednocześnie tej tożsamości musi się wypierać w imię zachowania własnej autonomii, w imię ocalenia swej egzystencji. Kim więc jesteś, nie jesteś w stanie powiedzieć.

22.

Jak to właściwie jest, pytasz sam siebie i innych o zasady życia literackiego w Polsce: jest jakieś mafijne centrum, które raz na zawsze określa to, co się liczy czy też tego centrum nie ma? Nie wiesz już, jak to naprawdę jest, wiesz jedynie, że wszyscy jak umówieni wciąż powtarzają historie o „warszawce”, która decyduje zawsze o wszystkim. Tak też czytasz w kanadyjskim, wydawanym w Toronto *Liście Oceanicznym* w artykule Czesława Białczyńskiego narzekającego na niedocnienie wierszy Szubera: „W Warszawie, która jest zapatrzona sama w siebie jak Bazyliśzek w zwierciadło, w której wszyscy wiedzą najlepiej, co być powinno a co nie, co jest dziełem i tak dalej, nikt nie kiwnął palcem, żeby spełnić podstawowy obowiązek wobec społeczeństwa – poszerzyć zasób jego duchowych wartości, wprowadzając poezję Szubera we wspólny obszar komunikacji. W Warszawie działalność kulturalną Polonii traktuje się z pogardą lub pobłażaniem. W ten sam sposób patrzą tam zresztą na całą resztę Polski”. Czytasz te słowa i zdumiewasz się coraz bardziej: wszak pochwałę Szubera wygłosił niedawno na łamach warszawskiej „Rzeczpospolitej” a wcześniej podczas uroczystości wyróżnienia go przez Fundację Kultury warszawiak Antoni Libera, zaś pierwszą recenzję o Szuberze opublikował w „Kulturze” także warszawiak, podpisujący twój tekst. Ale mniejsza o to, myślisz, gdyż chodzi o rzecz jakby ogólniejszą, o to mianowicie, czy owa „warszawka” naprawdę decyduje o wszystkim. Rozglądasz się i nagle poza „warszawką” dostrzegasz „krakówek”, obok zaś grupkę skupioną wokół „Frondy”, jeszcze gdzieś salonik „pobruLionowy”, nie dostrzegasz zatem jednego tylko centrum, widzisz też ośrodki lokalne, coraz większą rolę odgrywające w kraju. Skąd zatem, pytasz, owo przekonanie o tym, że jest jedno tylko, właśnie jakby mafijne, centrum decydujące o honorach i nagrodach, dlaczego ten mit tak jest uporzędkowany? A może, dodajesz, to jednak nie jest mit, może rzeczywiście polska kultura dławiona jest i deformowana przez jakiś tajny spisek?

Leszek Szaruga

Ujrzane, w czasie zatrzymane (3)

ODWIEDZIŁEM W PRACOWNI ZNANĄ GRUZIŃSKĄ MALARKE – Helenę Achledziani. Wiekowa pani szczyła się przyjaźnią z czasów paryskich studiów z Matissem, Miró, Picassem. Stałem przed szerokim oknem, prawie na pół ściany, wysłuchując opowieści o dawnych, dobrych czasach i ze zdziwieniem dostrzegłem, że horyzont zamyka łańcuch wysokich, ośnieżonych szczytów. Skalisty grzebień ciągnął się po północnej stronie, co mnie zdziwiło. – Z naszej perspektywy skaliste pasma zawsze ciągną się na południowym horyzoncie. „To jest Kaukaz!” – wyjaśniła starsza pani. – „Kamienista ściana, która osłaniała nas przez całe wieki przed mongolo-ruskim barbarzyństwem. Jak przed stuleciami mieszkają tam wolne, górskie plemiona: Osetyńcy, Inguszwowie, Kabardyńcy, Czeczeńcy...”. – Góry Kaukazu! Przed oczyma stanął mi Lermontow: „Praszczaj niemytąją Rassija, strana rabow, strana gospod, i wy mundiry galubyje, i ty im priedannyj naród. Byt mozet za stienoj Kawkaza ja skrojus ot twoich paszej, ot ich wsio widzieszczewo głaza, ot ich wsio słyszaszczych uszej...”. Młody Lew Tolstoj i Czeczeńcy, później *Kozacy*, i pisana pod koniec życia książka chorego sumienia *Chadzi Murat...*

Do Tbilisi dotarłem wieczorem samolotem z Odessy, z międzylądowaniem na Krymie. Był grudzień 1972 roku, ale słońce stało tu wysoko nieczym u nas w sierpniu. Stolica Gruzji leży na szerokości geograficznej Rzymu. Ta sama kraina winorośla, ciemnych cyprysów i pinii. Ziemia rudawa, powulkaniczna, wypalona przez słońce, jak gdzieś pod Neapolem. Jednak to grudzień, tutejsza jesień. Miałem to szczęście, że w Moskwie do stałem kontakt, jak się okazało, z wybitnym malarzem gruzińskim Giwi Ceradze. Dziś Giwi już nie żyje. Myślę, co się stało z ogromnym obrazem Waliszewskiego, który wisiał w jego salonie. W kolorystyce podobnej do malarstwa Ceradze.

Giwi edukację mojej osoby (biorąc mnie za naiwnego „zapadnika”) prowadził w dwóch kierunkach: odwieczny problem Rosji, jako kraju atawistycznie imperialnego oraz – Gruzji, kraju o starożytnej, wysokiej kulturze, duchowo związanej z Europą. („Z Tyflisu zawsze było bliżej do Paryża niż do Moskwy” – tłumaczył mi przy okazji wizyty u Achledziani). Temat Rosji powracał do nas jak bumerang przy każdej okazji. Giwi miał typowo gruzińskie poczucie wyższości wynikającej z historii Gruzji, sięgającej mitycznej Kolchidy, i starożytności chrześcijaństwa „A żywotność, inteligencja, uroda Gruzinów?” – zapytywał. – „Dlaczego nasi chłopcy wracają ze studiów w Moskwie tacy wycieńczeni? Bo Rosjanie to alkoholicy, a więc impotenci. Dlatego żadna Rosjanka nie przepuści naszemu chłopcu”.

Ceradze oprowadzał mnie po tbiliskich świątyniach, z przepięknymi freskami sięgającymi średniowiecza i wskazywał miejsca, które uległy przemalowaniu, gdy za cara Aleksandra I Gruzję przyłączono do imperium. Były bowiem niezgodne z rosyjską, prawosławną ortodoksją. Odwiedziliśmy też budynek dawnego seminarium duchownego (gdzie był seminarzystą niejaki Józef Dżugaszwili) – muzeum gruzińskiej sztuki. Doskonałość ikon, krzyży, naczyń liturgicznych oprawionych w pociemniałe srebro, stare złoto, wysadżane drogimi kamieniami była zachwycająca. Ażeby przypieczętować to wrażenie Giwi zaproponował mi wycieczkę do stolicy starej Gruzji, do Mcheti. Zachowała się tam świątynia w stylu bazylikowym z początku XI stulecia.

Okazało się, że wycieczkę odbędzie rządową Czajką, w towarzystwie dwóch kulturalnych panów. Nie wiem, czy Szewarnadze był wówczas przy władzy, ale moi towarzysze byli swobodni i na luzie. Na wstępie pochwalili urodę Polek, ale zastrzegli się, że Amerykanki chyba są ładniejsze (mieszanka ras). W tamtych czasach do USA podróżować mogli tylko wysoko postawieni „czynownicy”. Wywiedziawszy się ile Polska liczy ludności, jednogłośnie orzekli, że gdyby tyle było Gruzinów – cała Rosja należałaby do nich!

Przed Mcheti wjechaliśmy na górę, gdzie zachowały się ruiny klasztoru z VI stulecia. Klasztor zwał się Dźwari, co oznacza Krzyż. Widząc u swoich stóp zlewające się w jedno koryto dwie święte gruzińskie rzeki: Aragwi i Kurę, gospodarze opowiedzieli mi starą legendę. – Kiedy Stwórca rozdawał ludom ziemię, Gruzini w tym czasie uctowali. Kiedy wreszcie zjawili się przed Bogiem, nic już do podziału nie było. Wówczas podarował im to, co zachował dla siebie.

Zjechaliśmy w dół, do kamiennej gospody. Po ścianie po głazach spływała woda, na kamiennym palenisku buzował ogień. Gliniane naczynia, lekkie chłodne wino, pikantnie przyprawione mięso, dużo świeżych pachnących ziół. Kwieciste gruzińskie toasty z których jednoznacznie wynikało, że Gruzini i Polacy to narody waleczne, kochające wolność i gościnność...

Przy ruinach klasztoru Ceradze spotkał swego przyjaciela, wybitnego profesora-chirurga. Zaprosił on nas na jakąś rodzinną uroczystość. Mogłem więc wyobrazić sobie, jak wyglądały XIX-wieczne salony i przyjęcia. – Obszerne mieszkanie zawieszane od góry do dołu starymi obrazami: europejskie malarstwo XVIII i XIX-wieczne. Obok obrazy Giwi Ceradze: namiętna, południowa kolorystyka, rozmach i zarazem lekkość ręki. Na początku koncert. Profesor śpiewa pięknym tenorem, jego urodziwa córka akompaniuje przy fortepianie. Przyjęcie. Salon-jadalnia. Biało zasłany stół na całą długość pokoju. Stara porcelana, kryształy. Potrawy gruzińskie, dużo zieleniny i przypraw. Lekkie wytrawne wino. Południowe owoce. Młodzież urodziwa, swobodna w obyciu, ale przestrzegająca form salonowego rytuału. Chłopcy w ciemnych garniturach i olśniewająco białych koszulach. Dziewczęta w koronkowych sukniach.

Następnego dnia miałem okazję zwiedzić prywatne muzeum, które zorganizował i prowadził starszy, smutny pan. Muzeum poświęcone znanemu gruzińskiemu scenografowi (nazwisko wyleciało mi z pamięci). Kształcił się on, oczywiście, w Paryżu. Kustosz tego jedyne go zapewne w Sojuszu prywatnego muzeum, doskonale znał twórczość Mickiewicza. Szczególnie cenil *Dziady* i utwory poświęcone Rosji za ich wieczną aktualność. Zacytował wiersz Borysa Pasternaka: *Trawa i kamienie* – „Z rzeczywistością – iluzję, /roślinność – z granitu bryłą, /Tak zespoliły Polska i Gruzja, /Że to obydwie spokrewniło”. – Widzi pan, tłumaczył mi z zapałem, wy Polacy i my Gruzini, choć łączymy rzeczywistość z iluzją, jesteśmy „niezniszczalni jak trawa, która wybija się z każdej kamiennej szczeliny, spod każdej ściany”. „I kwitniemy pędami życia i zieleni”, ale, jak pisze Pasternak, naszym znamieniem „jest dziejów ruina krwawa”. I to wspaniałe zakończenie: „Gdzie z dumną lirą Mickiewicza/Mowa się tajemniczo mierzy/Gruzji królowych, królewiczów/Z bazylik, zamków i alkierzy” (fragmenty w tłumaczeniu Leopolda Lewina).

Powrót do Rosji. Tym razem pociągami, wielodobową trasą do Moskwy. Dzielę śleping z Gruzinem, jakimś ważnym urzędnikiem. Towarzysz na wieść żem Polak, stawia butelkę różowego, gruzińskiego szampana, którego w Moskwie nie uświadczysz. Gdzieś tam za oknami migają skaliste zbocza Kaukazu zamieszkałe przez górskie plemiona, które nigdy nie ugięły karku przed Rosją. Nasz sleepingowy opiekun, Rosjanin, wciąż zatrzymuje mnie w służbowym przedziale częstując gorącym czajem, a potem wódeczką, aby dopominać się rewanzu. Wypytuje co myślę na temat rosyjsko-chińskiego konfliktu. „Po czyjej stronie stanie Europa, gdy Rosji zagrozi żółte niebezpieczeństwo” – chytrze

prowadząc wiwisekcję mojej pijanej duszy. Ale ja też jestem chytry i bredzę o słowiańskiej wspólnotcie.

Wracam do mego Gruzina i widzę za oknami przerażającą monotonię, błotnistą, żółtą i płaską, i ni z tego, ni z owego – wyskakujące stado szarych kuropatw-chalup. Między nimi, po szerokiej drodze, po kolana w błocie brodzi w gumiakach ruska (ukraińska?) babina. Tłumaczę memu towarzyszkowi, że Rosja to straszne miejsce. Ani to Azja, ani Europa. Wszystko zlachmanione, nijakie. I Europa zapłaci swą straszną cenę za to, że zaraziła ten kraj swą oświeceniową, racjonalistyczną utopią ludzkiej szczęśliwości. Mój Gruzin potakuje. Potem w Moskwie zawiezie mnie służbowym samochodem do hotelu, tłumacząc coś po gruzińsku kierowcy. Wiadomo, naiwny człowiek spoza Sojuszu...

I któż by przypuszczał w tym breżniewowskim 1972 roku, że niebezpieczeństwo grożące Rosji przywdzieje się w strój odradzającego się islamu? I że jest na wyciągnięcie ręki za oknami ekspresu Tbilisi – Moskwa?

WIKTORA WOROSZYLSKIEGO POZNAŁEM gdzieś na początku lat sześćdziesiątych. Wracalem z Moskwy i miałem mu przekazać od rosyjskich przyjaciół jakąś zakazaną książkę i mikrofilmy niedostępnych lektur. Potem wielokrotnie służyłem mu pomocą, przewożąc z Leningradu wiersze Josifa Brodskiego (w tłumaczeniu Wiktora ukazały się one we wrocławskiej „Odrze”), a ostatnio, w 1988 roku plik wierszy czuwaszkiego poety Gienadzija Ajgiego. Była to jego ostatnia praca tłumacza.

Umówiliśmy się w kawiarni ZLP. Sądziłem, że łatwo poznam tego „polskiego Majakowskiego”. Po dłuższym daremnym wyczekiwaniu wskazano mi siedzącego samotnie blondyna o miękkich, „poduszkowatych” rysach twarzy, o wyraźnie kresowej urodzie. Spoza okularów („rewolucjonista i okulary!”) błyskały dobrotliwe, trochę ironiczne oczy człowieka raczej skłonного do zamyśleń, targanego wewnętrznymi wątpliwościami, aniżeli upartego don Kichota walki. A przecież, jak się potem okazało, na każdych zjazdach ZLP, to on właśnie organizował opozycję walczącą o niezależność związku pisarzy. Nic więc dziwnego, że jako pierwszy został internowany i najdłużej trzymano go w tym generalnym internacie. Wówczas to Jerzy Zagórski rzekł obrazowo: „Oni tak łatwo jego nie wypuszczą. Wiktor jest tą twardą szczęką na której wszystko się opiera”.

Później, gdy Woroszylski występował w Gdańsku: u oo. dominikanów czy u Świętej Brygidy, zawsze towarzyszyli mu „smutni panowie”. Nicodmiennie cytowali oni wiersze młodziutkiego poety sławiące komunizm i Stalina. Naocznie widzieliśmy więc tę zapiekłą pamiętliwość wielkorządów PRL-u wobec poety, który przeszedł tak znamiennej i pouczającej duchową metamorfozę. Jak sam Wiktor wielokrotnie powtarzał, Powstanie Węgierskie 1956 roku, stało się tą ostatnią kroplą goryczy. Oczy zaczęły mu się otwierać już w Moskwie, podczas studiów w Instytucie Literackim. Poznał tam plejadę młodych rosyjskich poetów i prozaików. Później w Moskwie często pytali oni o Witka. Świadkiem tej ewolucji był poeta i tłumacz francuskiej i polskiej poezji Alik Rewicz, przyjaciel Janki i Witka Woroszylskich. Również mój bliższy znajomy.

Początkowa fascynacja poezją Majakowskiego oraz studia moskiewskie sprawiły, że Woroszylski stał się wielkim znawcą literatury rosyjskiej. Interesowała go przede wszystkim walka o duchową wolność pisarzy toczona w warunkach carskiej despotii. Zainteresowanie rosyjskością jest dla mnie zrozumiałe. Podobnie jak ja wyrósł on na styku nacji i kultur: urodzony w Grodnie w 1927 roku, które opuścił dopiero po wojnie.

Jako człowiek Wiktor był niebywale lojalny i przyjacielski, z tą swoją wytrwałą i wyraźną powściągliwością, a jednak przyjaźnią. Był malomówny i nie wylewny (rzecz to rzadka wśród twórców: umieć słuchać innych). Jego oczy, jakby wbrew owej zasadniczości, która znamionuje natury pryncypialne aż do skrajności, mówiły więcej niż Witek chciałby zdradzić.

Były miękkie, łagodne, choć, jak rzekłem, z pewnym smętkiem ironii, czy autoironii.

Wiktor posiadał też ogromny krąg przyjaciół, bliższych i dalszych, że czasami odnosiło się wrażenie, iż ich kolekcjonuje w celu tylko sobie wiadomym. – Żeby wpływać na bieg wydarzeń? – Żeby znać swe czasy, a więc ludzi? W ostatnich miesiącach życia tajemnica ta jakby się wyjaśniła.

Gdy byłem w Warszawie czułem się dotknięty, jeśli ominąłem jego gościnne progi na Żoliborzu. Częściowo też jego opinii – zawdzięczam nagrodę literacką Fundacji Kościeliskich. Lecąc po nagrodę, z żoną zanocowaliśmy na Żoliborzu. Jakże był zawiedziony, gdy wracając z Zachodu, po raz pierwszy poznawanego, pognaliśmy z lotniska wprost do Gdańska. Kiedy raz jeden zaproponował mi, żebym się podpisał pod jakimś protestem pisarzy warszawskich, a ja po dłuższym wahaniu odmówiłem (będąc zatrudniony w pedagogicznej uczelni, po przyjeździe ze Śląska dosyć osamotniony w Gdańsku, no i ta trójka dzieci...). Wiktor nigdy do tego tematu nie wracał. I nikt poza nami dwoma, jak mniemam, do dziś o tej sprawie nie wiedział.

Z wielką radością obserwowałem z dala jego autentyczną konfesję, gdy pod koniec życia stał się człowiekiem dramatycznie przeżywanego wiary. Gdy dościgała go ciężka choroba, nawet wówczas odpisywał na każdy list (wbrew powszechnemu polskiemu schamieniu, Wiktor odpowiadał na każdy list, na każdą wysłaną mu książkę). Nie wiem czemu to zawdzięczam, że gdy powrócił ze szpitala, już w stanie beznadziejnym, napisał do mnie list dzieląc się swym cierpieniem, pisząc też o cierpieniu żony Janki. Na parę tygodni przed śmiercią skwitował moją ostatnią książkę, niby dzienników i refleksji. List ten dyktował już żonie. Później dowiedziałem się od Janki, że prosił, aby fragmenty czytała mu na głos.

Zastanawiam się dziś, czy my potrafimy tak godnie żegnać się ze światem? Wiktor – rozdzierany między życiem a nie życiem, trawiony wielkim cierpieniem uśmierzanym na chwilę przez morfinę, dotknięty wielkim doświadczeniem świadomego umierania, a jednak wciąż uparcie pamiętający o ludziach. Jak podczas całego życia...

SIEDZĘ SAMOTNIE W MALUTKIM DOMKU zaszytym w lasach kaszubskich. Wieczorem szaleje słowik, przelatując z miejsca na miejsce. Odpowiada mu z dala drugi. Zaczynam drażnić słowika wygwizdując nieporadne trele. I biedny pan-słowik nabiera się na tę prowokację, podwajając swe samcze rozśpiewanie.

Wieczorem, gdy jestem już dostatecznie wymęczony męczoną od czterech przeszło lat książką i późniejszym spacerem, pozostaje mi tylko radio, Adam Mickiewicz i ten glu-piutki słowik.

Dziś wysłuchuję w radiu dyskusję uczonych astrofizyków i nagle czuję się, jak świadek dysputy metafizyków. Bo oto co się okazuje: – Współczesna astrofizyka odkrywa przed nami Wszechświat, którego stanem dzisiejszych nauk nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć. Choćby owe „czarne dziury” o tak zagęszczonej materii, że nie wypuszczają one żadnego promieniowania. Niby gigantyczne wciągają w jakąś kosmiczną dziurę wszelkie promieniowanie. Astrofizycy odkryli już osiem takich „dziur”. Jedne są tylko o wymiarach naszego Słońca, inne, według teoretycznych obliczeń, znajdują się w środku naszej Galaktyki i mają średnicę o wielkości... naszego Układu Słonecznego!

Co się dzieje w środku tej „dziury”? – zapytuje jeden z dyskutantów. – Czas staje się tam przestrzenią, a przestrzeń czasem. Ja zaś odpowiadam: dzieje się coś niezrozumiałego w kategoriach naszego ziemskiego doświadczenia. Inny uczony, snąc maksymalista i fantasta w stylu Lema, mówi: być może wsysają one w siebie fragment naszego Wszechświata? A tam panują całkowicie inne prawa! Możliwe więc, że jesteśmy przenicowaną pończochą i tuż obok, po drugiej stronie (jak w bajce, po drugiej stronie lustra) trwa inna rzeczywistość!

Jedno nie ulega wątpliwości: współczesne teorie są bezradne wobec tych odkryć. Jakże więc naiwni byli ludzie XIX stulecia, gdy sądzili, że już wytłumaczyli całą materialną rzeczywistość i prawa nią rządzące. Skoro świat jest do pojęcia – niepotrzebny nam jest niepojęty Stwórca. Ich mizerni, małoduszni, a potem upolitycznieni uczniowie stworzyli później „światopogląd naukowy”, którym raczono nas w szkołach.

Skoro świat jest nie do pojęcia, jakim jest Stwórca tego Wszechświata? – Czasami w rozmowie z ludźmi bez wyobraźni metafizycznej, słyszę ni to w formie wyrzutu, ni to skargi – „No dobrze, czeka nas inny wymiar, nieśmiertelność, ale TAM będzie strasznie nudno. Wszak nic się nie będzie już działo, żadnego dramatu, oczekiwania, niespodzianki. Będziemy trwali w wielkim Spełnieniu i Bezczasie.”

Pytam – skoro stworzone nie da się objąć nawet w dużym przybliżeniu, cóż możemy wiedzieć, kierując się tylko rozumem, o tym jak będzie TAM? – Zachwyt i zarazem metafizyczne przerażenie („łęk i trwoga”) powinny wzbudzać w nas zaufanie, że TAM będzie przybywało a nie ubywało!

A ponieważ w tym boskim świecie jezior, sosen i słowików wszystko układa się według tajemnego Sensu, na drugi dzień otwieram księgę Adama Mickiewicza (wziąłem ją rocznicowo, ale też z myślą, ażeby wykorzystać w pisanej powieści, co też się stało: podobnie jak w *Rodzie Abaczów* – parodyjnie i pastiszowo) i zatrzymuję się na jego tajemniczym *Widzeniu* pisanym w latach 1835-36. Oto co wieszczu nam Adam: „I byłem razem na okręgu koła/Które się wiecznie rozszerza bez końca/I nigdy bóstwa ogarnąć nie zdoła./I dusza moja, krąg napelniająca,/Czułem, że wiecznie będzie się rozrzać/I wiecznie będzie ognia jej przybywać/Będzie się wiecznie rozwijać, rozplywać,/Rosnąć, rozjaśniać, rozlewać się – stwarzać./I coraz mocniej kochać swe stworzenie,/I tym powiększać coraz swe zbawienie.”

TEGO LATA PRZEŻYWAM INWAZJĘ OBŁOKÓW, przypominają się strofy Miłoszowe: „O, jakże wy straszne jesteście, stróże świata, obłoki!”. Zmienność pogody sprawia, że wciąż spoza ceglanych dachów wypływają kawalkady spienionych, zwierzęcopodobnych stworów. Obłoki są szybkie, jak wartkie jest poruszenie liści w letnim rozwoju i w tym falowaniu powietrza ociążonego od kwitnących lip. Chłodny i mokry lipiec pędzi skroplony oddech znad Atlantyku. I wciąż ten zapach lipowego kwiecica!

Jakże dobrze musi być na Kaszubach! Ja tymczasem siedzę na białym plastikowym krzeselku, przed równie oślepiającym plastikowym stolikiem, z kuflem w miarę zimnego piwa, patrząc na zachody słońca skrócone o wysokość betonowych bloków. Jedyne po karminowych, cynamonowych odbiciach na szybko gnających obłokach wiem, że zaczynają się niepowtarzalne, nadmorskie zachody słońca. I oto obłoki nagle się przecierają ukazując czystą emalię błękitnego, czasami zielonkawego nieba. A na wysokości paru kilometrów widzę rozrzucone pierze karmazynowych cirrusów, przeglądających się w słońcu, gdy tu zapada późna letnia szarówka. Jakby pointując ten podniebny, straszny, miłoszowski dramat – nadplywa wielopiętrowa budowla, coraz wyżej kłębiąca się i budująca się różowymi szczytami ku zenitowi. I ten ostatni cumulus przekazuje pożegnanie słońca, które teraz zachodzi gdzieś za Słupskiem, a może dalej...

Pomimo miejskiego zamknięcia horyzontów, obliczam, że mam nad sobą trzy czwarte widzianego świata. A na tej wolnej, powietrznej przestrzeni, odbywa się niebywałe misterium życia. – Z ostrym świergotem niebo przenizują języki. Ptaki, które można śmiało nazwać Latającym Skrzydłem. Ma on tak długie skrzydła i krótkie łapki, że nie może chodzić po ziemi. Nauczył się, jak jaskółka, pożywiać się w locie i gasić pragnienie muskając o wodę. Kiedyś mieszkaniec skalistych gór, ostrymi pazurkami zaczepiający się o każdy występ skalny. Dziś jego skalami są gierkowskie blokowiska: gniazdują w szparach betonowych płyt.

Bystre ptaki obwieszczają w czerwcu początek lata, pewnego dnia przylatując gromadnie z Afryki. Od tego momentu nad naszymi głowami odbywa się mistrzowski cyrk: języki latają w trójkę, w czwórkę, małymi stadkami. W swym zgraniu, we wzajemnym porozumieniu przypominają karkołomne ewolucje mistrzów pilotażu. Tym się od nich różniąc, że nigdy się nie mylą. W ciemnościach na parę godzin zapadają w szczeliny murów. Tam, w półśpieniu szezebiocą ich piskłeta.

Gdy tylko owady wznowią swe owadzie życie, ptaki zrywają się do lotu. Ile więc godzin śpią, ile żerują? A przecież poszukują u nas tego, czego nie ma w Afryce. Tam doba jest sprawiedliwa, równo dzieląc noc i jasny dzień. Afryka to dla nich wywczas, istnienie leniwe, wręcz emerytalne. Tu pełnia istnienia.

Dlatego w sierpniu, po oblataniu ptasiej młodzieży, języki nagle znikają. Jest to oznaka chylącego się ku jesieni lata. A my nawet tego nie zauważamy. A czy języki zauważają nas? – Tych budowniczych skał-domów, przyodzianych w dziwne skóry, ni to z przykrótkiej sierści, ni to ze zwichrowanych piór, wciąż zmienianych. Wyłażących z tych skał-domów i wchłanianych przez chitynowe, metaliczne zwierzęta pędzące przez koryta ulic?

I istot podobnych do mnie: zasiadających przy plastikowych stolikach, skąd widzi się tak wiele, a tak mało pojmuje – po co i na co ta oszalamiająca mądrość i rozrzutność światła widzianego...

Zbigniew Żakiewicz

RECENZJE

Jan Wolski

Między końcem a początkiem tysiąclecia

Ewa Lipska wykorzystuje w najnowszym swoim tomie wierszy modny nastrój końca wieku i końca tysiąclecia, a w tym kontekście związanych z owymi „wydarzeniami” wizji czy przekonań, niektórych przynajmniej ludzi. Tytuł tomu *1999* jest zatem nieprzypadkowy. Mylilby się jednak ten, kto przyjąłby rzecz całą dosłownie. Jakkolwiek stanowi bez wątpienia rodzaj diagnozy naszej rzeczywistości, której stan chwilowy przez poetkę został dla nas sformułowany, to w głównej mierze jest podsunięciem tematu do rozważań. Ale jest też, przede wszystkim, ironicznym dystansem wobec przesadnej krańcowości tego typu opinii. Przekornym potraktowaniem tych wszystkich płytkich i popularnych obaw czy oczekiwań końca świata, początku nowej ery, końca dotychczasowej rzeczywistości, słowem tych wszystkich radykalnych przemian, które ma rzekomo wywołać zmiana daty oraz numeracji kolejnego wieku i tysiąclecia. Proszę zauważyć, że tom rozpoczyna wiersz *31 grudnia 1999*, kończy zaś, równie znamienne zatytułowany, *2001*. Nie ma w istocie daty granicznej. Bo w tym przypadku być jej nie może. Wszak czas, jego rachuba, są pojęciami umownymi. Życie toczy się niezależnie od dat, zwłaszcza od dat symbolicznych. Czas mierzony kalendarzami jest czymś różnym od czasu, by tak rzec „istnienia poszczególnego”.

Tak się bowiem często w naszym życiu, głównie zbiorowym, choć nie tylko, układa, że myśląc o rzeczach i sprawach wielkich, epokowych, zapominamy, niekiedy wręcz świadomie uciekamy, od kwestii pojedynczego człowieka, zmagania z życiem w indywidualnym wymiarze, o jednostkowych radościach, prywatnych myślach, pragnieniach i obawach. Ewa Lipska porusza nasze codzienne, zwykłe – bo ludzkie – problemy. A wiersze w tomie zebrane, są rodzajem planu, który ma nas zachęcić i pobudzić do refleksji, zadumy i rozmowy. Stanowią one jakby zestaw szkiców do jakichś bardziej jeszcze wyrazistych obrazów. Jakkolwiek wiersze odznaczają się przy tym cechami dzieł skończonych i zamkniętych. W tym sensie stanowią mogą ślad naszego bycia tu i teraz. W tej konkretnej chwili i miejscu. Nie tylko oczywiście w sensie geograficznym.

Ten ktoś przemawiający z wierszy Lipskiej, nie oczekuje końca dziejów czy nagłego początku nowego świata. Tego kogoś, może „panią Schubert”? – interesuje, obchodzi i dotyka świat prostych wzruszeń i ludzkich odruchów. Przy tym, co czyni ją właśnie bardziej nam bliską, co można by traktować jako swoiste przejawy jej normalności, naznaczona jest doznawaniem samotności, sceptycznym dystansem do powszechnych fobii, manii, mód. *Chorujemy na schyłek wieku*, jak czytamy w bardzo ważnym wierszu tego tomu pt. *Ericsson, synku*. Choć i tu z łatwością możemy wychwycić tę szczególną i genialną cechę poezjowania Lipskiej, polegającą na perfekcyjnym posługiwaniu się wieloznacznością semantyczną języka. *Schyłek wieku* bowiem to obok odniesień do czasu, może być również dobrze konstatacją na temat zmierzającego do kresu czyjegoś ludzkiego żywota. Byłby to więc przede wszystkim wiersz o braku, a w każdym razie o trudnościach komunikowania się ludzi między sobą.

Wydaje się, że przeszkodą największą w naszym życiu (nazwanym tu cudownie „tranzytem przez planetę”) jest niedostatek w nas, wręcz brak, umiejętności przekazywania myśli, prostego porozumiewania się między ludźmi, a w innym jeszcze planie: w ogóle chęci zrozumienia innych, poprzez to również siebie samego. Oto paradoks naszych czasów: łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce, wielość, wręcz nadmiar technicznych środków służących przekazywaniu wiadomości i informacji, telefonów, faksów, łącz satelitarnych, internetów wcale nie przekłada się na poprawę elementarnej umiejętności rozmawiania. Prostego, serdecznego, naturalnego.

Doliny porastają zgiełkiem.

Ja mówię coś do ciebie.

Do was. Do nikogo.

Ericsson, synku

Nietrudno także zauważyć, że w każdym kolejnym tomie poetki następuje nieustanna zmiana sposobu wypowiedzi. Z całą pewnością nie rewolucyjna, raczej ewolucyjna, raczej łagodna i powolna, przez co nie tracimy z pola widzenia tak charakterystycznej jej dykcji. W starszych tomikach język, pomysły interpretacyjne, wizje, artykułowane radości i obawy były – należałoby chyba powiedzieć – dość przeźroczyste, wypowiedzane w sposób na ogół jednoznaczny, pozwalający na proste odczytania, coś w rodzaju „mówienia wprost”. Z czasem, im bliżej tomów najświeższych, ale nie tylko, jej sposób mówienia staje się bardziej skomplikowany, trudniejszy w deszyfracji znaczeń. Rzeczywistość, choć daje się odczytać, nie jest już tak jednowymiarowo (niechby tylko pozornie, ale jednak) „prosta”. W tym właśnie tkwi szczególna siła poezjowania Lipskiej bo wymaga od czytelnika, tego pożądanego zapewne interlokutora, przede wszystkim aktywności. Nie wystarczy tylko przesuwać się po powierzchni zdań, zachwycać oryginalną i często zaskakującą metaforyką, przyjmować lub odrzucać proponowane definicje, diagnozy, myśli. Sam zachwyt nie wystarcza. Trzeba świadomie podejmować wielki trud odczytania, trud niełatwej rozmowy z wierszami. Rozmawiać czyli w pierwszym rzędzie pytać, oczekując jakiejś odpowiedzi.

Ten rok rozpoczął się znowu

od zadawania pytań.

– tak rozpoczyna się wiersz *Lekcja muzyki*. W tej samej chwili jednak wskazana zostaje pozornie dialogu, umowność, nieautentyczność, a więc znowu trudność w komunikowaniu:

Zmyślamy od początku wszystko
co przeżyliśmy.

Jeszcze dalej okazuje się, że podpatrzona mimowoli para prowadząca tę rozmowę, w ogóle nie może się porozumieć. Co najwyżej pozornie, bowiem choć:

Obejmują się serdecznie.

to:

Każdy we własnych ramionach.

Na własny rachunek.

Wyrażona w wierszu, dodajmy każdym wierszu, prawda konkretnych chwil, wymaga od czytelnika wysiłku, aby z wielu takich ułamków można było zbudować obraz świata. Trudność polega na tym, że obraz ów jest, częściowo przynajmniej, zaszyfrowany, for-

mulowany w języku, który znakomicie posługuje się niedomówieniami, aluzjami, metaforami, którego sensy niekiedy trzeba po prostu zgadywać. Przy tym warto jeszcze i o tym pamiętać, iż metaforyczne nazywanie nie jest odzwierciedleniem czegoś istniejącego, lecz istnieniem samym w sobie. Nie jest jakimś przybliżaniem się do prawdy, lecz samo jest prawdą, choćby tylko jakiejś chwili. Tyleż opowiada o czymś, co miało miejsce w czasie, co staje się faktem, stwarzając go niejako. Taka poezja to rodzaj ćwiczenia dającego punkty zaczepienia, łączności ze światem i innymi ludźmi. Wszystko zaś służy temu, aby można go było postrzegać i doświadczać zarówno fizycznie, cieleśnie, jak i obejmować umysłem. Wszystko razem to nic innego, jak próba uchwycenia sensu istnienia i zrozumienia świata.

Mówiąc o ewolucji poetyki Lipskiej, należałoby również wspomnieć o stałej kontynuacji pewnych wątków i tematów. Na przykład: tom *1999* zawiera wiersz pt. *My 1998*. Przypomnijmy, iż debiutancki zbiór *Wierszy* z 1967 roku otwierał liryk *My* („my rocznik powojenny//zazdrościmy tym którzy przeszli przez wojnę//dźwigamy przestrzeloną pamięć”). Wiersz uznawany przez wielu za manifest pokoleniowej świadomości ludzi urodzonych tuż po wojnie, często cytowany i komentowany. Poetka, jak wiadomo, wiele razy dawała wyraz swojemu dystansowaniu się od takiego odczytywania tego wiersza, głównie dlatego, że to właśnie z jego powodu umieszcza się ją często w artystycznym kręgu Nowej Fali, a ona zdecydowanie nie godzi się na reprezentowanie grupowych doświadczeń. Świat ogląda, i niekiedy diagnozuje, wyłącznie na własny użytek. I tak właśnie jest tym razem. Polakom końca dwudziestego wieku wystawia niezbyt pochlebne świadectwo.

Ci którzy wołali że władza należy do mas
zakładają teraz sklepy z dewocjonaliami

Nazwani dalej brutalnie „bojaźliwymi kameleonami”, zaś nowe pokolenie jest „praktyczne”, „ma już własny kraj” i „pewne siebie piękno”, lecz znakiem ciągłości jest „ten sam wirus przemijania”. Pokrzepiające jest tylko to, że „jeszcze nie uległa przedawnieniu//ich nadzieja”. Mamy więc do czynienia z kolejnym opisem naszego świata jakim jest i teraz z pewnością nikt nie posądzi poetki o reprezentowanie jakiegokolwiek grupy pokoleniowej.

Wiersze Ewy Lipskiej to puls prawdziwego, autentycznego życia. Tyleż materialny, konkretny, co duchowy i niejasny. Chwilami smutny, momentami melancholijny, ale przede wszystkim powściągliwy. Może to takie szczególne balansowanie między tym, co miałyby być wieczne, niezmiennie, trwałe, a co wciąż ujawnia swą znikomość, kruchość, ulotność. W wahaniu między tymi biegunami ujawnia się zaskoczenie, że wszystko tak szybko mija, ale właśnie tym bardziej godne jest zainteresowania i często także podziwu.

Jest w tym tonie coś szczególnego. Czego nie bardzo umiem nazwać. Chodzi o to, że czytając go, czuję się niejako sprowokowany do odpowiadania na zawarte w nim pytania. Pytania istotne, dotyczące najważniejszych kwestii życia i naszego w nim miejsca. Ale co najdziwniejsze, owo przymuszenie stanowi nie tyle nakaz, co zachętę do dialogizowania. Skłaniając nie zmusza, bo kiedy odpowiedzi nie znamy, nie chcemy odpowiadać, odpowiedzieć nie umiemy, możemy milczeć, możemy poprzestać na refleksji bez jej artykułowania. Możemy tylko uświadomić sobie tych pytań sens. To wszystko. To wszystko?

Jan Wolski

Realizm wizyjny

Trzynasta książka Kazimierza Brakonieckiego nosi tytuł *Światowanie*, pochodzący od słowa zaczerpniętego z gwary warmińskiej „światować”, co znaczy „żyć”. Nazywa ono bohater a całej twórczości poety urodzonego w Barczewie na Warmii, którym jest ŻYCIE: indywidualne historyczne, biologiczne, cielesne, psychiczne, podświadome, zapamiętane, świadome, rodzinne, społeczne, polityczne, narodowe, europejskie, cudze i własne, spełnione i niespełnione, rozdarłe, pozbawione ostatecznej racji, cierpiące i pragnące szczęścia, przypadkowe i konieczne, nierozumne i pełne sensu. Drugim kluczowym słowem jest tu ŚWIAT, którego granice wyznacza dociekliwość zmysłów, pamięć, ruch odczuć, krajobraz, „słownik rzeczy”, temperatura emocji, wiedza. Właściwością wytworzonego „mitoobrazu” jest to, że wyzwała go podążanie, wędrowanie, cudze i własne przemieszczanie się, rowerowanie, deportacja, spacer, charakter krajobrazu czy architektury. Strukturę „mitoobrazu” konstruuje tu kontemplacja w ruchu, ale „nie do celu, lecz do Głębi”.

W *Światowaniu* nie znajdziemy całkiem nowych tematów, które by wcześniej u Brakonieckiego nie wystąpiły. Autor filozofuje poetycko, posługując się wciąż tą samą przeżywaną materią istnienia, bogactwem autobiografii. Tym razem czyni to przede wszystkim, aby w wizji, rejestracji, wspomnieniu, relacji, wyliczeniu zamaniestować realność swojego, nie dającego się raz na zawsze określić JA. Jego podmiotowość ujęta jest „nieczysto”. Być podmiotem znaczy tu przywracać i utwierdzać w osobniczym jestestwie faktyczność, niezbywalność i ważność każdej jednostkowej egzystencji. Brakoniecki w swoim łaknieniu przeżywania i uzyskania w po swojemu rozumianej podmiotowości jest zachłanny i totalny.

Światowanie w większości zapisane jest prozą, ale jej „narrator” nie przyjmuje postawy epickiej, jest on medium przepuszczającym przez siebie elementarne realia i okoliczności egzystencji, która całkowicie pokrywa się z jej esencją. Medium chce chłonąć – przepuszczać wszystko z osobna, żywi miłosny i miłosierny stosunek do wszystkiego z osobna. Toteż wyznaje: „Moją kochanką jest kobieta, krowa, liść, obłok, własna warga, chłopiec siedzący pod ogniem ojca. Każdemu daję swoją nieobecną twarz, swoje nieobecne ciało”.

Brakoniecki jest poetą cielesnym i ziemskim, medytującym nad przemijalnością każdego doznanego bytu. Kształci i pielęgnuje w sobie buddyjską wrażliwość na świat, ufundowaną na pojmowaniu rzeczywistości jako niepodzielnej i godnej współodczuwania JEDNI. Takie myślenie o świecie rozsądza antropocentryzm. Warto więc przypomnieć, że to na Warmii (w krainie urodzenia i wzrastania Brakonieckiego) dokonał się przewrót kopernikański, który umożliwił demystyfikację rzekomo uprzywilejowanego miejsca człowieka w kosmosie. Kultura europejska, judeochrześcijański krąg kulturowy wszczepił nam przekonanie, że celem stworzenia, historii, sił losu są ludzie. Nie tylko astronomia przysporzyła się do krytycyzmu wobec tej idei, także i przede wszystkim cywilizacja z nienawiścią, ludobójstwem i mechanizmami odbierania życiu godności.

ŚWIAT u Brakonieckiego nie jest przeciwieństwem ZAŚWIATA, NIEBA, wyczerpuje się i zamyka w swojej substancji poza dobrem i złem. Dlatego transcendencja polega tu właśnie na przekraczaniu tych wszystkich barier, które realność życia czynią niedostępną. Jej odkrywanie, doświadczanie i przeżywanie jest równoznaczne z kreacją, z aktem stwórczym, który wikła się nieuchronnie w nierozwiązywalne sprzeczności.

Brakoniecki znajduje wyjście z przekłętego kręgu niemocy, z codziennej presji nicości, poczucia nieważności swojego istnienia poprzez uznanie tego, co najbliższe, bezpośrednio udzielające się zmysłom (szczególnie oczom), wyobraźni, pamięci jako ziemni obiecanej. Bez względu na czas i miejsce możliwe jest jedynie kalekie bytowanie: „Jesteś niedorozwinięty i na słońcu

mokry leżysz. Chodzisz na rękach po jeziorze, z pagórka mówisz do szpaków i wron. Tam jest biblijna kraina, tam jest obiecany czas za lasem w Kortowie, niech tylko spadnie ostatni deszcz! Wszystko jest pracą słońca, podskoczę i zrzucę z siebie grzech”.

Brakoniecki uprawia poetycką filozofię życia jako kreacji niejako wbrew porażającemu zbiorowemu i jednostkowemu dwudziestowiecznemu doświadczeniu destrukcji i rozrywania ciągłości. Zapisuje on je z perspektywy historii, krajobrazu, rzeczy, ludzi Warmii, Mazur i dawnych Prus Wschodnich. Z każdego miejsca „światowania” widać uniwersum, widać ślady chorób cywilizacji, szaleństw i wzniosłości człowieka. Poeta spowiada się prozą z nienawiści narodowej, z niezawinionej przez miliony osób martyrologii, deportacji, wypędzenia, rozpacz. Dzięki temu *Światowanie*, mimo stosunkowo niewielkiej objętości, jest bodaj pierwszym świadectwem literackim, gdzie zawiera się nieprzyfastrygowana, niezakłamana, niezideologizowana prawda o ziemiach, które historia przemieniła w Atlantyde Północy, a nie w „ziemię serdecznie znajomą”, jak głosiła propaganda PRL. Nie ma tu potrzeby, aby przywoływać szczegóły, dotyczące autochtonów, ludności napływowej z Kresów i Polski centralnej, Ukraińców i Łemków, braku integracji i wspólnoty, nierozwinięcia się głębokiej tożsamości na Warmii i Mazurach itp. Rzecz w tym, że Brakoniecki identyfikuje się ze złem i dobrem, życiem i umieraniem, ze swoim i obcym, przerażeniem i błogością, pamięcią i zapomnieniem, ukrytym i jawnym, aby połączyć jak najściślej treść własnego indywiduum, swoją biografię z genealogią, losami rodzeństwa, ojca, matki, babę i dziadków, z historią regionalną, polską i globalną. Godna jest uwagi ta dążność Brakonieckiego do widzeń nieuprzedzonych, do uporczywych olśnień, w których to co sobie odległe, zbliża się i spaja. Taka postawa ma sens szerszy, bo jest próbą przeżywania świata poza determinizmem narodowym, państwowym, klasowym, wyznaniowym. Dlatego poeta może napisać o sobie: „...nie jestem Polakiem, Niemcem, Żydem, nie jestem ani Warmiakiem, ani Australijczykiem. Jestem człowiekiem świata przypadkowo urodzonym na Warmii i w Polsce, w Europie i na Ziemi, lecz dosięgają mnie symboliczne znaki życia i śmierci, rodzenia i umierania, tworzenia i burzenia. Więc nie boję się swojej elementarnej potrzeby tożsamości i wolności, prawdy i dobra. Niech to ja buduję, krytykuję, osądzam. Oby nikt inny za mnie”.

Brakoniecki zatem, będąc poetą rozpacz, przekleństwa historii, umierania i rozkładu, jest poetą świętości i radości istnienia, człowiekiem ekstazy egzystencjalnej. Sens życia zasadza się na zdolności do maksymalnie pojemnego i intensywnego przeżywania-świadczania. Pisze poeta: „Moje światowanie, życie ciałem w świecie odrzuca celowość, a przyzywa sensowność, i dlatego zatrzymuje chwile, najbliższe okolice, historie, krajobrazy, wieki elementarne i niskie, małe i skryte”. Tu i gdzie indziej *Światowanie* jakby daje wzór: trzeba żyć ani przeszłością, ani przyszłością, lecz poszerzoną o emocje, uczucia, pamięć, wyobraźnię terażniejszością; „jedyna realność to światożycie, to dzieanie się teraz”.

Paradoksalne to, że Brakoniecki tak ostentacyjnie zanurzony w autobiografii, lokalności, „najbliższości”, przekracza granice regionu, pojętego jako prowincja, obszar gorszy, nieatrakcyjny, niezdatny do realizacji i wzmacniania swojego człowieczeństwa. Przewartościowuje więc myślenie, zdominowane przez geografę, naznaczone piętnem podziałów i hierarchii, które stały się puste, nierrealne, fałszywe. Na rozmaite sposoby Brakoniecki ujawnia, iż żyjemy skępowani wewnątrznie, zahamowani, „nieobudzeni” do „światowania”.

Światowanie ma wiele warstw godnych uwagi, stąd biorą się kłopoty z określeniem genologicznym. Jest to poezja, której artyzm spełnia się w realizmie wizyjnym.

Zbigniew Chojnowski

Ks. Jan Sochoń

Zespolic kapłaństwo ze sztuką

(O „poetyckiej teologii” ks. Alfreda Wierzbickiego)

1. Twórcze, naukowe i duszpasterskie osiągnięcia ks. Alfreda Wierzbickiego, znanego lubelskiego uczonego – duszpasterza, poety i dziennikarza, także podróżnika i poliglotty, trochę (chyba nie tylko mnie) onieśmialają. Lecz cóż, trzeba ucieszyć się i przyjąć z radością, że oto coś przejmująco doniosłego dzieje się z polską kulturą, skoro w niej tak aktywnie uczestniczą kapłani. Bo – nie licząc nestorów Twardowskiego, Pasierba, Heintscha, Ihnatowicza – jakżeż wyobrazić sobie krajobrazy kończącego się tysiąclecia bez obecności o. Oszajcy, ks. Szymika, o. Madeja, ks. Kameckiego czy Wójtowicza, nie mówiąc już o całej plejadzie poetów najmłodszych, których nie notuje opracowana przeze mnie antologia wierszy pisanych przez księży *Szaropolskie srebro* (Warszawa 1992). Stąd też powiadam raz jeszcze: przyjmijmy z wdzięcznością fakt artystycznej działalności grupy poetów – księży, a wśród nich ks. Wierzbickiego, którego życie wyznacza wręcz modelowy przykład *ethosu* polskiego kapłana, działającego w czasie przewartościowań związanych z porzuceniem przez Polskę komunizmu i próbami istnienia w porządku demokratycznym.

Po studiach teologicznych i filozoficznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, pracy wikariuszowskiej w Nałęczowie, Wierzbicki wyjechał za granicę. Podjął dalsze badania naukowe w Liechtensteinie, pełnił też obowiązki kapelana szpitala kantonowego w Chur. Spotyka tam niedoszłych samobójców, chorych na aids i ludzi zwyczajnie samotnych, którzy opowiadają mu o swych losach w tajemniczych dialektach szwajcarsko-niemieckich i retoromańskich. Trzyletni pobyt w Szwajcarii sprzyjał podróżom, zwłaszcza do krajów śródziemnomorskich, poznawaniu ich języków i kultury. Doświadczenia wspomnianego czasu staną się – w niedalekiej przyszłości – powodem wielu jego wierszy, tekstów publicystycznych i audycji telewizyjnych. Być może nawet trzeba zaryzykować interpretacyjne przypuszczenie, że gdyby nie podróże (także te duchowe) Wierzbicki nigdy nie odkryłby w sobie emocji poetyckich, przynajmniej na tyle silnie, aby prezentować je jako teksty artystyczne i dzielić się nimi z czytelnikami. Ale przecież dopiero wspólne obcowanie z wartościami kultury śródziemnomorskiej przynosi poznawcze ukojenie i dodaje sił do podążania drogami Ewangelii. Wie o tym doskonale sam poeta, albowiem chętnie zaprasza do wspólnej rozmowy, ale też chętnie opowiada o wszystkim, co przeżył jako europejski podróżnik. Czyni tak przede wszystkim dlatego, że

ruch jest naszym żywiołem
z rozpędzonego w dolinie pociągu
podziwiam szczyty Alp i źdźbła
trawy na łące spienioną wodę
w Renie

ruch jest naszym żywiołem

Jestem człowiekiem w podróży.
Niepielęgnowana broda ukrywa
moje pochodzenie, stałem się obcy
i mogę być pasterzem owiec,
sprzedawcą wonności bądź kapłanem.

Abraham

Nic zatem dziwnego, że po powrocie do kraju Alfred (proszę wybaczyć prywatną stylistykę, lecz cóż: przyjaźnię się z poetą od wielu już lat) włączył się w wir pracy duszpasterskiej i naukowej, nie omieszkając przejść typowej drogi Kościola, odradzającego się do „normalnego życia” w nowych warunkach. Stąd wysilek organizowania przez pisarza diecezjalnej rozgłośni radiowej, tworzenie programów cyklicznych oraz filmów dokumentalnych w telewizyjnym ośrodku lubelskim, a także współpraca z kwartalnikiem „Ethos”... i coraz szlachetniejsze rozwijanie twórczości poetyckiej. Dwie książki *Jak ciemność w ciemności* (Lublin 1991) oraz *Inaczej każdej wiosny* (Lublin 1993) to widoczny znak wspomnianej aktywności. Warto jeszcze zauważyć intrygującą prawidłowość. Oto większość poetów księży podejmuje trud godzenia pracy akademickiej z twórczością poetycką. Zmarły już ks. Pasierb był profesorem historii sztuki, ks. Ilnatowicz jest profesorem teologii, ks. Miązek podejmuje badania nad literaturą słowiańską, ks. Szymika zalicza się do znaczących teologów dogmatyków obecnych lat, zaś ks. Wierciński z powodzeniem działa w obszarach szeroko pojętej filozofii, ks. Sikora zajmuje się polonistyką, a Eligiusz Dymowski OFM ukończył studia pastoralne w Rzymie. Natomiast ks. Wierzbicki przygotowuje rozprawę habilitacyjną poświęconą Augusta Del Noce krytyce i reinterpretacji moderny. Studia nad myślą Del Nocego doprowadziły go do bliższego obcowania z nowożytną i współczesną myślą włoską. Tłumaczy również dzieła filozoficzne Antonio Rosminiego.

Jaki z tego wniosek? A no, przede wszystkim taki, że – wzorem Eliota – księża poeci próbują poszerzać pole widzenia świata. Przywołany Eliot łączył w swej twórczości znakomitość krytyk literackich z (wybitnym) piarstwem typowo lirycznym. Dlatego staje się on, w moim przekonaniu, patronem polskich poetów-księży. Ci bowiem nie tylko podążają jego śladem, ale nadto wspomagają swe twórcze aspiracje i spełnienia doświadczeniem poszczególnych dyscyplin naukowych. Oczywiście, poezja nie zdobywa w ten sposób rangi przynależnej nauce, niemniej, zmienia nieco swe barwy: jest, po prostu, bardziej klarowna i świadoma swych możliwości oraz gatunkowych ograniczeń. I wie: jest poezją właśnie, czyli poszukując sensu świata, zdaje się ostatecznie na tego świata podszepcy i sugestie. I nigdy nie zapomina o napięciu emocjonalnym, które czyni z niej, jak podkreśla sam Alfred, myślenie zaangażowane, zbliżające do mądrości.

2. Wierzbicki jest poetą dramatycznych olśnień. Co to znaczy? Przede wszystkim wskazuje źródło jego natchnień. Jest nim realna rzeczywistość. Nie ufa on żadnym kreacjom, wymysłom czy lingwistycznym sztuczkom. Ważne natomiast pozostaje, podkreśla, wsłuchiwanie się w dookolny krajobraz, „kiedy dojrzewają śliwki węgierki, wykopki kartofli i brązowieją kasztany, a dzieci z tornistrami idą do szkoły” i próba nazwania tego, co wymyka się zwyczajności oglądu i konwencjonalnym spojrzeniom. Poezja ma tę moc, że umożliwia pozbycie się banalności, głęboko przenikającej społecznej wrażliwości. Mamy oto bowiem do czynienia z sytuacją, doprawdy, zatrważającą. Człowiek współczesny zatracił poczucie autentycznego kontaktu z samym sobą. Niczemu się już nie dziwi i niczego nie kontempluje. Pomiędzy nim a rzeczywistością znajduje się perswazyjny język masowej kultury, proponujący mdlawy model szczęścia i reklamowe błyskotki. Trudno – właśnie dlatego – dotrzeć do głębin własnej wrażliwości i osobowej niepowtarzalności. Zdumienie, dawne platońskie źródło filozofii, zatraciło poznawczą atrakcyjność. Stąd uporczywa troska Wierzbickiego, aby przywrócić je wspólnotowej świadomości, choćby na krótko, dosłownie na chwilę. Albowiem daje ono poczucie człowieczeństwa, otwiera na bliskość innych ludzi i Boga:

Przychodzi chwila, może olśnienia,
może iluminacji. Jasnowidzenie
dane na plaży, w zatłoczonym pociągu,
w chłodnym w lipcu kościele.
Blisko prawdy ostatecznej.
Nigdy nie mogłem jej zatrzymać
dłużej jak na chwilę.

Olśnienie

Tak więc, jasnowidzenie trwa zaledwie przez mgnienie. Gdyby było inaczej, nie byłoby jasnowidzeniem, lecz zwyczajnością istnienia. Nadzieja znika, gdy ogląda się to, o czym się marzyło. Tymczasem liczy się sam fakt „dotknięcia tajemnicy”, ujrzenia nienazwanego, jakieś duchowe drżenie, niemożliwe do opisania. Jest to zresztą marzenie wszystkich artystów i myślicieli przeszłości. Z jednej strony Plotyna ufność, że dzięki osobistemu ascetycznemu wysiłkowi osiągnie unię z Jedno, z drugiej wiara św. Augustyna w iluminacyjne działanie Boga, który pragnie szczęścia swojego stworzenia. Przywołajmy jeszcze (dla ilustracji) pogląd Baudelaire'a o mistycznej roli aktu poetyckiego oraz sugestię Anny Kamieńskiej, iż przed tajemnicą Bożej miłości wiersze winny się uciszać, milczeć. Jakie miejsce w powyższej tradycji zajmuje ks. Wierzbicki?

Nie jest – o paradoksie – wielbicielem poetyckiego oglądu świata. Nie sugeruje, jak ks. Pasierb (choć wiele go z autorem *Pustych łąk* spowinowaca), że poezja jest najpewniejszą sztuką człowieka. Raczej uznaje w niej środek dysponujący podobną siłą co religia i teologia. Dlaczego? Ponieważ zarówno poezja jak i teologia wykorzystują symboliczne (metaforyczne) wymiary języka. Ale, w ostateczności słowo sztuki winno podporządkowywać się temu, co głosi Objawienie. Jednakże to podporządkowanie nie oznacza zniknięcia tzw. „jakości poetyckich”, choć autor *Jak ciemność w ciemności* dyskretnie zaznacza swe życiowe związanie z kapłaństwem. Nie narzuca, oczekiwanych w tym wypadku, kolorytów „zbożnej poetyki”. Niekiedy tylko przedstawia poetycko określoną sytuację duszpasterską, skupiając się na tajemnicy cierpienia, niemocy. Lecz ma to swoje dramatyczne uzasadnienie. Swoją twórczość poeta komponuje na zasadzie dopowiedzeń do jednego, głównego motywu, przejętego z pism Simone Weil. Kruchosć, przygodność naszego istnienia jest piękna. Wyzwała nadzieję na twórcze odnoszenie się do świata. Właśnie dlatego, że nie stać nas na podejmowanie „gestów kosmicznych”, możemy przekraczać samych siebie, także poprzez „sztukę poezji”. Dzięki niej (choć nie tylko) stajemy się ludźmi coraz bardziej, w tym mianowicie sensie, że docieramy do ukrytych powodów własnych wzruszeń i czynów. Poezja umożliwia nawiązywanie rozmowy: z samym sobą, z innymi, ze znakami kultury i przyrody.

Wszystkie wymienione wyżej przestrzenie odnajdujemy w poezji Wierzbickiego. Emocje w niej zawarte przypominają nieco te, które – jak wspomniałem wcześniej – dają się odnaleźć we wczesnych tekstach ks. Pasierba. Są to wiersze powstałe „z powodu przestrzezeń” odwiedzanych krajów, spotkanych zabytków kultury czy obyczaju. Przez większość z nich przebijają kolory Alp, Szwajcarii, Włoch i Rosji. Na szczęście poeta nie poprzestaje tylko na reportażowym opisie. Fragment krajobrazu, obraz w galerii, zasłyszany temat muzyczny są jedynie „pierwszym konkretem”, materialnym impulsem pobudzającym wyobraźnię i estetyczną wrażliwość.

Wierzbicki to poeta dojrzały i nie ulega łatwo perswazjom niesionym przez metaforę. Raczej posługuje się tzw. sytuacją poetycką, odsyłającą do sensów pozasłownych. Zwraća też uwagę na możliwości, jakie kryje w sobie filozofia. Powiedziałbym nawet, że pasje filozoficzne tworzą najważniejszą warstwę znaczeń jego poezji. Przejawiają się one

w budowaniu tematów poetyckich za pomocą tradycyjnych pojęć typu: dusza, ciało, jedność, wielość, umysł, Bóg. To dość niebezpieczna procedura, niemniej Wierzbickiemu udaje się z tej „abstrakcyjności” i „pojęciowości” wyjść obronną ręką. Niemal w każdym wypadku potrafi niespodzianie zakończyć wiersz, jeżeli mogą tak określić, poetycką mocną realnością. Nie gubi się w nadmiarze sensów, lecz świadomie kieruje czytelnika w sferę precyzyjnie określonych wartości estetycznych i etycznych. Oczywiście nie chodzi tutaj o jakąś „sztukę dla sztuki”, lecz przeświadczenie, że samo ukształtowanie formalne wiersza może łączyć się ze swego rodzaju „poznawczą radością”. Owa „poznawcza radość” wiąże się z kolejnym stopniem jego poetyckiej wrażliwości, mianowicie, teologicznym ukierunkowaniem słowa. Oznacza to, że ostateczne oceny wartości życia muszą odwoływać się do danych Objawienia. Sąd Ostateczny tworzy horyzont człowieczej nadziei uzyskania zgody na samego siebie i własne wybory moralne. Dopiero poddając ocenie sumienia (więc Boga, w rozumieniu przyjętym przez Newmana) swe akty decyzyjne, zdobywamy się, sugeruje Wierzbicki, na afirmację rzeczywistości. Ostatecznie o nią przecież chodzi.

Niestety, wraz z upływem lat, oddaliśmy się od czystego spojrzenia na realność. Konwencje społeczne, determinacje kulturowe sprawiają, że tracimy autentyzm spotkań nie tylko ze sobą, innymi ludźmi, ale też z faktami obiektywnego świata. Żyjemy zamknięci skorupą schematów i masowych banalności. Nie malujemy już świata za pomocą dziecięcych kredek. Stąd pragnienie Wierzbickiego, aby wsłuchiwać się w podszepty poezji, która daje szansę „powrotu do utraconej naiwności” pierwszych skojarzeń, pozbawionych zbytnich kompromisów działań, która przywraca godność dobra jako sposobu obecności i porozumienia. Chodzi o to, aby zagubione kredki wrażliwości piisały autentycznie, bez sztuczności i kreacyjnego udawania.

3. Wierzbicki mógłby zapewne powiedzieć: piszę, ponieważ kocham, a skoro tak, jestem człowiekiem wiary, i – o tajemnico – kapłanem, z niezasłużonej życzliwości Chrystusa. I ma to swoje konsekwencje, także natury artystycznej. Dają się one uchwycić w momencie, gdy sobie uświadomimy, że poetyckie propozycje lubelskiego pisarza omijają wszelkiego rodzaju katastrofizm i moralne zgorzknienie. Natomiast można w nich zauważyć dziękczynne odnoszenie się do świata. Trzeba ocalać (pomimo „skandalu cierpienia”) istnienie. Poprzez pamięć, słowo, gest wzruszenia chwytac chwile mijającej egzystencji. Skupienie na szczególe, próby opisu drobin trwania, tego, co staje się, dzieje w podskórnym byciu przyrody. Oto ważne cele poetyckiego wysiłku. Radość z codziennej bliskości zwyczajnych rzeczy. Napawanie się cudem owocobrania, wilgoci powietrza, snów itd. Cokolwiek jest – budzi szacunek i zdziwienie. Kieruje w stronę źródła, czyli miłości. To pierwsze słowo poetyckiego alfabetu. Wierzbicki poddaje się ciśnieniu miłości. Powiada, że bez niej życie nie ma sensu. Oczywiście, miłość jako Boży dar domaga się wolnej współpracy. I nie powinno się o tym zapomnieć. Nie ma bowiem miłości czystej. W najbardziej zakochanym spojrzeniu zawsze odkrywamy coś oprócz miłości, mianowicie, nasz egoizm, którego trudno się pozbyć. Przy okazji dodajmy, że grzech pierworodny wiąże się z ludzką niezdolnością do autentycznej miłości, pozbawionej krzty egoizmu, tak, jak to dzieje się w głębi Trójcy Świętej. Ale, jak kochać Jezusową miłością? Czy to w ogóle możliwe, teraz, w krajobrazach ziemskiej zwyczajności?

Odpowiedź poety jest zadziwiająca. Powiada on: jak Bóg kochać nie możemy, możemy natomiast podejmować odpowiedzialne decyzje, które nikogo nie krzywdzą i naśladować Jezusowy styl życia. Ewangelie przecież nie ukazują jakiegoś bezproblemowego sposobu osiągnięcia świętości. Człowiek, po prostu, winien, zgodnie z własnymi możliwościami, otwarciem się na dary Ducha Świętego, realizować dobro. I już przez to staje się poetą, gdyż nie sposób oddzielać poezji od dobra jako takiego.

Niemniej, daru poetyckiego spojrzenia nie sposób sprowadzić do czegoś oczywistego, również w religijnym sensie słowa. Religijność pozostaje zawsze tajemnicą osobistą, gdyż dzieje się w doświadczeniu samotności, ale nie tej psychologicznej, lecz raczej – metafizycznej, która na poziomie świadomości objawia się całkowitym zwrotem ku istocie absolutnej. Whiteheada kategoria samotności, pisze Wierzbicki interpretując poezję ks. Pasierba, zdaje się pokrywać z Augustyńską kategorią niepokoju serca. *Homo religiosus* – człowiek religijny – żyje świadomością swej bytowej skończoności, a zarazem przynależności do istoty nieskończonej. Religia jest swego rodzaju oczekiwaniem w samotności na łaskę. Wskazane rozpoznanie odnosi się również do artystycznych konkretyzacji ks. Wierzbickiego. Jego wiersze zapisują drogę możliwych porozumień poety ze światem, drogę pozbawioną fałszu, udawania, plotek. Poezja musi więc pozostawać kwestią delikatności i wymaga, chcąc nie chcąc, ponawianego wysiłku duchowego skupienia:

Czytając wiersze zamykamy oczy.
Możemy się porozumieć,
ujrzeć błysk, który gaśnie,
na płynnej skórze rzeki,
widzieć blask nocy.

Poezja nie jest igraszka

4. Odnajdujemy w twórczych propozycjach ks. Wierzbickiego pulsowanie estetycznych tradycji. Przede wszystkim (proszę się nie dziwić) Jana Kochanowskiego (bez dzieł autora *Trenów* poeta nie mógłby stosować słownictwa odwołującego się do grecko – łacińskich wzorów słowotwórczych, np. „wiatrozłota jesień”), ale też Czesława Miłosza i ks. Janusza Pasierba. Nawiązywania te jednakże mają, by tak rzec, charakter dialogiczny. Wzmacniają poetyckie doświadczenie autora, wyostwiają twórcze intuicje, pozwalają na unikanie syntaktycznych zapożyczeń. Dzięki włączeniu się w zamierzenia poprzedników ks. Wierzbicki rzeźbi własną ścieżkę artystycznej poetyki i stara się ujawnić znaki swej poetyckiej niepowtarzalności. Są one łatwo uchwytnie. Nie ma zatem potrzeby ich opisywania. Wystarczy bowiem wejrzeć na jakąkolwiek stronę tomiku ks. Wierzbickiego, aby popaść w przynoszącą szlachetną troskę aurę emocjonalną i zrozumieć, że tylko Bóg w człowieku i człowiek w Bogu godzien jest najwyższych uniesień. Tylko Bóg...

Ks. Jan Sochoń

Alfred Marek Wierzbicki, *Kogut z Akwilei*, Norbertinum, Lublin 1999.

Wojciech Tomasiak Zaminowany język

Chciałbym, aby *Końcówka* nie była zamknięciem cyklu zainaugurowanego *Marcowym gadaniem* (Warszawa 1991), cyklu, na którego kolejne odcinki złożyły się *Pececliada* (Warszawa 1993) i *Mowa w stanie obłąkania* (Warszawa 1996). Mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości przestaniemy mówić o tetralogii. Cztery wydane dotąd tomy są kroniką „peceleńskiego gadania”; dwa pierwsze opatrzył autor podtytułem *Komentarze do słów*, formułą która dobrze odpowiada także formie wielu szkiców, jakie wypełniają *Mowę w stanie obłąkania*, i doskona-

le charakteryzuje drugą część *Końcówki*, gdzie wyraźnie widać powrót do konwencji notatek, układający się w osobliwy słownik nowomowy. Potrzeba kontynuowania cyklu wynika z sytuacji, w jakiej się znajdujemy: oto PRL-u już nie ma, ale „gadanie” (które wyprodukowały czasy real socjalizmu) uparcie nam towarzyszy. Co gorsza: real socjolekt (tak go nazwę) wkomponował się we współczesną polszczyznę w taki sposób, że niekiedy trudno jest rozpoznać jego obcość, nieprzystawalność do dzisiejszych czasów. Słowem: anachroniczność (drobny przykład z najbliższego otoczenia: zmieniono w Bydgoszczy nazwę wielu ulic i placów, których patroni kojarzyli się z „minioną epoką”, pozostawiając wszakże nazwę monstrum, imponujący pomnik soconomastycznych praktyk: „Leśny Park Kultury i Wypoczynku”). Istota zagrożenia nie tkwi we frazach śmieciach. Nowomowne resztki (głównie nazewnictwo) długo jeszcze nie wyjdą z obiegu; wiele wody upłynie w Odrze i Nysie Łużyckiej, nim z polszczyzny znikną językowe ślady po latach, gdy społeczeństwo – pod kierunkiem partii – budowało socjalizm. Zagrożenie dużo poważniejsze, za które odpowiada nowomowa, łączy się ze stopieniem wrażliwości językowej. Nie ma PRL-u, pozostało wszakże peerelowskie nastawienie do języka, przejawiające się m.in. w mówieniu skrajnie bezrefleksyjnym (pozostałość po rytualizmie), mówieniu dla samego mówienia, nastawienie dokumentowane wiarą, że ilość (słów) przejść musi w jakość (komunikowanych myśli). Współczesny „real socjolekt” rozumiałbym dwójako: raz – jako nowomowne niedobitki, błakające się po dzisiejszej polszczyźnie; dwa – jako użycia języka w sytuacjach publicznych, gdzie funkcja komunikacyjna schodzić zdaje się na plan dalszy, i gdzie obowiązuje prosta zasada: mówię, więc jestem.

Mówienie (i pisanie) służyło w PRL-u przekonywaniu obywateli, że władza j e s t. Gdy ten instrument zawodził, sięgano po „środki przymusu bezpośredniego” (do użycia wszedł ostatnio nowy środek i nowy eufemizm: „nieinwazyjne pociski penetrujące”). Ale i wtedy, gdy w ruch szły palki, potrzebne było słowo, dowodzące, iż „użycie siły w Nowej Hucie nie znaczy rozwiązywania konfliktów siłą”. A „soczamordyzm” zasługuje na szlachetniejsze określenie: „konstruktywne sterowanie demokracją”. Tym, co zagraża nam dziś, jest mówienie, które nie służy komunikowaniu, a komunikowanie zastępuje. Nowomowa miała zwalniać z myślowej samodzielności; wpajać przekonanie, iż są tacy, którzy wiedzą (i mają prawo mówić) oraz tacy, którzy nie wiedzą (i mają obowiązek milczeć). Władza mówi (bo tylko ona wie), społeczeństwo milczy (bo nie ma prawa do wiedzy innej niż ta, którą przefiltrowała nowomowa).

Gdybym miał zaproponować tytuł kolejnego tomu o (po)peerelowskim gadaniu, brzmiałby on tak: *Zaminowany język*. Byłaby to kronika dewastacji, jakie w sferze społecznego porozumiewania się pozostawiła nowomowa. Bo – powtarzam – skutki manipulowania językiem długo jeszcze będą odczuwalne (prawdopodobnie dłużej niż skutki manipulowania przyrodą); rozregulowany mechanizm nieprędko wróci do normy. W tym kontekście tytułowe słowo „końcówka” brzmi nad miarę optymistycznie – jeśli, oczywiście, rozumieć je w sensie czasowym (= schyłkowa faza cyrkulowania nowomowy). Uzasadniając wybór tytułu, Głowiński wspomina o korespondentce, która swego czasu na łamach warszawskiej „Kultury” zakomunikowała o wystawieniu w Paryżu nowej sztuki Becketta – *Koniec partii*. Ów „koniec partii” doskonale charakteryzuje nie tylko stopień znajomości francuskiego, jaki wykazała teatralna recenzentka, ale też poziom pisma, które rewelacjom z Paryża użyczyło miejsca. Charakteryzuje też – pośrednio – użytkownika nowomowy, wskazuje na cechy, które łączą nowomówców. Idzie o kult niekompetencji (bo liczy się „wierność”) i bylejakości (bo w cenie jest „prostota”).

Kronika peerelowskiego gadania (mam na myśli wydane dotąd cztery części) jest swoistym traktatem o niekompetencji i jej językowych skutkach. To praca dotycząca sytuacji, w której mowa – pozbawiona dialogowego kontekstu – łamie reguły (logiki, składni, semantyki), przechodzi w słowotok i dotyka granic belkotu. Jeszcze raz przywołam świetnie

uchwyconą i kapitalnie scharakteryzowaną frazę z maja 1988: „użycie siły w Nowej Hucie nie znaczy rozwiązywania konfliktów siłą” (s. 312). Inny przykład: dokument poświęcony „racjonalizacji przewozów samochodowych”. W komentarzu do tekstu, gdzie pojawia się przywołana formuła, Głowiński pisze: „Komunikat ten wart jest zastanowienia z jeszcze jednego względu. Jest sformułowany tak niejasno i pokrętnie, że za jednym zamachem pozwala na coś i nie pozwala”. I konkluduje: „Niezależni prawnicy od lat podnoszą, że PRL-owskie prawa są redagowane tak, by władzom ułatwić praktyki manipulacyjne” (s. 112). Sprawdzam tę konkluzję metodą na chybił-trafił: w „Ustawie z dnia 29 listopada 1972 o utworzeniu gmin i zmianie ustawy o radach narodowych” mogę przeczytać: „w razie naglącej konieczności wojewodowie, prezydenci miast oraz naczelnicy miast, dzielnic i gmin wydają zarządzenia porządkowe, gdy zachodzi niezbędność wprowadzenia w życie na danym terenie zakazów i nakazów w okolicznościach szczególnie niebezpiecznych dla życia, zdrowia lub mienia oraz w razie klęsk żywiołowych lub wymagających natychmiastowego działania trudności gospodarczych; zarządzenia te przedstawiają radzie narodowej na najbliższej sesji do zatwierdzenia”. Jasne? Z „Uchwały Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego z dnia 17 grudnia 1998 r. w sprawie budżetu na rok 1999 w zakresie szkolnictwa wyższego” dowiaduję się: „Przyjmując do wiadomości wyjaśnienia Ministra Edukacji Narodowej przedstawione na plenarnym posiedzeniu Rady Głównej w dniu 19 listopada br. w sprawie przedłożonego w Sejmie RP w dniu 28 października br. przez Radę Ministrów projektu budżetu państwa, rada Główna stwierdza brak wystarczających skutków wielomiesięcznych starań kierownictwa resortu i rady Głównej o zmianę orientacji strategicznej polityki państwa w zakresie szkolnictwa wyższego”. Jasne? Mamy RP, nie zaś PRL, ale – jak widać – kłopoty są te same. Jakie? Ano – „brak wystarczających skutków wielomiesięcznych starań”.

Nowomowa – powtórzę po raz kolejny – miała nauczyć społeczeństwo niemyślenia. W jakimś stopniu cel został osiągnięty: nowomowa osłabiła językową wrażliwość, zaszczerpiła obojętność na sposoby społecznego porozumiewania się (rytualizm wyklucza postawę refleksyjną, z drugiej strony – niezgoda na „mowę do ludu” oznaczała rozmyślnie nieczytanie i niesłuchanie). *Końcówka* nie może być ostatnim tomem. Najciekawsze rzeczy dzieją się dopiero po zapadnięciu kurtyny. Nie wyobrażam sobie, by krajobraz po nowomowie pozostał nie opisany. Ktoś, kto tak perfekcyjnie przeanalizował pcecelowskie gadanie, ma najlepsze predyspozycje, by pokazać popcecelowski „zaminowany język”.

Wojciech Tomasiak

Michał Głowiński, *Końcówka (czerwiec 1985 – styczeń 1989)*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1999.

Jerzy Gizella

Paryż – Sołowki

Przerywałem lekturę tej okazałej książki i znów do niej wracałem wielokrotnie. Trudno określić jej właściwy charakter: składa się z felietonów-raportów, zamieszczanych co tydzień na łamach „Gazety Wyborczej”. Powieść w odcinkach? Pamiętnik? Kronika wydarzeń kulturalnych? Język ironiczny, naszpikowany pikantnymi szczegółami. Oko krytyczne i wrażliwe na obłudę, zakłamanie. To lubię.

Swego czasu przemierzaliśmy Paryż tymi samymi ścieżkami. W drodze do redakcji miesięcznika, który już przestał istnieć. Redaktorzy i współpracownicy rozpieczętowali się po Francji i po świecie. Niektórzy wrócili, żeby zakosztować na własnej skórze wolności w kraju: z bardzo różnymi efektami. W międzyczasie Krzysztof Rutkowski stał się znanym pisarzem i badaczem przeszłości naszej literatury, rewelatorem francuskiego okresu życia Mickiewicza, towiańczyków, emigracyjnych niesnasków a czasem – piekła. Grzebał w archiwach, przeglądał listy, sprawdzał rachunki z uroczystych obchodów i biesiad. Swoją skrupulatnością i dociekliwością wywołał u wielu zlaknionych prawdy dreszcze rozkoszy intelektualnej u innych irytację i wściekłość. Zalał za skórę sadła wielu zawodowym strażnikom bogobojnej wizji literatury – krytykom i filologom krajowym, którzy nawet siadując na sąsiednich krzesłach Biblioteki Polskiej nie widzieli i nie słyszeli. Którym nazwisko Krzysztofa Rutkowskiego nie przeciętnie się przez zagrodę zębów.

W kraju – zawiść, a we Francji? Zalew Zenków czyli barbarzyńców: „To ludzie nowego typu: sukubki i inkubki wyjęte spod sztancy. Kubraczki na nich pomarańczowe albo zielone (techno), dzinsy kloszowate rozszerzone (wróciła moda z początku lat siedemdziesiątych), jednakowe fryzury i obowiązkowe noszenie okularów słonecznych w nocy. Nie na nosie, ale na czaszce: okulary służą bowiem przytrzymywaniu grzywki u panienek albo wystają jak różki u inkubów, wystrzyżonych na zero.

Szewcy w reżyserii chyba Jerzego Jarockiego, których widziałem przed laty, kończyli się sceną wypadania z rury dziesiątków jednakowo przystrojonych manekinów, poruszających się rytmicznie i monotonicznie. Wizja polskiego reżysera i zakopiańska przenikliwość Stanisława Ignacego stanęła mi gwałtownie w bagnet parskiej codzienności.

O czym mówią inkubki? O seksie i pieniądzu. Sceptycy powiedzą: przecież to nic nowego? We Francji zawsze się mówiło o seksie i pieniądzu, na co oburzali się światli Rosjanie w XVIII wieku, którzy przyjechali spijać z ust Diderota i Rousseau oświeceniowe miody mądrości, a oni w salonach gadali tylko o tym, kto z kim i za ile. Zgorszeni Rosjanie wracali do domu, by budować trzeci Rzym, ale przyznawali, że jednak Francuzi dyskutowali o mamonie i sprośnościach z wielką klasą. Inkubki gadają bez klasy, bez sensu i wyglądają telewizyjnie”.

Tak wygląda nie tylko niejedna dzielnica Paryża. W wypadku autora omawianej lektury Le Marais – Bagno. Bagno jest we wszystkich większych miastach Europy i Ameryki. Bagno to naturalne środowisko telekretynów. Trzeba emigrować. „Ale dokąd? Do Krakowa nie sposób, bo jak słusznie szepnęła mi Adam Zagajewski, do Krakowa nie każdy może: trzeba być Noblistą, kandydatem na Noblistę, albo przynajmniej wylegitymować się pradziadkiem kamerjunkerem na dworze Franciszka-Józefa”. Mogę – jako krakowianin z urodzenia – dodać: nawet to ostatnie nie pomoże. Piękne miasto, owszem. Ale zepsute, nie tylko przez Nową Hutę, także przez Zenków. Wystarczy przez chwilę posłuchać o czym dyskutują studenci.

Rutkowski wybiera inne miejsce w Paryżu. I dalej śle do kraju raporty. Trzyma rękę na pulsie czasu, rewiduje przekłamania i prostuje historię literatury. Przywraca właściwe proporcje, obala mity. Jak choćby o pobycie Białoszewskiego w Paryżu w relacji Sandaiera. Wybieram ten wątek, bo jest dla pasji Rutkowskiego bardzo charakterystyczny. Sandaier napłócił bzdur. Rozjaśnia. Prawdziwy cel przyjazdów był inny; rozwikluje powiązania, jeszcze przedwojenne, między Białoszewskim i Czapskim. W mieszkaniu Białoszewskiego wisiły obrazy Czapskiego. A Białoszewski jest dla Krzysztofa Rutkowskiego największym poetą polskim dwudziestego wieku. Jedyne wizyty jaką składa Miłosz po otrzymaniu Nobla w mieszkaniu pisarza warszawskiego przemilcza prasa. Przecież to wyraz holdu, raczej wyjątkowy w wypadku Miłosza. Krajowa krytyka porusza się po przetartych i ustalonych szlakach. Czy dożyjemy ulic wieszczów XX wieku: Białoszewskiego, Herberta, Miłosza (wy-

mieniam w porządku alfabetycznym, dla świętego spokoju)? Białoszewski nie zapisał kroniki paryskiej w poezji i w prozie, zostały tylko listy, m.in. do Józefa Czapskiego. Kto i kiedy to wszystko uporządkuje? Białoszewski opisał za to Nowy Jork i Amerykę, w stylu zupełnie warszawskim. Nie słyszałem o tłumaczeniu tej prozy na język angielski. Może już za późno, a może jeszcze za wcześnie? Miłosz pochwalił tylko Tomka Tryznę i już go przetłumaczyła Joanna Trzeciak. *Miss Nobody* ma większe szanse podbicia Ameryki niż *AAAmeryka* Białoszewskiego. Nie wygra się z kultem młodości.

To też jeden z ważniejszych wątków obserwacji Rutkowskiego – histeria, a raczej obsesja, młodości. Walka z upływającym czasem za wszelką cenę. O tym pisze w *Dedalu* Georges Balandier – „młodość stała się wartością najwyższą”. Dziś już 28-letnie aktorki robią sobie pierwsze operacje plastyczne. Powinny zacząć 4 lata wcześniej. Implanty piersi i liposuction nie wystarczą. Trzeba wyszczuplać plecy i szyję, najlepiej – co roku. Cena zabiegu – 25 000 dolarów. A potem przykrawanie szczęki, podciąganie oczu, przyklepywanie uszu, prostowanie czoła, itp. „Czas stracił ciągłość. Dyplomy – wartość. Egzystencja – gwarancję sensu. Czas składa się z punktów i przypomina sito. Każdy dzień wydaje się darowany, przeszłość – nieważna, przyszłość – bardziej niż niepewna. U schyłku XX wieku czas zaczął dreptać w miejscu”. Nie taka prosta sprawa z czasem. Dla jednych zniknął, stanął w miejscu, utracił pozory obiektywnego mijania (jak w 1984 Orwella czy *Malej Apokalipsie* Konwickiego). Może jest odwrotnie – czas przyspieszył, dni mijają coraz szybciej, coraz więcej dzieje się w sekundzie, w ułamku sekundy: dla mieszkańców czasoprzestrzeni, alkoholików informacji. Średnio co 18 miesięcy zwiększa się o 100 Mhz szybkość procesorów w komputerach, umysł człowieka przestaje nadążać, sekunda czekania staje się wiecznością. Telewizja poszła do kąta, bo za wolna i za aprioryczna – nawet sto kanałów nie wygra z bezdennym internetem. Uzależnienie od internetu staje się tematem rozpraw psychiatrycznych, powstają nowe formy psychoterapii. Ale przed nami Y2K i problem źle zaprogramowanych komputerów, czyli krach i koniec świata.

Rutkowski uważa, że to najpopularniejszy temat wielu współczesnych książek francuskich, niekoniecznie z gatunku *science-fiction*. Według jednego z autorów koniec świata nastąpi 7 lipca 1999 roku: w ziemię uderzy olbrzymi asteroid, jak w wielu filmach amerykańskich wytwórni koszmarnych snów. Zostało nam niewiele czasu.

A szkoda, bowiem po wielu latach ostracyzmu i przemilczenia wraca z wygnania Camus. Wylącznie rocznicowe artykuły nie zdołałyby mu przywrócić popularności. Przypomniały nam za to jakimi perfidnymi metodami czerwona jacejka Sartre'a eliminowała Camusa z życia umysłowego. Stara dobrze znana ohyda. Dziś – cieszy się Rutkowski – czytelnicy wybierają autora *Człowieka zbuntowanego*. Komisarza nicości nikt już nie czyta. Chciałoby się uwierzyć i rzec: dobrze mu tak!

Jednym przywracają obywatelstwo, innym go nie chciano dać. Wracamy na łączkę emigracyjną. Heroiczne zmagania weterana powstania porucznika Bereckiego, w cywilu dróżnika francuskiego, który walczył o przyznanie obywatelstwa francuskiego 20 lat. W końcu je dostał. Ale dlaczego nie mógł go dostać, nawet ożeniony z Francuzką? Na skutek donosu zawistnego rodaka. Prawdziwi agenci nie mieli takich kłopotów. Tak było niestety z Mickiewiczem – nie dostał francuskiego obywatelstwa do końca życia, mimo poparcia wielu życzliwych i wpływowych osób. Dlaczego? Rodacy donieśli na policję, że Mickiewicz jest rosyjskim szpiegiem!

Oprócz pisania donosów (i niepisania protestów) emigranci chwyтали chętnie za kieliszek. Okazji nigdy nie brakowało. Dlatego na ucztach u Jankowskiego nikt niczego nie zapamiętał. Ani tego co mówił Mickiewicz, ani co mówił Słowacki. Pito węgryzna, dużo, bardzo dużo. Kiedy wytrzeźwiano, za zwycięzcę uznano Mickiewicza. I tak to przeszło do ksiąg uczonych. Pito zbiorowo i indywidualnie, w mieszkaniach i szynkach.

Norwid nie mógł zasnąć bez wina, potrzebował dziennie co najmniej litr napoju, potem wystarczyło coraz mniej, szklaneczka. W wieku 56 lat trafił do przytułka św. Kazimierza. Na szczęście współczesnym konceserom wina nad Wisłą podobne niebezpieczeństwa nie grożą. Na półki sklepowe trafiają najpodlejsze gatunki, sprzedaje się je po horrendalnych cenach, gatunkiem zastępując nazwę własną.

Oddalając się od stołu i wina (a także serów), możemy zbliżyć się do konfesjonału. Spowiedź grzesznika nie została przyjęta. Stygmatyk ojciec Pio, przegnal Wata, nie dał mu rozgrzeszenia. Rutkowski był wydawcą i redaktorem dorobku Wata, przebił się przez lata przez nieczytelne i zakonspirowane Dzienniki, przez spowiedź „dziecięcia wieku”. Przez taśmy nagrane przez Miłosza w Berkeley. Może powtórka zmagania Słowackiego i Mickiewicza?

Między konfesjonalem a stołem zostało łóżko. Dla smakoszy tego tematu Rutkowski oferuje cały zestaw dań: nie do końca wyjaśnione, najprawdopodobniej, polskie pochodzenie, Geneta i jego miłostki, homoseksualizm, psychopatyczna mania złodziejska, zbliżenia i oddalenia od komunizmu, zacięła krytyka społeczeństwa francuskiego, skandale, kompromitacje. Postać bardzo kontrowersyjna, i z dzisiejszej perspektywy – już niezbyt sympatyczna. Romans Heideggera z Hannah Arendt, ona zdradzająca swego męża, on – żonę, romans, który zaowocował jedynie jarmarczonymi wierszami miłosnymi wielkiego filozofa. I jeszcze wnuczka Godebskiego (poety) i córka Godebskiego (rzeźbiarza), przyjaciółka poetów i malarzy impresjonistów, mistrzów baletu, szczególnie Rosjan, urodzona w Petersburgu. Duże serce. Inne wybożenia zostawiam czytelnikom, którzy sięgną do książek Rutkowskiego.

Najwyższe oceny – za styl myślenia i poziom językowej ekspresji – przyznaje Polak Rumunom: Cioranowi i Ionesco: „Najlepiej piszą po francusku Żydzi i Rumuni”. Z polskich emigrantów – podobną rangę przyznaje Rutkowski Gombrowiczowi i Bobkowskiemu. Pisali oczywiście po polsku, ale krytykowali Francję jak Rumuni. Gombrowicz uciekł z Paryża na Południe, Bobkowski do Gwatemali. Rutkowskiego trzyma w Paryżu miłość do impresjonistów. Ten Paryż, którego obraz utrwalili, już nie istnieje, ale przechowany w umyśle i wyobraźni, działa jak balsam.

Balsamem na infantylną i schematyczną, żeby nie powiedzieć – nijaką polską prozę współczesną jest pisarstwo Mariusza Wilka. Jego niezwykle opowiadanie *Sołowki*, najzamięściła „Kultura” w numerze 9 z 1996 roku. Nic nie wiem o autorze, czy się urodził na bezbrzeżnej pustyni północnej części imperium, czy jest przybyszem, potomkiem zeka, warszawskiego powstańca, a może prawnukiem zesłańca z 1863 roku? To prawdziwa rewelacja: mierny przedstawiciel „Kultury” na Rosję!

„Na Sołowkach ludzie żyją pospół ze zwierzętami, razem około tysiąca pięćuset mieszkańców, nie licząc przejezdnych: włóczęgów, turystów, pątników, sezonowych dozywaczy morskiej trawy i artystów wszelkiej maści, «osołowiewszycy» na czas jakiś, lub z kretesem. Dominującym motywem (osnową) sołowieckiego posiołka jest drut kolczasty, którym tu grodzą ogrody. Sam posiołek, niczym polip, obrósł Kreml i z dala widać, że to chorobliwa narośl. Wśród zawilgoconych domów z pustaków sterczą połamane baraki, zabytki monastyrskiej architektury dożywają swojego wieku, rozszabrowywane po cegle na pieczki (stara cegła monasza jest trwalsza i bardziej na ogień odporna), drogi dziurawe, kładki zbutwiały, gdzie nie spojrzeć, gruz się wala, złom, rozbite szkło. Dookoła saraje, drewniane, chlewy i obory, wykrzywione i przegniłe, ponatykane bezładnie, byle jak. Brak przyzwoitej kanalizacji sprawia, że ścieki uchodzą w morze i latem, podczas odpływu, Przystań Pomyślności cuchnie szambem, a jej brzegi pokrywa gruba warstwa tłustego szlamu. Na tym tle szwendają się nietrzeźwi ludzie i wychudłe zwierzęta: psy rozwlękają resztki z pomojeł, krowy i kozy pasą się wszędzie, na ulicach i między do-

mami, a świnie ryją, gdzie popadnie, zwłaszcza pod ścianą Kremla. I na pierwszy rzut oka, komukolwiek nie z tej ziemi, kto się tu zapłącze, sołowiecki posiołek przypomina monstualny kicz w stylu informel, gdzie dominuje nonsens i przypadek. Trzeba czasu i skupienia, by przywyknąć do tego obrazu i rozróżnić w nim rękę poszczególnych twórców (gospodarzy): monachów (od pocz. XV w. do 1920), OGPU-NKWD (1923-1939), wojskowych (1939-1957), muzealników (1967-1991) i dzisiejsze bezholowie.”

W prozie Mariusza Wilka czas nie przyspiesza, nie stoi w miejscu, cofa się. I słaba nadzieja, że kiedyś ruszy do przodu.

Kiedy sięgałem ponownie do tego tomu „Kultury” (wydanie krajowe) żeby się jeszcze raz podelektować, zostały mi w ręku luźne kartki: Wilk wymieszał się ze Strońską i Ungerelem. Krajowe kleje i spoiwa... Książce Rutkowskiego chyba to nie grozi. Wydano ją super-starannie, ozdabiając rewelacyjnymi portretami ulic i mieszkańców Paryża autorstwa Roberta Doisneau. Głębi fotografii czarno-białej nie zastąpi najlepszy kolor. Całość strony poligraficznej – *valde bene*. Gdyby jeszcze wydawca dołączył indeks osobowy, byłoby – *summa cum laude*.

Jerzy Gizella

Krzysztof Rutkowski, *Raptularz końca wieku*, Wydawnictwo „słowo/obraz terytoria”, Gdańsk 1997.

Ewa Piechocka

Odcienie czasu

Tom prozy Aleksandra Jurewicza *Życie i liryka* stanowi wybór felietonów, drukowanych wcześniej w prasie Wybrzeża (m.in. w „Gazecie Morskiej”).

W audycji radiowej powiedział autor, że jest to książka „zamiast” – zamiast tej noszonej w sercu, książki o Kresach, która ciągle „się pisze”.

Mała forma felietonu, nasycona tonami liryki, nie jest obecnie popularna ani chętnie drukowana. Może to czasy wymagają „twardości serca” i innego języka? Jurewicz nie wstydzi się mówić o uczuciach, skrytych stanach serca, nieobca jest mu nawet pewna doza czułościowości. Chce, aby życie było bardziej liryczne, a poezja nie powinna zniknąć z naszej codzienności.

Życie i liryka to małe impresje, notowane na przestrzeni lat 1992-97, gdy autor był już człowiekiem wkraczającym w „lata średnie”, świadomym przemijania, odchodzenia spraw i ludzi, bezpowrotności zdarzeń, kruchości uczuć. Mówi o konieczności dokonywania trafnych wyborów, selekcionuje wartości, a korzeni i źródeł szuka w przeszłości, wskazując, bez nachalności, na wartości sprawdzone w ciągu dziejów. Należą do nich: ziemia ojców (ukochana Lida), świat duchowych doznań i fascynacji (związki z ludźmi sztuki, twórczość), przyroda w ciągłym trwaniu i melancholijnej zadumie – pomocna człowiekowi, przeciwstawiona światu zimnej techniki („cywilizacji hien” – mówi za Mertonem).

Jurewicz notuje nastroj chwili, sentymentalne powroty do przeszłości – starych kamienic, przedmiotów, hotelowych pokoi, widoków za oknem, z płatkami pierwszego śniegu, krajobrazów, spotkanych kiedyś ludzi. Wzrusza czułością serca, bo pisze o sprawach i rzeczach, obok których przechodzimy nieraz obojętnie.

Pragnie, by nie zasnęła w nas dziecięca świeżość doznawania olśnień; ubolewa, że po-

czja odchodzi z naszego życia, chociaż powstaje coraz więcej wierszy. Nawet księżyc został odarty z tajemniczości.

Nie budzą mego entuzjazmu rozważania, w których autor bywa sentymentalny. Gdy pisze o dawnych miłościach, przywołuje kobiety, które odeszły, pozostawiając pustkę, milczące telefony, samotność, wypełnioną alkoholem i papierosami. Porzucony mężczyzna zawsze jest słaby, pada ofiarą „kobiety w jasnym płaszczu” – współczesnej *fame fatale*. Puste pokoje hotelowe, przywołująca wspomnienia pozostawiona garderoba, budzące skrajzenia przedmioty, tworzą dość banalną scenerię. Rozważania o miłości, podpatrzone sceny rozstań itd., może z powodu powtarzania ogranych scen i póż, jakie zdarzają się między kochankami, wywołują uczucie pewnej sztuczności.

Najciekawsze są felietony, w których Jurewicz pochyla się nad przeszłością i w sposób niemal namacalny wskrzesza dawne dzieje. Oto brewiarzyk księdza Bronisława Gudejki, wyjęty z szuflady zakrystii kościółka pod Lidą i przywieziony do Polski, stał się łącznikiem z tamtym czasem, z tamtym pejzażem, z dawnym życiem. Czas został zatrzymany pomiędzy kruchymi i postrzępionymi stronicami, ze śladami wilgoci „zaczytanymi do ostatniej modlitwy”. „Tamten czas jest, czuję jego zapach, tamten czas ożywa na nowo, wchodzi w jego dzisiejszy zapach, odciski moich palców łączą się z zatartymi odciskami palców księdza”.

Przechowane w brewiarzu, wycięte z wileńskich gazet, nekrologi, pochodzące z 1942 roku oraz wydrukowane na odwrocie ogłoszenia, oferujące sprzedaż różnych przedmiotów, przywołują i ożywiają minione czasy. „Widzę dziesięcioletnią wtedy moją mamę, którą ksiądz Gudejko widywał codziennie (...), dziadek w tamtym roku jest młodszy ode mnie dzisiejszego i puste jest jeszcze miejsce w ogrodzie, gdzie kiedyś, gdy już będę na świecie, będzie zakwitał jaśmin. Idę w wyobraźni dalej, ale staram się nie zapędzać w dość bolesne obszary, więc ksiądz chodzi po zimowym sadzie i odmawia brewiarz, para leci z jego ust, bo dzień jest mroźny – i tamten dzień też jest odcisnięty na którejś stronicy”.

Rozważania o starej maszynie do szycia „Singer” prowadzą do sekretnych wzruszeń i wniosków o duszy sprzętów: „Czułem posmak i tajemnicę wieczności, pośród której (maszyna, ja, podwórko) tkwiłszy zastygli jak owady w lusce bursztynu”. Odwiedzona, po dwudziestu latach, ulica Głucha w Łodzi (mieszkali tam dziadkowie po przyjeździe z Białorusi), stara walizka, zawierająca drogie sercu przedmioty, przywołują wspomnienia chwil dzieciństwa. Są w tomie dość liczne wspomnienia z podróży po świecie (na ogół wiążą się z pełniącym ważniejszą rolę szczegółem lub nastrojem), są rozdziały poświęcone pisarzom i wpływowi niektórych lektur na rozwój duchowej wrażliwości narratora. Ciekawe są refleksje poświęcone Camusowi – jego nie dokończony powieści *Pierwszy człowiek*, Hrabalowi, Stachurze, Kieślowskiemu, Olegowi Bałakirewowi – młodo zmarłemu malarzowi, który wyzwala myśli o sensie pracy twórczej – na przekór nie sprzyjającemu losowi.

Autor przypomina Małgorzatę Hillar – dziś niemal zapomnianą poetkę młodych lat 60. i 70. i dowodzi, że wyrażała ona uczucia i nastroje bliskie ludziom młodym, także dzisiejszej doby. *Ogród, popiół* autorstwa Danilo Kiša, skłania do snucia refleksji nad przemijaniem.

Świat dawnych i aktualnych lektur, ucieczka w czasy dzieciństwa, powrót do wspomnień, ożywianie przeszłości (autor pisze o cmentarzach i roli, jaką pełnią wśród żyjących – „brama cmentarza jest tylko małą szczeliną wśród żywych”), obecność w świecie, ale jakby obok zdarzeń, w ciszy i samotności własnych przemyśleń – to wszystko znajdziemy w felietonach Jurewicza. Ich walorem jest zwięzła, krótka forma.

Ewa Piechocka

Aleksander Jurewicz – *Życie i liryka*, Wydawnictwo „słowo/obraz terytoria”, Gdańsk 1998.

Malowane – bliskie sercu

Kazimierz Hoffman zatytułował swoją książkę poświęconą ulubionym malarzom i ich dziełom *Przy obrazie* – nie przed obrazem, ale właśnie przy. Tytuł ten wyraża bliskość, ale też... jakby niewiarę w możliwość stanięcia z obrazem „twarzą w twarz”. Obecność w dziele sztuki pewnego nadmiaru, przekraczającego zwykłą percepcję i horyzont oczekiwania zdaje się przekonywać autora, że nie wystarczy widzieć. Dlatego odnosi się wrażenie, że Hoffman nie tyle stoi przed obrazem, co... kręci się wokół niego. Próbując go zrozumieć zagląda do duszy malarza, zerka na pejzaż, który stał się jego inspiracją, podczytuje książki i wywiady z artystami, bo wszystko to może być pomocne w rozszyfrowaniu hieroglifu. Zrozumienia obrazu należy szukać również poza nim samym, co w przypadku sztuki współczesnej – a taką w tej książce Hoffman się zajmuje – jest szczególnie uzasadnione, gdyż operując zmiennymi i nierzadko niepowtarzalnymi autorskimi kodami, wymaga ona konfrontacji naszego oglądu ze słownymi deklaracjami twórców. Oczywiście nie oznacza to, że można na tym poprzestać. Należy jeszcze (a właściwie przede wszystkim) – tak jak czyni to zresztą Hoffman – uważnie patrzeć okiem wyćwiczonym w wielu muzealnych i galeryjnych „potyczkach” i – co ważniejsze – nie wolno zatracić wrażliwości, zarówno emocjonalnej jak i czysto wizualnej. Prezentacjom Hoffmana towarzyszą one obie, chociaż momentami opis wyraźnie zdominowany jest przez jakości zmysłowe, które jednak w ujęciu Hoffmana mają swoje emocjonalne konsekwencje, o czym świadczy chociażby dostrzeżenie bolesności w kolorze. Autor szkiców potrafi docenić walory rysunku, ale dopiero wkraczając w krainę barw czuje się jak... smakosz na dobrym przyjęciu. Z lubością opisuje te właśnie jakości obrazów, zanurza się w kolorach – wręcz popisuje dookreślaniami ich subtelnych odcieni.

Niestety to właśnie formalne aspekty obrazów powodują, że autor grzęźnie w terminologii fachowej – w środowiskowym żargonie, a te sprawiają, że próba oddania wrażenia jakie wywołuje dzieło malarskie środkami językowymi staje się porażką. Fachowość bowiem wobec sztuki jest bezsilna, a opis na niej oparty – martwy. Dzieje się tak zresztą chyba mimowolnie i wbrew wstępnej deklaracji autora, który napisał, że: „Język tych tekstów nie jest językiem profesjonalnego znawcy sztuki”. Na szczęście przeważnie nie jest, ale nie udało się całkowicie uniknąć pułapek wyrażenia „zbyt mądrych”. Rażą na przykład sformułowania takie jak: „witraż jest modyfikatorem światła”, które nie przeszkadzałyby w publikacji podręcznikowej, tutaj jednak wydają się zgrzytem. Dlatego wołam kiedy Hoffman, patrząc na witraz powie po prostu, że „jest (on) jak plaster miodu ujrzany pod słońce”. Od fragmentów szkolarskich – zdradzających pewne zacięcie dydaktyczne autora – wołam te partie tekstu, w których Hoffman rozmarza się przy obrazie – odpływa w poezję. Wołam, kiedy przedstawiając obraz pisze: „Oto czarny krawiecki manekin na trójnogu, rzucający żywy, p o r u s z o n y cień na szarą ścianę – w chwili, gdy czerwony goździk w lewym dolnym rogu opowiada płomień...” Takie właśnie opisy obrazów są największym atutem tej książki. Hoffman potrafi opowiedzieć obraz tak, że się go jednocześnie widzi i... pragnie zobaczyć, a to jest i trudne do osiągnięcia i niezwykle istotne.

Książka, zgodnie z założeniem jej autora – ma być „próbą odczytania (obrazów) po swojemu”, co wzbudza moją pełną aprobatę, gdyż sztuka tak naprawdę kierowana jest zawsze (z wyjątkiem sztuki propagandowej i masowej) do pojedynczego człowieka. Żyje o tyle, o ile staje się dla niego ważną i każdą pełną zaangażowania percepcją wzbogacającą jej istnienie (choć oczywiście nie każda zasługuje na odnotowanie). Książka ta, będąc przykładem wrażliwego odbioru pokazuje właśnie jak dzieła sztuki mogą odbijać się

w oczach i duszy człowieka. Obrazy jednak nie zostają tu uwewnętrznione, nie stają się częścią prywatnej mitologii – pozostają sobą, bytami samodzielnymi, wzbudzającymi ciekawość i zachwyt.

Publikacja jest zbiorem króciutkich tekstów gatunkowo zróżnicowanych. Znajdziemy tu fragmenty rozmów, wiersze, cytaty, uwagi typowo podręcznikowe (o witrażu i intarsji), teksty krytyczno-artystyczne, osobiste refleksje. Krótko mówiąc, książka ma formę sylwiczną, co wynika być może z poszukiwania formy bardziej pojemnej – zdolnej unieść pogmatwanie i pogubienie w obliczu obrazu, przed którym stajemy przecież z całą naszą nagością – wrażliwością, zranieniem, brakami, ale przed którym też często odruchowo uzbrajamy się w strzępy wiedzy, terminów, cudzych słów, poznanych wcześniej obrazów. „Forma bardziej pojemna” demaskując te mechanizmy odbioru jest zarazem formą niedojrzałą, bo wyrastającą z niedojrzałości. Ma ona jednak możliwość pokazania procesu dojrzewania do odbioru dzieła sztuki, jak to się dzieje w przypadku obrazu Jadwigi Kotlarczykowej *Nad Wdą*, który Hoffman dwukrotnie opisuje – raz w formie krytycznej, a raz w postaci poetyckiej refleksji. Opis przechodzi z tekstu do wiersza, pokazując w ten sposób pracę myśli, tworzenie się pewnego ładunku, krystalizowanie się obrazu w świadomości odbiorcy.

Przedmiotem dociekań i... „ogłądań” są tu dzieła artystów – nazwijmy to – mniej znanych, prowincjonalnych – Bydgoszczy, Torunia, Gdańska, Żnina, co właśnie stanowi dużą zaletę tej książki, gdyż każdy wie, że prowincja ma swoją duszę, rzadko jednak pamięta się, że dusza ta ma również swoje oblicze i swoje głosy – niekiedy niezwykle ciekawe. Wśród interesujących Hoffmana obrazów dominują pejzaże (Z. Papke, K. Jułga, T. Wachowiak, J. Kotlarczyk, J. Sawicka, H. Burchart-Świtalska, M. Danielewicz). Znajdziemy tu jednak również szkice poświęcone witrażom (E. Kwiatkowski), obrazom intarsyjnym (E. Kapłoński) i te najciekawsze – poświęcone twórczości bardziej metaforycznej – obrazom J. Witt, J. Gurdy, W. Łajminga, A. Nowackiego, T. Małachowskiego. Szkoda, że nie każdego z tych malarzy twórczość została tu zaprezentowana w postaci ilustracji.

W każdym razie książka ta na pewno będzie interesująca dla tych, którzy wypowiedzi Hoffmana mogą skonfrontować z opisywanymi przez niego obrazami, a tych którzy tej twórczości nie znają niewątpliwie zachęci do poszukiwań.

Joanna Bielska-Krawczyk

Kazimierz Hoffman, *Przy obrazie*, Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, Bydgoszcz 1998.

*

33 *zapewnienia o miłości do świata* Krzysztofa Lisowskiego to właściwie cykl epitalamiów – pieśni weselnych... opiewających problematyczne zaślubiny ze światem. Są to śpiewy dziękczynne i chwalebne – wysławiające „nadmiar szczęśliwy”, ale też nie ukrywające niepokoju i smutku, będących nieodłącznymi towarzyszami radości. Wiersze te wypełniają wdzięczność za trudy i ból miłości i za ocalenia, których była sprawcą. Przede wszystkim jednak dominuje w nich po prostu (co nie jest wcale proste) wdzięczność za świat, który potwierdza nasze istnienie („jeśli ty jesteś to i ja jestem”), a właściwie za możliwość wzajemnego utwierdzania się w bycie. Wreszcie za... „wniebowstępną drzew”, bo drzewo jest tutaj centrum świata – centrum obrazującej go prywatnej mentalnej mapy autora. Powraca ono w tej poezji w swojej prastarej roli – *axis mundi* (osi świata). Stanowi ostoję wewnętrznej harmonii podmiotu, dzięki drzewu odnajdującego zagubioną drogę do pewnego universum, odnajdującego się w świecie wraz ze swoją osobistą historią, w którą drzewo – platan – jest wpisane. I właśnie drzewo staje się głównym bohaterem wiersza *Credo*, stanowiącego wyznaczenie wiary w związek człowieka z tym co wobec niego zewnętrzne – w ich wspólne zakorzenienie w krainie dzieciństwa (bo przecież świat w pewnym sensie zaczął się wraz z naszymi narodzinami, dlatego poeta pisze wiersz *Na 44 urodziny mojego świata*), w banale czasu i codzienności, ale i w... słowie. Lisowski bowiem odnajduje w rzeczywistości tekst („czytałem grube liście”) i poprzez teksty zmierza do świata – próbuje dotrzeć do jego tajemnicy. Jest to bowiem poezja dostrzegająca znaki – niemal szamańska, potrafiąca w zwyczajnym zobaczyć tajemne i nawet w pustce – święte. Wszystko tu jest naprawdę i bardzo poważnie – zarówno słowa jak i rzeczy. I chociaż wszystko się przeobraża i przemija, to jednak Coś niezmiennie trwa („trwała przemiana/i przemieniała się trwałość/z chwili na chwilę”), ujawniając jednocześnie swoją przygodność i uniwersalność („wszystko płynie/ale niektóre elementy są stałe”). Rzeczywistość bliska jest Nadrzeczywistości – w kluczach ptaków dostrzec można dusze żywych i umarłych.

Jednocześnie świat jest dla człowieka gościnną gospodą. W wierszu *Jadłospis* jawi się jako kraina mlekiem i miodem płynąca, karmiąca swoim ciałem duszę wędrowca („ogromnieje dzień/rośnie jego święty chleb”). Świat doświadczany jest jako coś swojskiego i zmysłowo – intymnego, przelany jest jak... lyk ambrozji. Dlatego nie dziwi wcale, że poeta w marzeniach odnajduje Grecję i widzi przechadzających się pierwszych bogów. Jest to bowiem poezja niemal arkadyjska, chociaż w tej Arkadii są też potwory i olbrzymy. Jednak nawet cień nie jest tu straszny, bo i on jest pożywnym „drobnym kęsem”. Lisowski tworzy poemat, w którym zdaje się rozpuszczać ból i niezgoda. Wiersze te są jak magiczne zaklęcia odsłaniające bajkową krainę zapomnianej... rzeczywistości, a może chwilowe zapomnienia nachalnej oczywistości, bo przecież „święto drzewo za kościołem (znak orientacyjny) w naszym wieku wszystko staje się podobne (...) piękne detale zmierzają do apeironu”. Świat przesunął się zaledwie o pół obrotu, a już stał się nierozpoznawalny, narzucający niechęć i wyobcowanie (bohater jednego z wierszy „nie zna języka Word/po tylu latach okazał się cudzoziemcem”).

Zatem owa pieśń weselna to zmuśnięcie pielęgnowane wspomnienia, skrupulatnie odnotowywane olśnienia i dbałość o zachowanie mikroskopowej wrażliwości, zdolnej wy-

luskać z garści plew zagubione ziarno. Cywilizacja jawi się tutaj jako zdrada świata i człowieka – podeptany hymen, inflacja życia, zmuszająca do ciągłej obrony własnej wolności i tożsamości – szukania ich w sobie samym, we wspomnieniu, w istniejącym od zawsze drzewie.

J.B.-K.

Krzysztof Lisowski, *33 zapewnienia o miłości do świata*, Kraków 1999.

*

W jednym z ostatnich wywiadów Cioran mówił: „Jak ma się świadomość nicości, to pisanie książek jest absurdalne, wręcz śmieszne. Pisać? Po co i dla kogo? Jest jednak pewna wewnętrzna konieczność, nie mieszcząca się w tej wizji, konieczność innej natury, bardziej tajemnicza, irracjonalna. Skrajnej świadomości nicości nie da się pogodzić z niczym innym, z żadnym gestem... Wierność autentyczności itp. – to wszystko lipa. Tylko ta tajemnicza witalność każe nam coś robić. I być może to jest właśnie życie: robimy rzeczy, na które godzimy się, nie wierząc w ich sens... Tak, to chyba to...” Cioran urodził się w Rumunii. Po studiach w Bukareszcie wyjechał do Paryża. We Francji pozostawał od 1937 do śmierci w 1995 r. Pisał po francusku. Wybrał język, o którym mówił, że jest skrajnie obcy jego naturze, jego rozkiełznaniu, prawdziwemu ja i niedolom, które przeżywał, język, który był połączeniem kaftanu bezpieczeństwa z salonem.

Cioran – piewca nicości, rozpaczy, zdzierający wszelkie zasłony, w sposób bezkompromisowy demaskował fałsz i iluzje. Do końca życia pozostał wierny młodzieńczym fascynacjom i obsesjom.

Dziewięć Ciorana są znane polskiemu czytelnikowi: *Na szczytach rozpaczy*, *Upadek w czas*, *Historia i utopia*, *Aforyzmy*. Wydawnictwo „Czytelnik” opublikowało zbiór esejów i portretów Ciorana w przekładzie Jana Marii Kłoczowskiego pt. *Ćwiczenia z zachwytu*. Książka zawiera *Esej o myśli reakcyjnej*, której centralną postacią jest Joseph de Maistre i jego filozofia oraz portrety najwybitniejszych pisarzy i myślicieli współczesnych takich jak: Valéry, Beckett, Saint-John Perse, Mircea Eliade, Caillois, Michaux, Fondane, Borges, Maria Zambrano, Weininger, Fitzgerald, Guido Ceronetti. Ciorana fascynują twórcy pokrewni mu w jakiś sposób, ci u których odkrywa bolesną bezkompromisowość, logikę do granic zdrowego rozsądku czy też bliską mu postawę w postrzeganiu świata i człowieka, u której źródła tkwi nihilizm. Esej oraz portrety zawarte w *Ćwiczeniach z zachwytu* to jeszcze jedna książka prezentująca przede wszystkim samego autora, jego powikłany i osobliwy świat pełen sprzeczności, rozpaczy, miłości i niechęci wobec świata, człowieka. Bezkompromisowy i okrutny pozostaje jednak Cioran głównie w stosunku do siebie. Jest wyższy od swych własnych doświadczeń i niepokojów tak jak Kierkegaard, Dostojewski i Nietzsche, ponieważ jest w a ż n i e j s y od tego, co mu się „przydarzało”.

G.K.

Emil Cioran, *Ćwiczenia z zachwytu*, przełożył Jan Maria Kłoczowski, „Czytelnik”, Warszawa 1998.

Niektóre dzieła jednego z najwybitniejszych filozofów XX wieku – Karla Jaspersa są już znane polskiemu czytelnikowi. Wydano *Autobiografię filozoficzną*, *Szyfry transcendencji*, *Wiarę filozoficzną*, *Filozofię egzystencji* oraz *Rozum i egzystencję*. Całościowy dorobek myśliciela zawiera jednak monumentalna rozprawa *Wiara filozoficzna wobec objawienia*. Po raz pierwszy dzieło zostało opublikowane w 1962 r., na język polski przełożył je Grzegorz Sowiński. Po 37 latach otrzymujemy jeden z najważniejszych utworów współczesnej refleksji filozoficznej. *Wiarę filozoficzną wobec objawienia* można by umiejscowić w hierarchii klasyki współczesnej filozofii obok *Bycia i czasu* Heideggera czy *Prawdy i metody* Gadammiera.

Wiara filozoficzna, rozum stający naprzeciw objawienia, transcendencji. Rozum i wiara. Egzystencja i transcendencja. Nigdy nie kończący się dialog, czy jego zamknięcie, rozum, wiedzy opartej na prawdzie filozoficznej, z objawieniem, transcendencją. Czy istnieje możliwość pogodzenia owych obszarów, czy możliwa jest ich komunikacja? Nie jednoczy dziś ludzi ani nauka, ani wiara. „Książka ta chciałaby mówić z samych źródeł wiary filozoficznej – pisze Karl Jaspers – która pozostaje żywa, odkąd ludzie myślą. Chciałaby zaświadczyć, że utrata wiary w objawienie w żadnym razie nie wyklucza stałego przyswajania Biblii, której treść pozostaje czymś niezastąpionym. Dla nas przedstawiciele Zachodu w dzisiejszej sytuacji niemal namacalnie przeobraża się religia biblijna. Dla swych wyznawców podobną przemianę przechodzą wszelkie inne religie, jak również, dla wszystkich ludzi, filozofia”. Jaspers mówi w swej rozprawie jako filozof, wyznający, jednak nie w sposób dogmatyczny, wiarę filozoficzną, będąc jednocześnie głęboko poruszony przez objawienie.

Rzeczywistość ciągle budzi niepokój, powagę, zmusza do namysłu dotyczącego otchłannych kwestii bycia. Nie ma odpowiedzi na pytania. Pozostaje nieustannie lęk, trwoga, zapatrzenie i zasluchanie. Rzeczywistość milczy i pyta. Człowiek skazany jest na nieustanne wsłuchiwanie się w „szyfry”, które osaczają zewsząd. W końcowych wywodach pisze Jaspers: „Wiara filozoficzna i wiara w objawienie mogłyby się spotkać, gdyby sobie uzmysłowiły, że wspólnie zajmują się niedocieczonym biegiem rzeczy, który dla jednych jest zwieńczony niejako przez sklepienie cielesnego objawienia, dla innych zaś wchłaniany przez spełniającą niewiedzę...”

Człowiek zanurzony w „królestwie szyfrów” wobec rzeczywistości, „Obejmującego”, jednocześnie w grzęznącym świecie, często zapatrzony i zasluchany wyłącznie we własne wnętrze, nie mogący siebie odnaleźć, pośród wrzawy świata, własnej małości i pychy pozostaje coraz mniej wrażliwy na szept transcendencji.

Wiara filozoficzna wobec objawienia to dzieło niezwykle bogate, onieśmielające erudycją i głębią refleksji, ale jednocześnie dzieło człowieka pełnego pokory wobec świata i człowieka, takiego jakim on jest.

G.K.

Karl Jaspers, *Wiara filozoficzna wobec objawienia*, przełożył Grzegorz Sowiński, Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1999.

*

Profesor Irena Sławińska w swej książce *Współczesna refleksja o teatrze* pisała: „Dyskusja o tragizmie i tragedii nie od dziś podnieca świat. Rozpoczęta niemal przed dwudziestoma pięcioma wiekami wkrótce mogłaby święcić dość niezwykle jubileusz. (...) Zastanawia (...) miejsce, jakie problematyka ta uzyskuje we współczesnej eseistyce filozoficznej, literackiej i religijnej; w teorii dramatu i teatru; w rozważaniach o powieści; w rewaluacjach i syntezach historycznych; w prognozach socjologów”. Wydana po raz pierwszy *Tragedia grecka* profesora Kitto w 1939 roku doczekała się wreszcie polskiego przekładu, którego dokonał Janusz Margański. Książka owa uchodzi za najlepszy i najbardziej kompletny podręcznik greckiej tragedii. Profesor Kitto w swych studiach i rozprawach prezentuje poglądy tzw. religijnej teorii tragedii. „O tragedii greckiej, stwierdza autor, można pisać w perspektywie krytyczno – bądź krytycznoliterackiej – i tę właśnie krytycznoliteracką perspektywę przyjmuje niniejsza książka. Istnieje jednak dwojakiemu rodzaju krytyka: krytyk może opowiadać czytelnikowi o swych wspaniałych wrażeniach, ale może też pokusić się o wyjaśnienie literackiej formy i właśnie temu zadaniu stara się sprostać moja książka”. W swych studiach Kitto stara się zrozumieć istotę koncepcji dramatu tkwiącą u podstaw sztuki bądź grupy sztuk. Hellenista pyta o to, co chce dramatopisarz powiedzieć, a nie o to, co faktycznie mówi na jakiś temat. *Tragedia grecka* to fenomen w cywilizacji Zachodu. Wnikliwe i erudycyjne wywody profesora Kitto, który szczegółowo rozważa największe dzieła najwybitniejszych tragików w dziejach ludzkości – Ajschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa, pokazują jak bogate treści egzystencjalne, filozoficzne, a przede wszystkim artystyczne są w niej wpisane. Książka godna polecenia studentom wszelkich filologii, znawcom kultury antycznej, ale także każdemu, komu problematyka tragedii i tragizmu jest bliska w sensie egzystencjalnym i artystycznym.

G.K.

H.D.F. Kitto, *Tragedia grecka. Studium literackie*, przekład Janusz Margański, Wydawnictwo „Homini”, Bydgoszcz 1997.

*

Nowy *Faust!* W 250. rocznicę urodzin Johanna Wolfganga Goethego ukazał się w „Świecie Książki” nowy przekład tej arcy-tragedii. Lekturę radzę zacząć od ciekawego i pożytecznego posłowia autora przekładu – Adama Pomorskiego. Wybitny tłumacz wyjaśnia, czym jest *Faust* i dlaczego ciągle nie przystaje on do kanonu polskiej tradycji literackiej. (Nie)Obecność diabła w literaturze polskiej – oto temat, od którego nie ma ucieczki. Nowy przekład całego *Fausta* oraz esej tłumacza znowu nam to unaoczniają. Problem recepcji *Fausta* w Polsce to sprawa istnienia w polskim życiu i świadomości diabła. Jest to także kwestia jakości dotychczasowych przekładów i spolszczeń, jak mówi Boy – „Pol-Faustów”, bardzo niezadawalających. „Mizéria uderza w zestawieniu z największymi kulturami europejskimi – mówi Pomorski – Już pierwsze popularyzatorskie analizy i pierwsze przekłady były tam dziełem niebylejakich pisarzy”. A dziś, w czasach postępującego kryzysu stylistycznego literatury polskiej, jakie mogą być przekłady? Na analizy krytyczne i filologiczne przyjdzie czas: dziś – na mój słuch i smak – przekład Adama Pomorskiego

wydaje się najcenniejszy. Pomorski dobrze wyczuwa ducha *Fausta*, któremu, tak jak potrafi, stara się sprostać. Gdyż *Faust* to jest „bardzo poważny żart”, – tak w ostatnim liście mówi o nim sam Goethe. I tej wskazówki trzeba się trzymać, żeby *Fausta* pojmować. Pomorski trzyma się tej wskazówki. W jego przekładzie panuje faustowska „ambiwalentna aura na wpół groteskowego, na wpół absurdalnego humoru”, stanowiąca konglomerat pastiszu, parodii, karykatury, humoru, farsy i ironii („poważny żart” to synonim ironii). Pomorski dobrze gra na tych strunach. *Faust* to jarmarczne *panopticum*, to szopka w perspektywie kosmosu Stworzenia, a sam *Faust* – na wpół tragiczny, na wpół komiczny, w którym „dwie dusze mają mieszkanie”, to bohater arcy-ironiczny. Warto go dobrze poznać.

K.M.

Johann Wolfgang Goethe, *Faust*, przełożył i posłowiem opatrzył Adam Pomorski, „Świat Książki”, Warszawa 1999.

PRENUMERATA ROCZNA
krajowa: 25 zł; zagraniczna: 30 \$ USA
cena numeru archiwalnego 6 zł (8 \$ USA)
(wraz z kosztami wysyłki)

Wpłaty prosimy kierować na KONTO
Wojewódzki Ośrodek Kultury
PBKS II O/Bydgoszcz 11001034-902 779-2101-111-0
„Kwartalnik Artystyczny”

TYLKO PRENUMERATA
zapewnia stałe otrzymywanie
**KWARTALNIKA
ARTYSTYCZNEGO**

Nr indeksu 36294
ISSN 1232-2105

Utworów nie zamówionych redakcja nie odsyła.
© Copyright by „KWARTALNIK ARTYSTYCZNY.
KUJAWY I POMORZE”, Bydgoszcz 1999

Druk: Color Print, Bydgoszcz, tel.: 345-22-35
Skład: FUP, Bydgoszcz, tel.: 341-70-08

Grzegorz Musiał
AL FINE

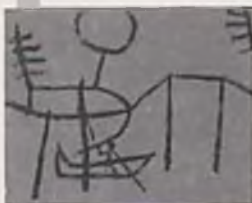


Michał Głowiński



**CZARNE
SEZONY**

Krzysztof
Myszkowski



FUNEBRE

Piotr
Matywiecki



**ZWYCZAJNA
SYMBOLICZNA
PRAWDZIWA**

Jarosław
Klejnocki



**W DRODZE
DO DELFT**

Mirosław
Dzień



CIERPLIWOŚĆ



Indeks 36294 ISSN 1232-2105

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY
0319 0494
7.00 ZŁ
RUPA/PODGRUPA 2/12

Cena 7 zł